

NIEWIERNI,  
STRZEŻCIE SIĘ!

# W szpilkach na tropie

Prawdziwa  
historia  
Damskiej  
Agencji  
Detektywistycznej

REBECCA  
JANE



**Rebecca Jane**

# **W szpilkach na tropie**

Prawdziwa historia  
Damskiej Agencji Detektywistycznej

PRZEŁOŻYŁA  
Marta Kisiel-Małecka

**Wydawnictwo Literackie**

**Zdradzana przez męża Rebecca Jane w 2009 roku, w wieku dwudziestu czterech lat, założyła Damską Agencję Detektywistyczną. Razem z wykwalifikowanym zespołem kobiet pomaga setkom ludzi w rozwiązywaniu ich problemów. Znalazła się w finale plebiscytu na Business Woman 2011 roku, została również nominowana do nagrody Inspirational Woman of the Year Award 2012. Trafiła na szczyt brytyjskiej listy Mumpreneur.**

*Dla Bena, Paris i Peaches*

– Jest już ósma? – pyta Steph.  
– Marzenie – odpowiadam.  
– Wydaje mi się, że siedzimy tu całą wieczność. Tyłek mi zdrętwiał. Muszę rozprostować nogi.

Ni stąd, ni zowąd słyszę radosną melodyjkę jak z dziecinnej zabawki. Furgonetka lodziarza!

– Proszę bardzo, masz idealną okazję – mówię, podając Steph monety i wysyłając ją na poszukiwanie lodów.

– Bosko! Obserwacja od razu staje się łatwiejsza, kiedy się zjawia lodziarz...

Steph ma rację. Tkwimy przed tym domem już od bitych ośmiu godzin, przed nami jeszcze trzy. Osobiście jestem zdania, że można by to zaklasyfikować jako metodę tortur.

Moje życie to czysty obłąd. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nigdy nie wiem, czego się spodziewać, kiedy dzwoni telefon. Gdy już mi się wydaje, że słyszałam naprawdę wszystko, zjawia się ktoś zupełnie nowy, z bardzo dziwaczną historią i, co najważniejsze, z problemami, które naprawdę wymagają rozwiązania.

Mówiąc „problemy”, nie mam bowiem na myśli spraw w rodzaju: „Kto dzisiaj parzy herbatę?” albo „Co założę na sobotnią randkę?”. Problemy, o jakich słyszę i w które potem pakuję się po same uszy, są typu: „Czy mój mąż ma romans?” (bardzo powszechny); „Czy ten multimilioner z flotą jachtów i ochroniarzami, którego poznałam w sieci, jest prawdziwy?” (co prawda nie trafia się codziennie, ale to kolejny rodzaj oszusta) albo „Czy dom mojej dziewczyny za dnia służy za dyskretny burdel?” (brzmi nedorzeczenie, ale zdziwilibyście się, jak często mamy z tym do czynienia).

W moim życiu osobistym nigdy nie brakowało dramaturgii, ale gdy już miałam jej powyżej uszu, objawiła się w zupełnie nowej postaci – jako agencja detektywistyczna!

Klient chwytą za słuchawkę i wylewa swoje żale. Ja siedzę i słucham. Jeśli wpada w emocjonalną rozpacz, staram się postawić na jego miejscu. Swego czasu sama znalazłam się w podobnej sytuacji – i nie miałam się wtedy do kogo zwrócić. Czy jestem wstrząśnięta albo zaskoczona? Nic z tych rzeczy. Wszystkie te historie wydają się szalone i dramatyczne, ale nie są wysane z palca. Tak wygląda moje życie. Moje p r a w d z i e życie. Dzień za dniem próbuję ułożyć największą układankę znaną ludzkości, łącząc poszczególne kawałeczki, żeby dla klienta wyłowić z nich jakiś sens. Układamy obraz, a ten ukazuje prawdę. Co gorsza, moim zdaniem to najzupełniej normalne zajęcie.

Czasami zastanawiam się, czy z moralnego punktu widzenia postępuję właściwie... Możesz należeć do Frakcji O Tak albo Frakcji O Nie.

Frakcja O Tak: Robię to właśnie dla nich. Ci ludzie wierzą w każdy aspekt naszej pracy. Doceniają chęć poznania prawdy i istnienie agencji takich jak nasza, do których mogą się zwrócić. Całym sercem pochwalają motto mojego życia: „Jeśli nie masz nic do ukrycia, to nie masz również się czego bać”.

Frakcja O Nie: Ci tak naprawdę nienawidzą mnie (i naszej agencji) i dają to wyraźnie do zrozumienia. Mówią, że łapiemy ludzi w pułapkę, rujnujemy związki i na siłę doszukujemy się rzeczy, które nie istnieją. Myślę, że oni n a p r a w d ę mają coś do ukrycia!

Nie zrozumcie mnie źle. Jestem głęboko przekonana, że zapewniamy społeczeństwu dostęp do doskonałej usługi i udzielamy pomocy każdemu, kto o nią poprosi. Są jednak takie dni, kiedy Frakcja O Nie zaprzęta mnie całkowicie. Przez nich zaczynam podawać w wątpliwość swoją moralność i przekonania. Najpierw wdaję się w spór z samą sobą o to, co dobre, a co złe, ale potem odpuszczam. Nie sądzę, żebym była złym człowiekiem z tego powodu, że robię to, co robię.

Mam pewne marzenie i mocno się go trzymam. Marzenie, żeby pomagać ludziom w potrzebie, żeby mieli się do kogo zwrócić, kiedy zostaną całkiem sami. Właśnie dlatego dzisiaj tkwię w tym samochodzie z koleżanką po fachu i jednocześnie przyjaciółką, która wspólnie ze mną uknuła ten szalony plan. Siedzimy z lornetką w gotowości, żeby dopaść zdradzających współmałżonków albo dawno niewidzianych ukochanych, transseksualistów, zaginionych krewnych lub, od czasu do czasu, domowego zwierzaka czy dwa. Każdy czasem zadaje sobie to samo pytanie: Jakim cudem moje życie potoczyło się właśnie takim torem?

## Jak to się zaczęło

W 2009 roku stanęłam przed wyborem, który miał na zawsze zmienić moje niepozobawione wybojów życie. Byłam nieszczęśliwa od lat, mniej więcej odkąd wyszłam za mąż. Nowe dramaty dopadały mnie ze wszystkich stron. Miałam dwadzieścia cztery lata i byłam mamą małego aniołka, niespełna trzyletniej Paris. Czy naprawdę chciałam zasilić statystyki rozwodowe w tak młodym wieku? Z pewnością nie – to był mój największy koszmar. Przez trzy lata walczyłam o małżeństwo, chociaż już na tydzień przed ślubem wiedziałam, że powinnam go odwołać.

Nie zrozumcie mnie źle. Na początku James, mój mąż, był fantastyczny. Ale zmienił się, po tym jak poprosił mnie o rękę, a ja zaszłam w ciążę. Poznaliśmy się w klubie nocnym i od początku wiedziałam, że James lubi się zabawić. Ostrzegłam go jednak, że musi się kontrolować, jeśli chce ze mną być. I przez pewien czas rzeczywiście to robił. Przestał widywać się ze swoim najlepszym kumplem, Martinem, który miał podobne zamiłowanie do imprez. Przez pewien czas nawet nie odbierał od niego telefonów.

Przez jakiś rok wszystko układało się wspaniale, lecz gdy tylko zaszłam w ciążę, najlepszy kumpel wrócił do gry. James doszedł do wniosku, że jestem „koszmarnie nudna”, chwycił za telefon i zadzwonił do Martina. Potem zaczął znikać. Jak gdyby nigdy nic wychodził do pracy, po czym przez trzy dni nie wracał do domu. To nie były żadne przypadkowe wyjazdy; latał do Włoch, Hiszpanii, często do Irlandii. Wracałam do domu i sprawdzałam, czy jego paszport leży na miejscu. Dzięki temu wiedziałam, czy mogę się go wkrótce spodziewać. W trakcie tych wyjazdów ignorował moje telefony i SMS-y, a po powrocie zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Jakby to wariackie życie, które wiedliśmy, było czymś najzupełniej normalnym. Koniec końców złamał mnie psychicznie. Uwierzyłam, że właśnie w ten sposób postępuje każdy mężczyzna, a każda kobieta musi to znosić. Sądziłam, że tak po prostu w życiu bywa.

Potem przyszła pora na inne kobiety. Po mojej rodzinnej wsi, niewielkim Barrowford w hrabstwie Lancashire, zaczęły krążyć plotki. To jedno z tych miejsc, gdzie każdy zna każdego, a domy wyglądają jak z urokliwych pocztówek. Wszystko, co dotąd kochałam w Barrowford – zżyta społeczność i puby, cudowne zwłaszcza w słoneczne letnie popołudnia – teraz budziło we mnie nienawiść. Ludzie w pubach szeptali za moimi plecami, a wieloletni znajomi przekazywali mi wieści o moim rzekomo wspaniałym małżeństwie. Dowiedziałam się, że widziano, jak James obściskał miejscową ladacznicę, że wysyłał SMS-y przypadkowym dziewczynom. Koszmar. Miejsce dotąd tak bliskie mojemu sercu wypełniło się poczuciem klęski i przygnębienia.

Pewnego dnia James oświadczył, że się wyprowadza. Byłam w siódmym miesiącu ciąży, od naszego ślubu minęły dwa miesiące. Przecież to nie miało sensu.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam.

– Ten dom przestał mi się podobać. – Tyle słowem wyjaśnienia.

Czego ode mnie oczekiwał?

– Zostań tutaj. Wróć, kiedy znajdziesz coś innego, a tymczasem zatrzymam się u Martina.

Tym sposobem zamieszkałam samotnie w wiejskim domu z trzema sypialniami, na odludziu, wiele kilometrów od swoich bliskich. Noce były zimne i ciemne, a ja się czułam bardzo samotna. Mogłam wrócić do rodzinnej wsi, ale czy naprawdę tego chciałam? Byłam mężatką

z rachunkami do zapłacenia i domem na głowie, spodziewałam się dziecka. Miałabym rzucić zabawki i z powrotem zamieszkać z rodzicami?

Krążące po wsi plotki przybrały na sile. Teraz, kiedy mój mąż się wyprowadził, wątpiałam we wszystko. Czy naprawdę mieszkał u Martina? Czy to przeze mnie się wyniósł? Może chciał się związać z kimś innym? Przecież nikt się nie wyprowadza tak po prostu, bo mu się dom przestał podobać; na pewno istniał jakiś inny powód. Doprowadziło mnie to do paranoi, która osiągnęła takie rozmiary, że nie mogłam normalnie funkcjonować. Każdej nocy kładłam się spać z dziesiątkami pytań krążących nieprzerwanie po mojej głowie niczym odtwarzana w kółko piosenka.

Wciąż normalnie ze sobą rozmawialiśmy i nie zamierzaliśmy się rozstawać, ale ja pomału staczałam się na samo dno, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Zadzwoiłam do Jamesa w piątek po pracy, żeby ustalić, co robimy w weekend. Już go nie było. W pierwszym odruchu zbytnio się nie przejęłam. Potem zaczęłam się martwić; godzinę później wiedziałam już, na czym stoję. Znowu to zrobił – zniknął. I nikt nie wiedział gdzie. Osunęłam się na podłogę, zalewając się łzami.

Byłam w siódmym miesiącu ciąży. To wszystko mnie przerastało. Musiałam coś zrobić z tą paranoją, dowiedzieć się, co kombinuje James. Przerazona i zdenerwowana, sięgnęłam po książkę telefoniczną i zaczęłam wydzwaniać do prywatnych detektywów. Opowiedziałam im o swojej sytuacji, wyjaśniłam, dlaczego mam pewne podejrzenia, i oznajmiłam, że chcę, aby przez pewien czas śledzili mojego męża.

Zadzwoiłam łącznie do trzech i ostatecznie poczułam się o wiele gorzej niż przedtem. Klasyka gatunku – chłodni i surowi. Nie obchodziło ich, czy moje podejrzenia miały uzasadnienie, ani tym bardziej to, w jakim byłam szoku; nawet nie myśleli o moich uczuciach. Wszyscy reprezentowali to samo podejście: naciągnąć mnie na horrendalną sumę i jak najszybciej zwolnić linię. Jeden mógłby mi pomóc, gdybym zatrudniła go na minimum jeden dzień, drugi – na minimum tydzień. Niezależnie od wszystkiego każdy z nich liczył sobie blisko sto funtów za godzinę, zanosilo się więc na kosztowną zabawę. Żadnych gwarancji, że w zamian czegokolwiek się dowiem. Mogli nawet obserwować mojego męża jednego z tych dni, kiedy z pracy wracał prosto do domu. Moja paranoja sięgała zenitu, ale nie byłam głupia. Ani myślałam wyrzucać blisko tysiąc funtów w błoto bez jakiegokolwiek gwarancji sukcesu.

W przyptywie desperacji zadzwoiłam do Jess, jednej z najlepszych przyjaciółek, z którą wiele razem przeszłyśmy. Poznałam ją sześć lat temu, kiedy pracowałam na swoim pierwszym stanowisku po studiach jako koordynator do spraw marketingu w miejscowym klubie nocnym. Jess bywała tam niemal każdego wieczoru, bo uwielbiała imprezować. Którejś niedzieli weszłam do klubu i zobaczyłam ją siedzącą na sofie. Jak zwykle ucieszyłam się na widok jej przyjaznej twarzy, lecz z oczu Jess zniknął cały blask. Przywitałam się radośnie, ale Jess tylko pokręciła głową. Usiadłam obok.

– Moja mama umiera – powiedziała.

Myślałam, że to jakiś pokręcony żart, serio.

– Tak, jasne – odparłam.

– Naprawdę. Dwa dni temu poszła na drobny zabieg. Wywiązały się jakieś komplikacje. Adrian i ja byliśmy właśnie w szpitalu. Lekarze powiedzieli, że musimy ją odłączyć.

Mama Jess była wspaniałą kobietą. Zawsze potrafiła mnie rozbawić, a jej dom stał otworem dla wszystkich znajomych córki. Ojciec Jess gdzieś przepadł. Odkąd się poznałyśmy, były tylko Jess i jej mama, papużki nierozłączki i najlepsze przyjaciółki. Jess miała dopiero osiemnaście lat, a jej mama ledwo przekroczyła czterdziestkę, dlatego informacja o jej nagłej chorobie bardzo wszystkim wstrząsnęła.



Następnego dnia Jess i jej brat Adrian pojechali do szpitala, żeby się pożegnać i odłączyć aparaturę podtrzymującą życie. Zaledwie przed tygodniem ich matka była w doskonałej formie i czuła się wyśmienicie, krążąc po domu z odkurzaczem. Teraz nie żyła.

Potem był pogrzeb i cała reszta. Nie został nikt, kto mógłby zatroszczyć się o Jess. Nie miała nikogo, z wyjątkiem żonatego brata. Jedno nie ulegało wątpliwości – w tamtym okresie połączyła nas więź, której nic nigdy nie zerwie.

No dobrze, wróćmy do mojej rozmowy z Jess.

– Potrzebna mi twoja pomoc. Gdzie jesteś? – zapytałam. Miała pojęcie o tym, co przez ostatnie miesiące działo się w moim małżeństwie, nie wiedziała jednak o wszystkim.

– Na meczu piłki nożnej. Kapitalny! Prowadzimy dwa do zera! – Była wyraźnie pod wpływem alkoholu, ale miałam to gdzieś.

– Przyjadę po ciebie. Zaraz.

Jess nie kryła niezadowolenia, ale po krótkiej dyskusji zrozumiała, że odmowa nie wchodzi w grę i że nie obejrzy meczu do końca.

Piętnaście minut później stałam na parkingu przy boisku w czarnym range roverze, moim oczku w głowie. W bocznym lusterku widziałam, jak Jess pędzi chodnikiem ile sił w nogach. Wsiadła do samochodu, zapytała, co się stało, i wtedy wyrzuciłam z siebie całą godną politowania opowieść. Chciałam pojechać do pubu, w którym, jak sądziłam, zastanę Jamesa, i odkryć, co kombinuje.

– W takim razie jedźmy dorwać drania – przytaknęła Jess.

Zawsze mogłam na nią liczyć, a podobnych sytuacji czekało nas jeszcze wiele. W ciągu następnych tygodni często przesiadywałyśmy przed pubami, zerkając przez szyby do środka, czy przypadkiem nie ma tam Jamesa. Nasze pierwsze podejścia zakończyły się jednak klęską. Przyszła pora, by wspiąć się na nieco wyższy poziom.

Jess nie była jedyną osobą, którą ściągnęłam do pomocy przy moim śledztwie. Na głębokie wody wypuściły się także Stephanie i moja wieloletnia przyjaciółka Helen. Poznałam Stephanie jeszcze w czasach szkolnych. Miałyśmy wtedy po siedemnaście lat i pracowałyśmy obie na pół etatu w *call center*. Ta dziewczyna jest tak śliczna, że aż się robi niedobrze! Znam ją od najgorszej strony, a i tak uważam za uosobienie ideału: naturalna piękność o długich jasnych włosach i niebieskich oczach. A na dodatek drobna i szczuplutka! Wiele dziewczyn zdaje sobie sprawę z własnej urody i chętnie ją wykorzystuje. Ale nie Steph. W jej wyglądzie nie ma niczego sztucznego. Nie chce nawet używać kremu brązującego do twarzy (czego osobiście nie jestem w stanie pojąć!). Mężczyźni mdleją na jej widok. Naturalne piękności to dzisiaj rzadkość, dlatego Steph budzi taki zachwyt.

Helen jest ode mnie o parę lat młodsza. Ma w sobie coś z hardej, wyluzowanej i jednocześnie konserwatywnej dziewczyny. Siedem lat temu, kiedy się poznałyśmy, pracowała w *call center*. Jeśli miałabym opisać Helen jednym słowem, byłoby to „skomplikowana”. Zdecydowanie młoda duchem, uwielbia podejmować gości i za zamkniętymi drzwiami zmienia się w kogoś zupełnie innego. W poprzednim wcieleniu była Delią Smith – serio! Sądząc po jej wyglądzie, nikt by się nie spodziewał, że ta kobieta to urodzona gospodyni domowa. Od osiemnastego roku życia Helen mieszka sama. Bez żadnego konkretnego powodu; po prostu bardzo ceni sobie niezależność.

Przez następne tygodnie zajmowałyśmy się razem mnóstwem spraw, którymi nie powinnyśmy zajmować się wcale. Noce spędzałyśmy przed pubami Barrowford, oglądając odcinki *Przyjaciół* na przenośnym odtwarzaczu DVD z paczką chipsów Doritos w jednej ręce i obowiązkową lornetką w drugiej. W sześciu przypadkach na dziesięć natknęłyśmy się na Jamesa. Patrzyłyśmy, jak kleił się do dziewczyn przy barze, jak je obejmował, szeptał im czule

słówka – aż w końcu na naszych oczach przyssał się do jednej z nich. Wtedy trafił mnie szlag.

– Dostyc tego dobrego. Wchodzę – oznajmiłam, w połowie drogi z samochodu do pubu zakładając szpilki na gołe stopy. Byłam już w ósmym miesiącu ciąży i szczerze mówiąc, nie prezentowałam się najlepiej. Nie obchodziło mnie to. Nie potrzebowałam więcej dowodów. Słyszałam plotki, a teraz zobaczyłam to na własne oczy. Nie musiałam nawet zgadywać, co James wyprawiał za zamkniętymi drzwiami.

Wparowałam do pubu w towarzystwie rozwścieczonych przyjaciółek. Na mój widok James zareagował tak, jakbym była czymś, w co przypadkiem wdepnął. W tamtym czasie zawsze tak na mnie patrzył – z obrzydzeniem. Czy to ja miałam paranoję? Tego nigdy się nie dowiem.

Zapytałam, co on sobie wyobraża, na co odparł spokojnie, że pije drinka z przyjaciółką. Dziewczyna obok niego rzuciła mi mordercze spojrzenie, jakbym to ja zawiniła.

– Zbierasz się już do domu? – zapytał chłodno.

Zupełnie jakbym żyła w stanie zawieszenia. Czy on nie zdawał sobie sprawy, że widziałam, jak się całowali? A może go to w ogóle nie obchodziło? Chyba nie.

– A ty? Idziesz? – zapytałam, wciąż dżgana spojrzeniem tamtej dziewczyny. Jak ona mogła, widząc mój wielki brzuch? To by było wszystko, jeśli chodzi o solidarność jajników...

– Nie, ale za to ty tak – odparł, po czym wstał i pchnął mnie w stronę wyjścia.

– Nie jest tego wart – powiedziała Stephanie, delikatnie biorąc mnie pod ramię.

Nie zamierzałam robić sobie więcej wstydu, dlatego odwróciłam się bez słowa i wyszłam, zostawiając swojego męża z tamtą dziewczyną.

Potem, w samotności, zaczęłam zadawać sobie dziesiątki pytań. Skoro był taki nieszczęśliwy, to dlaczego po prostu ze mną nie skończył? Dlaczego udawał, że nic się nie dzieje? Co takiego zrobiłam? Czy powinnam odejść i tym samym przyznać się do porażki? Jak teraz wychowam dziecko? Nie byłam na to gotowa, kiedy dowiedziałam się o ciąży, a teraz, na miesiąc przed terminem porodu, nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Sześć miesięcy przed ślubem James i ja postanowiliśmy, że zaczniemy starać się o dziecko. Oboje sądziliśmy, że trochę to potrwa, bo od lat brałam tabletki antykoncepcyjne. Błąd. W wakacje dopadły mnie pierwsze mdłości i nie dostałam okresu.

Przypadkiem tak się złożyło, że w poprzedni weekend James zniknął po raz pierwszy. Wyszedł w piątek i wrócił w poniedziałek jak gdyby nigdy nic. Bardzo się tym przejęłam. Pojechał na koncert i z rozmysłem ignorował moje telefony i SMS-y, a ja myślałam, że leży gdzieś martwy. Czy to była pierwsza zapowiedź przyszłych wydarzeń? Nie miałam o tym pojęcia, tak czy owak zrobiłam mu wtedy piekło. Zazwyczaj jestem bardzo spokojną osobą, z niefrasobliwym podejściem do życia, ale wtedy naprawdę się wystraszyłam.

A teraz prawdopodobnie zaszłam w ciążę. Czy to był dobry moment? Czy podążałam właściwą drogą? Kiedy przyszło mi do głowy, że może rzeczywiście spodziewam się dziecka, wcale nie ogarnęła mnie ekscytacja ani radość, które powinnam czuć w tej sytuacji. Byłam przerażona. Poszłam do sklepu Sainsbury's i kupiłam test ciążowy. Nie mogłam dłużej czekać, zamknęłam się więc w toalecie i zrobiłam test, po czym wróciłam do samochodu, zerkając nerwowo na wynik. Pozytywny. Co zrobiłam? Zadzwoiłam do Stephanie. Nie do przyszłego męża, ale do najlepszej przyjaciółki. Nie zatańczyłam z radości pośrodku parkingu. Odkrycie, które było punktem zwrotnym w moim życiu, przebiegało zupełnie inaczej, niż powinno.

Stephanie od razu się zorientowała, że nie jest mi wesoło. Gdyby nie ta cała historia ze zniknięciem na weekend, pewnie byłoby inaczej. Słyszałam w swojej głowie ostrzegawcze głosy, ale co innego mogłam w tej sytuacji zrobić?

Steph stwierdziła, że wcale nie muszę mu nic mówić. Ale jeśli postanowię powiedzieć Jamesowi o ciąży, to ona będzie się cieszyć razem ze mną.

Rozłączyłam się i przez dziesięć minut siedziałam w milczeniu. Nie miałam jednak wątpliwości. Chciałam tego dziecka i zamierzałam je urodzić.

Pojechałam do Jamesa, żeby mu o wszystkim powiedzieć. Był w pracy. Usiedliśmy razem, pokazałam mu test i... nic.

– Świetna wiadomość – stwierdził po chwili. Uścisnął mnie, a potem wrócił do pracy. Tym sposobem dotarliśmy do punktu zwrotnego w naszym wspólnym życiu.

Kiedy spoglądałam w przeszłość, widzę, że w naszym związku wszystko zawsze stało na głowie. Dzwonki ostrzegawcze odzywały się jeden za drugim. Pewnej późnej marcowej nocy przerwałam swoje śledztwo. Nasza córka miała przyjść na świat już za trzy tygodnie, a ja byłam wielka jak ciężarówka. Wciąż mieszkaliśmy osobno i nie zanosilo się na to, że życie zacznie układać się lepiej.

Stephanie i ja od kilku godzin siedziałyśmy przed pubem i obserwowałyśmy Jamesa. Pod wejście zajęchała taksówka. Wsiadł do niej tym razem z Martinem. Ruszyłyśmy w pościg. Dziesięć minut później poczułyśmy, że coś tu nie gra. Taksówka robiła wielkie koło po całej wsi i bez żadnego wyraźnego powodu skręcała w boczne alejki. Kiedy przyspieszyła, zrozumiłyśmy, że nas zauważono. Powinnam była zaniechać dalszego pościgu, ale czy to zrobiłam? Co zamierzałam osiągnąć? Nie wiedziałam, ale też nie zatrzymałam samochodu. Wbrew ograniczeniu do pięćdziesiątki gnałyśmy wąskimi uliczkami z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Czysty obłęd. Stephanie była przerażona. Błagała, żeby się zatrzymać, lecz coś mnie opętało.

Taksówka podjechała pod dom moich rodziców. Czekali na zewnątrz, oboje w szlafrokach. James musiał do nich zadzwonić i powiedzieć, co się dzieje. Taksówka zaparkowała, a ja zatrzymałam się za nią. Kazałam Stephanie wysiąść i porozmawiać z moimi rodzicami. Między nimi a Jamesem wybuchła żarliwa kłótnia, ja jednak nie chciałam opuścić samochodu. Wiedziałam, że James zaraz się stąd zwinie, i zamierzałam pojechać za nim.

James i jego kumpel wsiedli z powrotem do taksówki i ruszyli z piskiem opon. Ja również. Pościg rozpoczął się na nowo, ale nie potrwał długo. Taksówkarz stracił panowanie nad samochodem i dał po hamulcach tak ostro, że nie mogłam uniknąć stłuczki. Wjechałam mu prosto w tył.

James został w środku, ale kierowca wysiadł i wrzasnął:

– Coś ty zrobiła z moją taryfą!?

Żaden z samochodów nie chciał odpalić.

James zadzwonił do moich rodziców i zrelacjonował im, co się stało. Natychmiast przyjechali, wciąż w szlafrokach. Kiedy stałam na poboczu, patrząc, jak pomoc drogowa odholowuje samochód, przysięgłam sobie, że już nigdy więcej nie będę śledzić Jamesa. Od tamtej pory mógł robić, co mu się żywnie podoba. Cała ta sytuacja wymknęła się spod kontroli, miałam już dość. Zastanawiałam się, czy ta nieustanna potrzeba poznania prawdy nie wpędziła mnie w psychozę. Czy potrzebowałam pomocy psychiatry? Czy on zachowywał się normalnie, a ja irracjonalnie? Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. Moje małżeństwo legło w gruzach. Nigdy nie powinno było do niego dojść.

James i mama nie rozmawiali ze sobą, dopóki nie trafiłam na porodówkę. W porównaniu z ciążą sam poród był łatwy. Paris przyszła na świat wiosną 2006 roku. Do tego czasu znalazłam dla nas nowy dom i James wprowadził się z powrotem.

Przez kilka tygodni sprawy nieźle się układały. Nie jakoś szczególnie, po prostu – nieźle. Paris była dla mnie jedynie małym kłębkim energii, który zjawił się nagle w moim życiu i którym musiałam się zajmować. Nie czułam, że ją urodziłam, że to w ogóle moje dziecko. Nic nie miało sensu. Prowadziłam nieustanną wojnę z własnymi myślami. Teraz gdy przypominam

sobie owe chwile, wydaje mi się, że tamte uczucia wzięły się z moich dramatycznych przeżyć w trakcie ciąży. Byłam poturbowana emocjonalnie i zamiast dochodzić do siebie, pograżałam się coraz bardziej. Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Paris miała osiem tygodni, kiedy James znowu zniknął, tym razem chyba na dobre. Prawdę mówiąc, nie przejęłam się tym szczególnie. Zostawił potem liścik na drzwiach moich rodziców. Napisał, że kocha mnie i Paris, ale nie może już z nami dłużej żyć.

Z początku byłam zdruzgotana, co trwało cały dzień. Potem uznałam, że wystąpię o rozwód, adwokat wyjaśnił mi jednak, że można to zrobić dopiero po roku małżeństwa. Zmieniłam więc numer telefonu i poleciłam rodzicom, żeby nie odbierali żadnych rozmów w moim imieniu.

Później zaczęła mnie nękać matka Jamesa. Po trzech tygodniach ugięłam się i spotkałam z nią. Powiedziała, że James chciałby ze mną porozmawiać. Okazało się, że był w Hiszpanii. Uznałam, że mimo wątpliwości uwierzę mu na słowo – głównie po to, żeby zrozumieć, dlaczego to zrobił – i zadzwoniłam do niego.

Pamiętam tamten dzień, jakby to było wczoraj. Przyjechałam do rodziców. Jess i mama siedziały w salonie, a ja ze słuchawką przy uchu na schodach w korytarzu. Urządziłam Jamesowi małe przesłuchanie. Obmyślił sobie, że Paris i ja mamy wyjechać do Hiszpanii i zamieszkać razem z nim. Zachowałam dla siebie, jakie niecenzuralne wyrazy padły z moich ust. Zawsze wychodziłam z założenia, że przekleństwa niespecjalnie wzmacniają argumenty, lecz tamtego dnia wylały się ze mnie potokiem. Moja krótka odpowiedź na jego plan brzmiała: nie.

Zanim się obejrzałam, tato był już w swoim gabinecie na piętrze i rezerwował mi bilet na pierwszy poranny lot easyJetem.

– Polecisz tam, sprowadzisz go z powrotem i zrobisz wreszcie porządek. Już zapłaciłem za twój bilet, nie masz innego wyjścia.

Na próżno usiłowałam walczyć. Następnego ranka byłam już w drodze na lotnisko. Paris została z mamą i tatą.

Przekonanie Jamesa zajęło mi trzy tygodnie, ale i tak odmówił powrotu do naszej rodzinnej wsi. Chciał zacząć wszystko od nowa, a ja, szczerze mówiąc, uważałam, że to pomoże naszemu małżeństwu. Nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie zamieszkamy, mimo to zapakowaliśmy się do samochodu i, jeszcze bez Paris, wyruszyliśmy w drogę. Najpierw była Szkocja, potem Kraina Jezior. Udałam się do pośredników w handlu nieruchomościami i powiedziałam, że wynajmujemy tymczasową kwaterę i nie ruszymy się stąd, dopóki nie znajdziemy czegoś na stałe.

W tamtym czasie pracowałam już w branży deweloperskiej, dlatego przeprowadzka nie sprawiała mi większych trudności. Znalazłam stodołę pośrodku pola i krok po kroku zaczęłam ją przerabiać na dom marzeń. Mogło się wydawać, że miałam wszystko: nawróconego męża, wspaniałą karierę, świetny samochód, przepiękną córkę i czego tylko dusza zapagnie.

Ale w środku byłam pusta. Z każdym dniem coraz bardziej pociągała mnie myśl o śmierci. Kiedy rodzina przyjechała do nas z wizytą, natychmiast zorientowała się w sytuacji, a ja zdałam sobie sprawę, że cierpię na ciężką depresję poporodową.

Nie mogłam udźwignąć nic więcej. Wiedziałam, że potrzebuję pomocy, i to szybko. Gdybym jej nie otrzymała, szybko posunęłabym się do drastycznych rozwiązań. Pisałam do Paris listy, w których przeproszałam za to, jaką kiepską byłam dla niej matką. To, że sama sprowadziłam ją na ten popaprany świat, zakrawało na marny dowcip.

Zrobiłam dwie rzeczy, żeby sobie pomóc. Przede wszystkim poszłam do lekarki, która przepisała mi leki przeciwdepresyjne. Lecz James wyrzucił je przez okno, kiedy się o tym dowiedział. Nie chciał, żebym je brała, bo uważał, że po nich mój stan się tylko pogorszy. Raz

jeszcze udałam się do lekarki i wyjaśniłam, co się stało. Ponownie wypisała mi receptę i zaczęłam brać leki.

Drugi krok był nieco bardziej pokręcony i irracjonalny. Nie przyjmowałam porażki do wiadomości, zamiast więc po prostu zakończyć swoje małżeństwo, odnowiłam kontakt z mężczyzną, za którym szalałam od siedemnastego roku życia. Miał na imię John i był żonaty. Już raz wdaliśmy się w romans, zakończyłam go jednak, gdy poznałam Jamesa. Od tamtej pory nie rozmawialiśmy ze sobą.

Osiemnaście miesięcy później, kiedy Paris wciąż była malutka, wzięłam telefon i wysłałam mu SMS-a: „Chcesz się spotkać?”.

Nie spodziewał się tego, ale po chwili odpisał, że tak. Następnego dnia poszłam się z nim zobaczyć. John nie przestawał się uśmiechać i wkrótce sprawił, że znów poczułam się atrakcyjna. Zdążyłam już zapomnieć, jak to jest. Chciał wiedzieć o wszystkim, co przeszłam, dlatego szczerze wyrzuciłam z siebie emocje. Wyznałam, że James mnie zdradza, a John okazał współczucie i zrozumienie. Słuchał i naprawdę przejmował się tym, co mówiłam. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio czułam, że mężczyzna mnie słucha. W mgnieniu oka znów oszalałam na jego punkcie.

Jak można się było spodziewać, na nowo uwikłaliśmy się w pewien rodzaj związku, który trwał przez kilka następnych lat. Czy to było mądre posunięcie z mojej strony? Miałam męża, na którym nie mogłam polegać, który mnie zdradzał, a jakie rozwiązanie znalazłam? Tak jest, panna mądralińska też zaczęła zdradzać. Jeśli chodzi o związki, wciąż musiałam się sporo nauczyć.

# Wolność

Szybki przeskok do 2009 roku. Moje życie było zwariowane. Wciąż byłam mężatką. Przestałam szukać dowodów na niewierność męża, bo już się nią nie przejmowałam. Nie chciałam wiedzieć. Zamiast tego za każdym razem, gdy James mnie zranił albo zdenerwował, zwracałam się do Johna. A on słuchał i rozumiał. Oboje prowadziliśmy podwójne życie – ja swoje z Jamesem, on swoje z żoną, a do tego mieliśmy jeszcze nasze wspólne.

Przez długi czas udawałam, że to związek bez zobowiązań. Lecz im gorzej działało się w moim małżeństwie, tym bardziej uświadamiałam sobie, jak silne uczucia żywię w stosunku do Johna. Ludzie twierdzą, że nie angażują się emocjonalnie w romanse, ale ja w to nie wierzę. Wiedziałam, że nie mam prawa do podobnych uczuć, bo przecież John nie był mój. Przeżykałam gorycz i ból, że nie możemy być razem, a jednocześnie tkwiłam w skomplikowanym małżeństwie, przez co cierpiałam jeszcze bardziej.

Koniec końców stało się jasne, że zakochałam się w Johnie po same uszy, za to męża nie kochałam już wcale. Potrzebowałam Johna, nie wyobrażałam sobie życia bez niego po drugiej stronie słuchawki. Uważałam go za jedyną osobę, na której zawsze mogę polegać. Serio, byłam w rozsypce.

Depresja poporodowa wreszcie ustąpiła i zaczęłam kochać córkę tak, jak powinnam była od samego początku. Żałowałam jednak tego bezpowrotnie straconego czasu. Musiałam jej wiele wynagrodzić.

Potem moja kariera zawodowa podupadła na skutek kryzysu ekonomicznego. Specjalizowałam się w renowacji domów wartych ponad pół miliona funtów. Byłam w połowie prac nad najnowszym projektem – przebudową przepięknej wiejskiej posiadłości z epoki georgiańskiej. Miała wysokie, sklepienie sufity i prawdziwy charakter. Znałam na wylot każdy jej centymetr. Przez całe lato zdierałam kolejne warstwy tapet, co jest sporym dokonaniem w przypadku dziewczyny, która przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nosi szpilki. Uczyłam się o schematach kolorystycznych z epoki i tradycyjnych barwach stosowanych ówczesnie w poszczególnych pomieszczeniach. Czerwony salon. Sypialnia w bladym odcieniu ni to niebieskiego, ni to zielonego. Złota jadalnia i tak dalej.

Moja matka uważała, że posiadłość jest nawiedzona. Któregoś dnia chciała zapalić świece w kandelabrze, aby zrobić zdjęcia jadalni, ale świece bez przerwy gasły. Później, podczas obiadu, relacjonowała tę historię tacie, która w cudowny sposób nieco się zmieniła:

– Świece zgasły... i wtedy tuż obok mnie przemknęła biała dama...

Kochana mamusia – cóż za wyczucie dramaturgii! (Wystarczy, że spędzilibyście z nią pół godziny, a zrozumielibyście w czym rzecz!)

Posiadłość nie należała do mnie, ale zatrzymywałam się tam, gdy tylko mogłam. Pokochałam ją razem z jej duchami i przeszłością. Kiedy moja spółka ogłosiła bankructwo, wymierzyła mi tym samym cios, którego się nie spodziewałam. Na ukończenie przebudowy zostało mi dwanaście tygodni, tymczasem w nieruchomości wciąż brakowało kuchni i łazienek. W pierwszym rzędzie zajęłam się sypialniami. To był wielki błąd. Nie miałam innego wyjścia, musiałam sprzedać posiadłość, w przeciwnym razie spółka przejęłaby nie tylko ją, ale również mój dom. James był przy mnie, kiedy się o tym dowiedziałam, i oboje zdaliśmy sobie sprawę, że na naszych barkach spoczywa duża odpowiedzialność. Jak rozwiązał ten problem? Dał drapakę, zostawiając mnie samą.

To dopełniło czary goryczy. Miałam już powyżej uszu szanownego Jamesa. Podczas tej

konkretnej nieplanowanej wycieczki pod koniec 2008 roku jak zwykle zadzwonił z tym swoim: „Przepraszam, więcej tego nie zrobię”, ale tym razem miarka się przebrała. Dzięki leczeniu, miłości do córeczki i Johna nabrałam sił. Sił, które powinnam była mieć przed ślubem. Dlatego odpowiedziałam Jamesowi, żeby nie wracał. Nasze małżeństwo stało się zamkniętym rozdziałem. Tak, to naprawdę było takie proste.

Złożyłam papiery rozwodowe, nie spoglądając za siebie. Nawet się tym nie zdenerwowałam. Wszyscy sądzili, że się załamie, słyszałam, jak szeptali na mój temat, zamartwiali się, że duszę w sobie złe emocje, ale ja czułam jedynie niewyobrażalną ulgę. Nie musiałam już mieć się na baczności. Mogłam być sobą i robić to, co chciałam i kiedy chciałam. Patrzyłam na przyjaciół w związkach i cieszyłam się, że nie jestem na ich miejscu. Rozpad małżeństwa powitałam z całkowitą beztroską.

Tymczasem mój romans z Johnem stał się problematyczny. Wśród naszych znajomych zaczęły krążyć plotki. Widziano nas razem o tych kilka razy za dużo i dodano dwa do dwóch. Było jedynie kwestią czasu, kiedy nasza tajemnica ujrzy światło dzienne. Moje rozmowy z Johnem krążyły teraz wokół pytania, czy powinniśmy być razem. Raz mówił tak, innym razem nie. Czułam, że tak właściwie to mnie zwodzi.

Próbowałam położyć temu kres. Oznajmiłam Johnowi, że najwyższy czas skończyć nasz związek. Pozbyłam się beznadziejnego męża, a teraz przyszła pora także na kochanka. Pragnęłam przede wszystkim normalnego, szczęśliwego życia z córeczką, tyle że John nie chciał nawet o tym słyszeć. Ostrzegałam go, że jeśli nie da mi spokoju, sama wyjawię nasz sekret, ale mi nie wierzył.

Pewnego wieczoru Paris, która miała wtedy trzy latka, wsadziła sobie do nosa koralik. Koralik utknął. O dziesiątej wieczorem pojechałam z nią prosto do szpitala, gdzie spędziłyśmy całą noc, podczas gdy pracownicy robili wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc małej. Polecili mi, abym nie pozwoliła jej zasnąć, w przeciwnym razie koralik mógłby się przemieścić niżej i zablokować drogi oddechowe, tak więc noc była koszmarem. Nic nie pomogło; Paris czekał zabieg. Odchodziłam od zmysłów, delikatnie mówiąc.

Paris została wypisana następnego dnia, już bez koralika! Parkowałam właśnie na podjeździe rodziców, po blisko trzydziestu pięciu nieprzespanych godzinach, kiedy zadzwonił telefon. To był John. Pokłóciliśmy się wtedy straszliwie. Gdyby nie brak snu, pewnie nie zrobiłabym tego, co zrobiłam, ale nie myślałam wtedy racjonalnie.

– Mówiłam ci już, że z nami koniec – powiedziałam. – Po prostu daj mi spokój.

Najwyraźniej nie wierzył w ani jedno moje słowo, musiałam więc posunąć się do drastycznych środków, żeby zaczął mnie słuchać. Całą wieczność radośnie kręciliśmy się w kółko, raz w jedną, raz w drugą. I trwałoby to tak dalej, bez końca. Rozstalibyśmy się na jakiś czas, a potem wszystko zaczęłoby się od nowa. Nasze dni były policzone. Chciałam być silna, nie wracać do niego. Wtedy wtrącił się mój wrodzony upór. John musiał mnie zniechęcić, podjąć tę decyzję za mnie.

– Powtarzam to po raz ostatni. Jeśli nie dasz mi spokoju, powiem wszystkim o naszym romansie.

– Śmiało, mów – usłyszałam w odpowiedzi.

Po tych słowach rozłączyłam się i już w domu rodziców zalogowałam na Facebooka. Trudno o bardziej niedojrzałe zachowanie, ale jak inaczej wyjawić wielką tajemnicę ogromnej liczbie osób w ciągu zaledwie paru minut?

W trakcie romansu strzegłam pilnie naszego sekretu i zadałam sobie sporo trudu, by nas nie zdradzić. Teraz zrobiłam coś, co musiało sprawić, że John zniechęci mnie na zawsze.

Wyłączyłam komputer, zostawiłam telefon obok i wyszłam z domu. Nie chciałam ulegać

pokusie wykasowania wpisu. Świadomość, że właśnie w najbardziej okrutny sposób skrzywdziłam jedyne go człowieka, który mnie kochał, sprawiała mi ból, ale naprawdę nie widziałam innego wyjścia. Nie mogłam postąpić inaczej. W przeciwnym razie moglibyśmy tak żyć przez kolejne siedem lat.

Kiedy wróciłam do domu, telefon pękał w szwach od wiadomości pozostawionych przez różne osoby i Johna. Nie przeczytałam ich, za bardzo się bałam. Natychmiast pożałowałam tego, co zrobiłam, ale mleko już się rozlało. To był początek końca.

John był zdruzgotany i nieludzko wściekły. Ja też byłam zdruzgotana, romans został jednak bezpowrotnie zakończony. Usunęłam swój wpis, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie musiałam już dłużej ranić Johna. Najbardziej przerażające było to, że decyzję o wyjawieniu publicznie, co nas łączy, podejmowałam z pełną świadomością, że tym samym przekraczam granicę, zza której nie ma już odwrotu. Przez długi czas sądziłam, że John zawsze będzie czekał po drugiej stronie telefonu albo zaraz odpowie na mój mail, a teraz to się skończyło. Czułam się jak małe dziecko, któremu ktoś odebrał przytulankę pocieszycielkę.

Potem zaczęło mnie gryźć sumienie, że tak niefrasobliwie zniszczyłam małżeństwo Johna. Moje własne wyglądało zupełnie inaczej. Wdając się w romans, wiedziałam, co robię i dlaczego, ale nigdy nie myślałam o małżeństwie Johna. A powinnam – on zresztą również. Nigdy nie zdołałam tego naprawić.

Mogłam jedynie spojrzeć w przeszłość i zastanowić się nad tamtym cierpieniem i smutkiem, a potem wykorzystać to doświadczenie, by stać się lepszym człowiekiem. Analizowałam w nieskończoność minione siedem lat mojego życia, po czym wyobraziłam sobie, że wykopałam głęboki dół i wszystko w nim pogrzebałam. W ten sposób wyciągnęłam wnioski na przyszłość i mogłam ruszyć dalej. Ogólnie rzecz biorąc, dzięki temu stałam się lepsza dla Tego Jedyne go, kiedy wreszcie się zjawi. I naprawdę liczyłam na to, że pewnego dnia zdołam stworzyć normalny związek bez kłamstw i paranoi. James wciskał mi jednak, że to jest niezbędny element każdego małżeństwa. Tymczasem zostałam sama z moją księżniczką. I prawdę mówiąc, niczego więcej nie było mi trzeba.

Cudem zdołałam ukończyć przebudowę georgiańskiej posiadłości trzynastie tygodni po ultimatum. Przekroczyłam termin o tydzień, ale jakimś cudem uszło mi to płazem. Nic nie zarobiłam, a moja kariera w branży oficjalnie dobiegła końca. Został mi tylko jeden budynek – stodoła pośrodku szczerego pola, którą kupiłam w 2006 roku i przerobiłam na dom, niestety wciąż wymagający nakładów pracy. Mimo to kochałam go z całego serca. Paris i ja wprowadziłyśmy się tam i od tej pory zaczęłyśmy kursować między nim a domem moich rodziców. Fantastycznie, że w tamtym okresie mogłam liczyć na ich wsparcie. Prawdę mówiąc, stodoła stała na odludziu, za towarzystwo miałyśmy tam jedynie kilkadziesiąt owiec. W rezultacie większość czasu spędzałam w domu rodziców, dzięki czemu pomagali mi w opiece nad Paris.

W następnej kolejności musiałam znaleźć pracę. Od pewnego czasu chodził mi po głowie pewien pomysł. Chciałam otworzyć własną agencję detektywistyczną. Coś mi mówiło, że znajdzie się spory popyt na tego rodzaju usługi. Ludzie, którzy chwytają za telefon, tak jak robiłam to ja, przechodzą największy koszmar w swoim życiu. Potrzebują kogoś, kto by ich zrozumiał i nawiązał dialog, a nie próbował oskubać; nie zwracają się do prywatnych detektywów dla zabawy. Powody, dla których to robią, są zazwyczaj śmiertelnie poważne.

Jak sama się przekonałam, nie da się zatrudnić prywatnego detektywa na godzinę. Zamiast tego duże agencje zdzierają z bezradnego klienta honorarium co najmniej za dzień plus dodatkowe wydatki. Chciałam stworzyć agencję, do której ludzie będą się zwracać dlatego, że pomaga ona potrzebującym, okazuje im pomoc, zrozumienie i robi wszystko, co trzeba,



ograniczając koszty do minimum. A ja wiedziałam doskonale, jakie to uczucie być zdradzonym. Mogłabym o tym napisać książkę!

Sęk w tym, że za sprawą załamania rynku nieruchomości i rozwodu zostałam właściwie z niczym. Co prawda wciąż miałam swoją stodołę, lecz nieuchronnie nadciągająca batalia sądowa z moim już wkrótce byłym mężem oznaczała, że mogę ją stracić w każdej chwili. Zamierzałam walczyć do samego końca, chcąc zachować ten piękny dom, który sama stworzyłam; zdawałam sobie jednak sprawę, że prawdopodobnie polegnę. Nie miałam posiadłości za milion funtów ani wymyślnych samochodów, ale nie przejmowałam się tym szczególnie. Czułam się wolna i szczęśliwa. Mama prosiła i błagała, żebym znalazła sobie porządną pracę, a ja wiedziałam, że mogłabym wejść do większości agencji nieruchomości i dostać trzydzieści tysięcy funtów rocznie, czyli dość, byśmy razem z Paris wiodły w miarę wygodne życie... Tyle że marzyłam o czymś innym.

Tato zrozumiał. Powiedział do mamy:

– Rebecca nikogo nie słucha. Jak już postanowi, że coś zrobi, to zrobi. A ty siedź cicho i ją wspieraj.

Nie brakowało mi pasji ani determinacji. Musiałam tylko wymyślić, jak wcielić swój plan w życie.

## Zadomowiamy się

– Cześć, dziewczyny, założymy wspólnie agencję detektywistyczną?

Steph, Helen i Jess patrzą na mnie, jakby brakowało mi piątej klepki, ale – oddajmy im sprawiedliwość – przystają na to, chociaż z początku widzę, że robią to raczej dla świętego spokoju. Najpierw przerzucamy się pomysłami, wgrzamy w zagadnienie, a one stopniowo zaczynają wierzyć, że to prawda. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby zrobić to bez nich.

Wiem, że rozkręcanie nowego przedsięwzięcia bez żadnego kapitału będzie średnio zabawne. Ale spójrzmy prawdzie w oczy – kiedy człowiek ląduje na dnie, chyba nie ma innego wyjścia, prawda?

– Żebyśmy się dobrze zrozumiwały: będziemy śledzić ludzi? – pyta Jess.

– Na tym to właśnie polega!

Jeszcze w szkole podstawowej całymi tygodniami pisałam scenariusze, a potem wystawiałam razem z przyjaciółmi drobne pantomimy. Snuliśmy „wielkie plany”, że wystąpimy na szkolnej scenie przed kolegami i koleżankami z klasy, ale żaden z nich nigdy nie wypalił. Wiem, że agencja detektywistyczna to może być naprawdę fajna – nie, b o s k a – praca, ale wcielenie takiego pomysłu w życie to już zupełnie co innego. Sprawy mogłyby się bardzo szybko potoczyć jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz!*

– Wydaje się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, co? – mówię do dziewczyn, stukając piórem o stół.

– No, trochę tak – zgadza się Steph.

– Musimy dać z siebie wszystko. Coś mi mówi, że to wypali. Ludzie potrzebują pomocy, a my jesteśmy wprost stworzone do roli tych, które pomagają. Wiemy, przez co przechodzą, przecież byliśmy kiedyś na ich miejscu.

Patrę na dziewczyny. To prawda – wszystkie zostałyśmy kiedyś zdradzone. Kiwają głowami!

– Zgadzam się w stu procentach. Nawet jeśli koniec końców pomysł nie wypali, to przynajmniej spróbujemy – stwierdza Jess z przekonaniem.

– I to rozumiem.

– Moim zdaniem cholernie fajna sprawa. Ludzie naprawdę będą nam płacić za obserwowanie ich drugich połówek?... Jestem t a k a podekscytowana! – piszczy Steph.

Rozkręcenie agencji to istna harówka. Nad samą stroną internetową i ulotkami reklamowymi ślęczę kilka miesięcy. I muszę to przyznać: Steph, Helen i Jess są autentycznie genialne. Roznoszą wszędzie ulotki, wyszukują rejony kluczowe dla naszej działalności i pomagają przy ulepszaniu strony. Całą czwórką zaczytujemy się w materiałach na temat metod pracy detektywa: obserwacji, badania środowiska, testów DNA – do wyboru, do koloru. Wydzwaniamy do ekspertów w celu konsultacji. Godzinami surfujemy po sieci, ekscytując się każdym nowym odkryciem. Żyjemy tym tematem i w swoim gronie nie rozmawiamy o niczym innym.

Coś mi mówi, że ta praca mnie wciągnie. Kiedy pracowałam w nieruchomościach albo dla dużych spółek, nigdy tak do końca nie czułam się na swoim miejscu. To przedsięwzięcie wydaje się dla mnie stworzone.

Właściwie nasz plan nie powinien w ogóle wypalić. Lecz z jakiegoś dziwnego powodu czuję, że się nam uda. Na początek każda z nas będzie pracować w domu, mój numer telefonu posłuży za główny kontakt, a w razie potrzeby ściągnę pozostałe dziewczyny. I nazwiemy się

Damska Agencja Detektywistyczna. Od lat wołano za mną „Dama”. Nawet na tablicy rejestracyjnej mam napis „Dama” – będę musiała to zmienić, bo podczas obserwacji za bardzo będzie rzucało się w oczy. Jedyne, co mi w tej nazwie nie pasuje, to sugestia, że skupiamy się wyłącznie na problemach kobiet, podczas gdy w rzeczywistości chcemy pomagać wszystkim. Mężczyźni też są niepewni siebie, a kobiety równie niewierne jak oni – coś o tym wiem. Ale czuję, że to nazwa w sam raz dla nas!

Kiedy nie mamy już więcej materiałów na temat śledztw do zebrania ani przeczytania, całkowicie pochłania nas nowe przedsięwzięcie – rozpoczynamy pierwsze obserwacje na zlecenie naszych znajomych, za darmo. To pozwala nam udoskonalić metody i wykryć ewentualne pułapki. Nadal jednak nie zarabiamy.

Już prawie tracę wiarę, aż tu pewnego dnia, cztery tygodnie po naszej pierwszej naradzie...

Telefon w końcu zaczął dzwonić! Kręcę się właśnie na nowym obrotowym krześle, kiedy moja komórka odzywa się motywem z *Mission Impossible*. Zastanawiam się, czy to „detektywowanie” nie zaczyna mi uderzać do głowy. Uwielbiam szkolenie i całą tę otoczkę, ale co rusz muszę sobie przypominać, że powinnam się zachowywać jak poważna kobieta interesu.

Jest cudowny letni dzień 2009 roku, przyjemnie ciepły, chociaż nie za gorący. Poranek spędziłam z Paris, która bawi się teraz w przedszkolu. Posiadanie wolnego czasu ma jedną wielką zaletę. Dzięki temu mogę zapewnić córce odpowiednią dawkę matczynej troski.

Tak czy siak, na dźwięk *Mission Impossible* zeskakuję z krzesła. Aż mi się kręci w głowie od tego wirowania i chwiejnym krokiem, chichocząc cicho, ruszam do telefonu. Widzę nieznany numer i odbieram ze zwyczajowym wesołym: „Słucham?”.

– Halo, czy to damski detektyw?

Zawroty głowy przechodzą mi w okamgnieniu. Jestem w pogotowiu.

– Zgadza się. W czym mogę pomóc? – Zasiadam przy biurku i nieco poważnieję. Pióro w dłoń!

– Martwię się z powodu męża. Mam wrażenie, że mnie zdradza. – Kobieta wypowiada te słowa bardzo rzeczowym tonem.

Notuję jej imię – Jane – po czym troskliwie pytam:

– Dobrze, proszę powiedzieć, skąd u pani takie wrażenie?

– Mam kilka powodów, przede wszystkim jednak tak mi mówi instynkt.

Cóż za naukowe podejście! Jestem wierną wyznawczynią podszeptów instynktu, ale to wciąż za mało.

– Dwa dni temu potrzebował czternastu minut, żeby przygotować się do wyjścia do pracy, a zwykle zajmuje mu to osiem!

O rany! Zapowiada się nieciekawie, myślę sobie, przewracając przy tym oczami. Jak to możliwe, że z taką precyzją mierzy mężowi czas? Pewnie bez przerwy do niego wydzwania, sprawdzając, gdzie jest. Zachowuję to jednak dla siebie.

– Potem sprawdziłam wycieraczki na podłodze jego samochodu i na miejscu za kierowcą znalazłam błoto.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam powiedzieć teraz tej kobiecie, że jest stuknięta. Każdy ma błoto w samochodzie, z przeróżnych powodów. Ale to nasza pierwsza klientka, więc przyjmuję jej argument.

– Wie pani już, czego od nas oczekuje? Czy może zapoznać panią z naszą ofertą? – pytam, próbując naprowadzić rozmowę na nieco normalniejsze tory.

– Myślałam o obserwacji, ale nie jestem do końca pewna.

– Możemy ją rozpocząć. Pobieramy czterdzieści funtów za godzinę, ale jeśli mieszka pani

dalej od Manchesteru, będziemy musiały doliczyć koszty podróży.

– Jestem z Norwich.

– To zdecydowanie poza naszym rejonem, ale możemy do pani przyjechać za dodatkową opłatą w wysokości sześćdziesięciu pensów za milę – informuję, wymyślając to ot, tak, na poczekaniu! – Myślę, że obserwacja to dobry pomysł, jeśli martwi się pani miejscem pobytu męża. Sądzi pani, że mąż wychodzi w trakcie pracy? Czy może chadza gdzieś w innych porach dnia?

– Martwi mnie jego miejsce pracy. Jest tam pewna dziewczyna, która budzi moje szczególne obawy. Muriel. Już raz chodziły na ich temat pewne słuchy. Na zeszłorocznym przyjęciu bożonarodzeniowym w firmie krążyła plotka, że coś ich łączy.

– Kto tak twierdził? – pytam, myśląc, że powinna zamienić słowo z tymi, którzy rozpuszczają te plotki.

– Wiele osób. Zwłaszcza jedna moja dobra znajoma. Przyjaźni się również z moim mężem, skoro już o tym mowa. Twierdzi, że Tom i Muriel flirtują ze sobą w biurze. Wiem, że mój mąż bardzo lubi flirtować, jest z natury wylewny. Tyle że nie w stosunku do mnie.

– Niech pani nie traci spokoju i zbytnio nie wyolbrzymia zasłyszanych historii. Ludzie mówią różne rzeczy, z rozmaitych i bardzo dziwnych powodów. Dość często mijają się przy tym z prawdą. Dopóki nie ma pani żadnych dowodów, dla własnego dobra proszę zachować zimną krew. – Próbuję przywrócić tej sytuacji odrobinę zdrowego rozsądku.

Nie zrozumcie mnie źle – może ta kobieta wcale się nie myli. Po takich, a nie innych doświadczeniach ze związkami mam wszelkie możliwe powody, żeby podchodzić cynicznie do mężczyzn i ich wierności. Ale te jej „dowody” stanowią zbyt słaby punkt wyjścia – przynajmniej na razie.

– Tak, wiem, wiem. Ale to taki okropny człowiek. On mnie naprawdę nienawidzi, jestem o tym przekonana. Wdałby się w romans, byle tylko trzymać się z dala ode mnie.

Zaczynam sądzić, że powinniśmy chyba porozmawiać z jakąś organizacją charytatywną albo samopomocową i stworzyć listę symptomów, żeby ustalić, czy nasz klient nie jest przypadkiem szurnięty i bardziej niż damskich detektywów nie potrzebuje pomocy psychiatry. Pewnie przydałaby nam się jakaś klauzula na wypadek obłędu klienta.

– Proszę powiedzieć, czego najbardziej chciałaby się pani dowiedzieć? – pytam.

– Czy jest mi wierny – mówi z przekonaniem.

– Jak dobrze zna pani rozkład dnia męża? O której codziennie wychodzi do pracy i wraca z niej? Jak spędza weekendy?

– Codziennie wychodzi do pracy i wraca do domu właściwie o tej samej porze. Jak już jednak wspominałam, tamtego dnia potrzebował aż czternastu minut, żeby się przygotować, podczas gdy zwykle zajmuje mu to osiem. Przez ten czas mógł sporo wykombinować.

– Dobrze, a co z weekendami i wieczorami?

– Większość spędza ze mną albo naszym synem. Syn, osiemnastolatek, jest z nim bardzo blisko, chociaż mąż też go nienawidzi! Kiedy jest w domu, syn zawsze próbuje się gdzieś wymknąć. Żyją ze sobą bardziej jak przyjaciele niż ojciec i syn.

Jedno trochę przeczy drugiemu, ale odpuszczam temat.

– Czy mąż chodzi z psem na spacer? Albo ma jakieś hobby?

– W obydwu przypadkach odpowiedź brzmi nie.

– Dobrze, a zatem głównym problemem jest miejsce pracy? – Sprowadzam sprawę do konkretnego.

– Tak. Sądzę, że mąż podwozi tę całą Muriel do pracy i przywozi z pracy. Stąd to błoto na tylnym chodniczku. Poszłam do garażu i wysprzątałam samochód, więc po błocie nie ma już

śladu. Kiedy znowu się zjawi, będę wiedziała!

– Całkiem dobry pomysł – przyznaję. A jednocześnie myślę, że marnuję tylko czas, i wpisuję w Google hasło „telefony zaufania dla osób w związkach”. Zamierzam porozmawiać o tym z fachowcem. Odnoszę wrażenie, że ta kobieta nie jest do końca przy zdrowych zmysłach, a ja mam dość szaleństwa na całe życie.

– Chce go pani obserwować w drodze do pracy? A co z miejscem pracy? Czym mąż zajmuje się zawodowo? – dopytuję.

– Pracuje dla dostawcy Internetu w jego biurze, ale żeby dostać się do środka, trzeba mieć przepustkę. Nie zdobędę jej. Mąż raz mnie tam zabrał, samej mnie tam nie wpuszczą.

– A zatem obserwacja w miejscu pracy jest niemożliwa. Jane, pozwoli pani, że nad tym pomyślę i sprawdzę, czy zdołamy załatwić dla pani jakiś sprzęt.

– Oczywiście, brzmi doskonale.

Kończymy rozmowę, a ja natychmiast dzwonię do organizacji, którą znalazłam w Google. Wyjaśniam, że pracuję jako detektyw, mam nowego klienta i nie jestem pewna jego stanu psychicznego. Opisałam wszystkie objawy: mierzenie czasu, przekonanie, że mąż coś uknuł w ciągu sześciu minut, obsesja na punkcie błota w samochodzie... Podczas mojego małżeństwa z Jamesem być może reagowałam paranoicznie, ale chyba nigdy nie było ze mną aż tak źle. Kobieta z organizacji jest bardzo miła, ma uroczy głos i dochodzi do mnie więcej podobnego wniosku co ja. Moja pierwsza klientka w branży detektywistycznej to wariatka. Tylko co powinnam zrobić?

Wieczorem wiercę się niespokojnie w łóżku. Oddzwaniać do niej czy liczyć, że znajdzie sobie kogoś innego? A może wezmę się w garść, zrozumiem w końcu, że prowadzimy firmę, i zabiorę się do pracy?

Nie mogę jej mówić, do kogo ma się zwrócić! Sama byłam na jej miejscu. Kiedy wydzwaniałam do detektywów w sprawie Jamesa, oni też pewnie sądzili, że mi odbiło. A przecież nie odbiło. Prawdopodobnie jej też nie. A może zwyczajnie nie potrafi mi przekonująco opisać, co takiego ją trapi? Mieszka z tym człowiekiem i tylko ona wie, jaki on jest w rzeczywistości. Nie wspomniała o innych sytuacjach i problemach, a ta historia to najszczerza prawda. Albo Jane ogarnęła obsesja.

Odzywa się *Mission Impossible*. O jedenastej wieczorem! Kto, do diabła, dzwoni o tej porze? Sięgam w stronę szafki nocnej i zerkam na rozbłyskujący jasnoniebieski ekran. Wyświetla się na nim numer Jane! O rany...

– Słucham?

– Dobry wieczór, Rebecca, mówi Jane.

– Cześć, Jane. – Próbuję ukryć niezadowolony głos, że Jane dzwoni do mnie, kiedy właśnie kładę się spać. W naszych reklamach podkreśliłyśmy, że działamy przez całą dobę, i teraz zanosi się na to, że nasza praca będzie miała ten jeden minus. Może później zrewidujemy odpowiedni punkt biznesplanu.

– Najmocniej przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę pani o czymś powiedzieć – zaczyna pospiesznie.

– Oczywiście, żaden problem – kłamię.

– Pamięta pani Muriel, tamtą dziewczynę, o której mówiłam? Tę, którą ludzie podejrzewają? Cóż, właśnie zmieniła swoje zdjęcie profilowe.

– Co pani rozumie przez „zdjęcie profilowe”?

– No wie pani, na Facebooku. Nie wspominałam, że ma tam konto?

– Chyba nie.

– Cóż, w takim razie ma. Nie mam jej w znajomych, ale widzę wiele statusów, które

zamieszcza. Zmieniła swoje zdjęcie profilowe i jestem pewna, że próbuje w ten sposób coś mi przekazać.

Mam ochotę w r z e s z c z e ć! Naprawdę chcę pomóc Jane, ale ona bardzo to utrudnia. Próbuje mi wmówić, że jakaś obca kobieta, która pracuje z jej mężem i o której krąży parę plotek, zmieniła zdjęcie profilowe na Facebooku specjalnie po to, żeby dać jej znak? Poważnie? Jak niby mam dla niej pracować? Nie mogę przyjąć pieniędzy od osoby nieznaczącej psychicznie! Przykro mi... Psychiatra ze mnie żaden, nie postawię więc oficjalnej diagnozy, ale z tego, co słyszę, moja pierwsza klientka ma nierówno pod sufitem!

– Naprawdę nie sądzę, żeby to był znak. Ludzie często zmieniają swoje zdjęcia profilowe. To powszechne zjawisko – odpowiadam, z całych sił tłumiąc irytację i zdenerwowanie.

– Ja nigdy swojego nie zmieniłam, odkąd założyłam konto na Facebooku – mówi, szczerze zakłopotana tą sytuacją.

– Mogę dodać Muriel i pani męża do znajomych jednego z naszych fałszywych profili. Wykorzystujemy je do monitorowania ludzi. Rozejrzę się po ich profilach i sprawdzę, co tam znajdzie. Co pani na to? – To chyba najlepszy sposób, żeby zakończyć tę rozmowę.

– Doskonały pomysł.

O, nie mogę! Jest uradowana!

– Doskonale, zajmę się tym z samego rana. Proszę się nie martwić. Jeśli nic nie znajdzie, nie poniesie pani żadnych kosztów. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Cudownie. Bardzo pani dziękuję. Odezwę się jutro, dobrze?

Czuję strach. Odpowiedź twierdząca jest gwarancją, że utrzymamy kontakt, a ja będę musiała jeszcze nieraz rozmawiać o tej zwariowanej sytuacji.

– Oczywiście, do usłyszenia.

Niech to szlag! Odkładam telefon, po czym w leżącym na szafce nocnej notesie zapisuję: „Dodać męża Jane do znajomych na Facebooku!”.

Przewracam się na drugi bok, gaszę światło i pięć minut później już śpię.

Idę wzdłuż białej plaży. Obok mnie Paris tańczy w płytkiej wodzie, chichocząc przy tym, jak to ma w zwyczaju. Fale obmywają czysty biały piasek, a nasze twarze owiewa bajeczna chłodna bryza. Promienie słońca zalewają brzeg. Nigdy nie czułam się tak odprężona...

DAM... DAM... DADA... DAM... DAM... DADA... DAM... DAM... DADA... DAM... DAM... DADA...

Siadam wyprostowana na łóżku! Znowu *Mission Impossible*! Szybko zerkam na budzik i widzę, że jest już dziewiąta. Najwyraźniej nie słyszałam pobudki o siódmej trzydzieści, a mama i tato zabrali dziś Paris do przedszkola, dlatego w domu panuje taka cisza. Po omacku szukam telefonu, tak samo jak zeszłej nocy. Żeby było zabawniej, na wyświetlaczu widnieje numer Jane. Przychodzi mi do głowy, że albo mam déjã vu, albo nasza rozmowa tylko mi się przyśniła, albo wszystko dzieje się od nowa...

– Dzień dobry, Rebecca! – odzywa się Jane niezwykle optymistycznym tonem.

– Dzień dobry, Jane! – Usiłuję nie brzmieć jak najbardziej nieprofesjonalna kobieta pod słońcem wyrwana ze snu.

– Czy przyjęli już wasze zaproszenie? – pyta Jane i wtedy spływa na mnie olśnienie. Nie, to żadne déjã vu ani sen, tylko powtórka z rozrywki.

– Przykro mi, Jane, jeszcze nie zdążyłam sprawdzić – odpowiadam, pomału stawiając stopę na zimnej drewnianej podłodze i modląc się, żeby łóżko nie wydało żadnego dźwięku.

– Och, przepraszam, czy ja pani nie przeszkadzam?

Zastanawiam się, dlaczego nie zadała sobie tego pytania wcześniej, zanim chwyciła za telefon o tak barbarzyńskiej godzinie.

– Nie, jasne, że nie. Właśnie zabrałam się do papierkowej roboty, pani jest następna na liście. – Teraz wykonuję coś pomiędzy wspinaczką łożkową a tańcem limbo. Moje łożko zdecydowanie za głośno trzeszczy.

– Och, cudownie, w takim razie porozmawiamy za godzinę?

– Musiałabym najpierw sprawdzić terminarz. Czy ma pani adres mailowy, żebym mogła panią informować o wszystkim na bieżąco?

Modłę się, żeby odpowiedziała twierdząco, wtedy mogłybyśmy zakończyć ten durny etap wydzwaniania co dziesięć minut. Trochę przesadzam, ale takie odnoszę wrażenie.

– Nie możemy tego robić. Chyba mąż ma dostęp do moich maili.

Tyle po moich modłach.

– Nie ma sprawy, niedługo do pani zadzwonię. Właśnie przyszedł klient, muszę skończyć. – Kłamię w żywe oczy. Z drugiej strony, gdyby czajnik i toster były ludźmi potrzebującymi mojej uwagi, wcale nie mijałabym się z prawdą. Ostatecznie spławiłam Jane i rozpoczynam swój poranny rytuał z kawą i tostami.

Przecieram zaspane oczy, biorę parujący kubek z kawą i podchodzę do komputera. Potrzebuję dziesięciu minut bezmyślnego gapienia się przez okno naprzeciw biurka, żeby się obudzić. Widok nie należy do najpiękniejszych – rodzice żyją na pospolitych przedmieściach nieopodal peryferii Manchesteru, które mój brat nazywa Wielką Poczekalnią Boga. Ogólnie rzecz biorąc, tutejsi mieszkańcy mają ponad siedemdziesiątkę i zajmują duże, wyjątkowo dobrze utrzymane domy. Pieniądzy im nie brakuje, odmawiają też przeprowadzki do domu spokojnej starości. Ich ogrody prezentują się wprost idealnie. W sam raz do amerykańskiego sitcomu.

DING-DONG! Szybki powrót do rzeczywistości. Zaczynają przychodzić maile... Lepiej wziąć się do pracy.

Na Facebooku wybieram trzy spośród naszych fałszywych profilów. Pierwszy to nad wyraz atrakcyjna brunetka po dwudziestce. Zdjęcia wyszukane w zasobach Google'a prezentują się dość prowokująco. Powinny przemówić do mężczyzny. Drugi profil jest biznesowy. Zawsze się zastanawiam, czy ludzie chętniej akceptują zaproszenia od profilów biznesowych, bo wyglądają „stosownie”. Trzeci profil należy do mężczyzny, przystojnego, ale nie za bardzo. Najczęściej kobiety boją się atrakcyjnych, idealnie wystylizowanych facetów, dlatego nasz wygląda przeciętnie. I naraz przychodzi mi do głowy pytanie: od kiedy to jestem ekspertem w dziedzinie psychologii?

Potem zaczynam dodawać do moich fałszywych profilów znajomych męża Jane, Toma, a także wiele innych osób, żeby to wyglądało bardziej autentycznie. To samo robię z Muriel, kobietą, którą podejrzewa Jane.

Kilka godzin później, nadrobiwszy zaległości w mailach, wiadomościach tekstowych i telefonach, raz jeszcze zerkam na Facebooka. Wielu znajomych Toma przyjęło moje zaproszenie, podobnie znajomi Muriel. Co to w ogóle za imię, Muriel? Powęszywszy pobieżnie na ich profilach i sprawdziwszy parę rzeczy w sieci, przede wszystkim w Google'u i spisie wyborców, wiem już nieco więcej na temat Toma i Muriel.

Szczerze wątpię, żeby Tom kiedykolwiek zaliczał się do przystojnych mężczyzn. Dorobił się nadwagi, i to całkiem sporej, oraz dużego brzucha. Trochę jak Święty Mikołaj. Ma poszarzałą, ponurą twarz i siwiejące czarne włosy, a do tego brakuje mu paru zębów. Nos bez wątpienia krzywy, oczy niemal czarne. Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej odbiegającego od męskiego ideału. Uroda, wiadomo, rzecz względna, ale jego na pewno nikt nigdy o nią nie posądzał. Wiek: pięćdziesiąt dwa lata.

O, za to Muriel to świntuszek! I nie mam tu na myśli zaniedbania w sferze higieny osobistej, rzecz jasna. Wyraźnie kocha siebie i chętnie się afiszuje ze swoimi wdziękami. Na

zdjęciu profilowym, które Jane uznała za „znak”, prezentuje się ciekawie: leży na łóżku, uśmiecha się prowokacyjnie i palcami przeczesuje włosy. Na widoku są także jej obfite zderzaki, choć nie do końca obnażone. Trzeba przyznać, że Muriel to ślicznotka. Świntuszek, ale śliczny! Wiek: dwadzieścia cztery.

Mamy zatem piękną dwudziestoczerolatkę i paskudnego pięćdziesięciodwulatka w połączeniu z żoną najwyraźniej nękaną urojeniami. Nie ma mowy, żeby tych dwoje nawiązało romans, wzdycham.

Zamykam przeglądarkę. Najwyższy czas porozmawiać z dostawcami sprzętu i sprawdzić, co jeszcze zdołamy zrobić dla Jane. Nie zedrę z niej za obserwację, kiedy jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że ten mężczyzna nie ma romansu z tą cudownie sprośną Muriel! Przecież taka dziewczyna nawet nie zaszczyciłaby go spojrzeniem.

Mój ekspert od elektroniki, Chai, ma siedzibę w Chinach. Na początku skontaktowałam się z wieloma chińskimi firmami, chcąc się dowiedzieć, skąd pochodzi najlepsze wyposażenie, ale to Chai wydał mi się idealny. Prawdziwy ekspert. Nigdy nie ma dość moich telefonów, wypytywania o przeróżne części i najbardziej dla nas przydatny sprzęt. Jego cierpliwość wydaje się nieskończona, a tego właśnie mi potrzeba. Rozumienie osób mówiących z innym akcentem zawsze sprawiało mi trudności, przyznaję to ze wstydem, dlatego składanie zamówienia za każdym razem idzie mi jak po grudzie. Chai mnie rozumie, mimo to biedak musi powtarzać to samo chyba z milion razy. Wiem już mniej więcej, czego potrzebuję w związku ze sprawą Jane, lecz i tak wtajemniczam Chaia w szczegóły.

Najpierw rozmawiamy o włamaniu do telefonu Toma, co w rzeczywistości jest o wiele mniej kontrowersyjne, niż może się zdawać. Włamanie polega na wgraniu do pamięci telefonu pewnego programu, czegoś w rodzaju tych aplikacji, z których sami pewnie korzystacie. Moglibyśmy wysłać link do Jane, ta zaś zainstalowałaby program w telefonie męża. Potem otrzymywalibyśmy kopię każdej wiadomości tekstowej, rejestru rozmów, zdjęć, maili, wpisów do kalendarza, a nawet lokalizacji komórki. Sęk w tym, że zgodnie z prawem klient musiałby najpierw poinformować o tym posiadacza telefonu i uzyskać jego zgodę. Albo, jeśli sam jest właścicielem, powinien tego dowieść, okazując nam rachunek. Jane nie zdołała mnie przekonać, że dostarczy rachunek albo powie o wszystkim mężowi. Więc ta opcja odpada...

Włamanie do komputera polega dokładnie na tym samym, tyle że zamiast telefonu jest komputer, i wiąże się z podobnymi problemami natury prawnej. To także nie wchodzi w grę.

Chai i ja ucinamy sobie pogawędkę na temat pluskiew. Jestem głęboko przekonana, że to najlepsze rozwiązanie dla Jane. Musi wiedzieć, co się dzieje w miejscu pracy męża. Jeśli zdołamy podrzucić tam pluskwę, nie będziemy mieć żadnych problemów.

Zaczyna dzwonić telefon na drugiej linii; przepraszam Chaia i się rozłączam.

– N a j e g o s p o d n i a c h j e s t p l a m a !

– Dzień dobry, Jane. – Niestety nie dostanę nagrody, chociaż dobrze zgadłam.

– Na jego spodniach jest plama! Z n a s i e n i a !

Za każdym razem, kiedy rozmawiamy, mówi coraz wyższym tonem.

– Skąd u pani ta pewność? Czy to raczej domysł? – Próbuję uspokoić Jane.

– Eee... cóż...

Tak myślałam!

– Dysponujemy zestawami testowymi, jeśli chce pani sprawdzić, czy to rzeczywiście plama z nasienia. Pytanie tylko, jak bardzo to panią niepokoi.

– Och, niepokoi, i to jak! Jestem wściekła! Wreszcie mam dowód!

– Jeśli test wypadnie pozytywnie, będzie pani miała dowód, ale to wcale nie musi być nasienie. A nawet jeśli, mogło się tam znaleźć w zupełnie inny sposób.



Z natury troszczę się o dobro innych ludzi, naprawdę, lecz Jane wystawia moją cierpliwość na wielką próbę. Mam ochotę nią potrząsnąć i powiedzieć, żeby wzięła się w garść. Sądziłam, że mi odbiło, kiedy sprawdzałam Jamesa, ale z pewnością nigdy nie posunęłam się do badania dziwnych plam na jego odzieży.

– Jeszcze dziś wysłę zestaw testowy – obiecuję. – Niech pani postara się zachować spokój, zanim pojawi się wynik. Zajmie to trzydzieści minut, więc nie będzie pani musiała czekać w nieskończoność. Da pani radę?

– Dam. Przez ten czas zachowam spokój i będę udawała, że nic się nie dzieje. – Po czym zalewa mnie historiami o tym, jak bardzo Tom jej nienawidzi.

Okazuje się, że w ich małżeństwie dzieje się źle już od pewnego czasu – i mam tu na myśli lata. Hasło „on mnie nienawidzi” nie jest tak do końca bezpodstawne. Jak twierdzi Jane, Tom powtarza jej to codziennie od czterech lat. Wszystko w niej budzi jego pogardę: to, jak mówi, pytania, które zadaje, ubrania, jakie nosi, i w zasadzie każdy aspekt jej charakteru. Od siedmiu lat śpią w osobnych łóżkach i w zasadzie żyją obok siebie.

Żadne z nich nie ma hobby, a wolny czas spędzają, unikając siebie nawzajem we wspólnym domu. Jane mówi, że próbowała poprawić swój wygląd, kupiła nawet obcisłe dzinsy, ale Tom stwierdził, że wygląda w nich jak „krowa przebrana za cielę”.

Jak ludzie mogą tak żyć? Dlaczego to sobie robią? Tom od wielu lat codziennie powtarza żonie, że najchętniej by się z nią rozwiódł. Ciekawe, dlaczego tego nie robi? Czyżby sytuacja finansowa Jane była lepsza niż jego? A może ta kobieta ukrywa przede mną jakąś tajemnicę męża? Dlaczego po prostu go nie zostawi? W każdym razie wszystko to jest bardzo dziwne.

Ale przecież mój własny rozwód wciąż jest jednym wielkim polem bitwy. Przez wzgląd na Paris najpierw próbowałam załatwić sprawę kulturalnie. Kiedy zdecydowałam się na rozwód z Jamesem, wyobrażałam sobie moje przyszłe życie. Zamieszkałabym razem z Paris w ładnym domu, nie tak ekstrawaganckim jak wcześniej – łatwym w utrzymaniu i uroczym. Wyobraźcie sobie malowniczy domek z różami pnącymi się wokół drzwi! Miałabym normalną pracę, a James przyjeżdżałby po Paris i spędzałby z nią czas. Wszystko w atmosferze przyjaźni. Żadnej urazy, po prostu małżonkowie, którym nie wyszło i którzy teraz oboje idą dalej przed siebie jak dorośli ludzie. Błąd!

James nie chce się zgodzić na rozwód, przez co bez przerwy krążymy po adwokatach i sądach. Poza tym moim zdaniem nie dopełnia też swoich obowiązków wobec córki.

Zatem z własnego doświadczenia wiem, że rozwód to traumatyczne przeżycie. Sądzę jednak, że Jane i Tom wyszliby na tym o wiele lepiej, gdyby zwyczajnie wydali pieniądze na rozwód, a nie na prywatnego detektywa. Lecz z jakiegoś powodu żadne z nich nie poczyniło w tym kierunku jakichkolwiek kroków. I oto zostałam wplątana w ten pogmatwany układ. Po ponad dziewięćdziesięciu minutach wiszenia na telefonie Jane wysłała ze mną całą energię.

Zakończywszy rozmowę, loguję się z powrotem na Facebooku i widzę, że Tom przyjął moje zaproszenie. Przeglądam jego profil aż do dnia, w którym się zarejestrował jako użytkownik. Nie ma tam absolutnie nic interesującego. Choćby najmniejszego tropu. Jedyne kilka dziwnych statusów: „Tak bardzo kocham moją żonę, szczęściarz ze mnie”; „Rodzina jest dla mnie najważniejsza”; „To dzięki Jane jestem tym, kim jestem”.

Najwyraźniej to Jane osobiście zamieściła te statusy! Biorąc pod uwagę, co opowiadała o swoim małżeństwie, Tom nigdy nie napisałby czegoś podobnego. Dlaczego to zrobiła? Jeśli Tom wykorzystywał Facebooka do pozamałżeńskiego romansu, teraz z pewnością już tego nie robi, skoro wie, że Jane ma dostęp do jego profilu! Właśnie dlatego klienci zabawiający się w domorosłych detektywów są tacy uciążliwi. Jedyne podsycają podejrzliwość obserwowanego i tym samym utrudniają nam pracę. Gdyby Jane tego nie zrobiła, Tom byłby teraz o wiele mniej

czujny i może znalazłybyśmy coś ciekawego na jego profilu. Jestem zła, ale zamawiam zestaw testowy do wykrywania płynów ustrojowych – kolejne odkrycie z Google’a. Potem zatrzasuję laptopa i wracam do kuchni, skupiając się w szczególności na czajniku... Potrzebuję herbaty!

Kilka dni później śnię, że jestem w szkockim regionie Highlands i mieszkam w przepięknym zamku przerobionym na hotel. Tutejsze spa ma niewiarygodną ofertę. Siedzę przy basenie, podczas gdy Paris pluska się w brodziku dla dzieci, chichocząc. Sama też się uśmiecham, bo ta scenka przepelnia mnie radością. Słyszę brzęczenie, jakby muchy, tylko większej. Nie potrafię określić, co to takiego, ale dźwięk staje się coraz głośniejszy. Niszczy moją chwilę szczęścia. Macham rękami w pobliżu uszu, próbując odpędzić muchę. Tyle że to nie mucha. Teraz dźwięk przypomina piosenkę. Melodię. Nie mogę jej rozpoznać... i nagle wszystko układa się w całość. Łapię poduszkę z pustej połowy łóżka i przyciskam do uszu. Dźwięk umilknie, jeśli tylko go zignoruję... Ale on po chwili rozbrzmiewa na nowo. Mój głupi dzwonek z *Mission Impossible*. Jasny gwint, muszę go w końcu zmienić!

Narzekając, siadam na łóżku niczym wyjątkowo nadąsana księżniczka. Ręce krzyżuję na piersi i wcale nie chcę odbierać tego telefonu... lecz i tak to robię.

– Słucham – odzywam się nieco gburowato, zważywszy, że jest (zerkam na zegarek) dopiero siódma trzydzieści! C o d o l i c h a!?

– Rebecca? Mówi Jane. Dostałam ten zestaw. Co mam teraz zrobić?

Jakby ją tu grzecznie spławić?

– Do pudełka załączono instrukcję. Co jest w niej napisane?

Przeczytanie instrukcji byłoby przecież zbyt proste. Zamiast tego wybiera gorącą linię „wkurz Rebecce”. Łąduję na poduszkach i zamykam oczy. Jane jest po drugiej stronie słuchawki, ale jeśli zdołam o niej zapomnieć, stanie się częścią złego snu. Zaciskam mocno powieki...

– Trzeba przeciągnąć wymazówką po obiekcie, a potem pokryć ją jakimś płynem.

Otwieram szeroko oczy. Nic z tego – Jane wciąż tu jest! Niby w swoim domu, ale równie dobrze mogłaby siedzieć w moim łóżku i trącać mnie w stopę, taka jest irytująca.

– Dobrze, proszę to zrobić.

– Już zrobiłam. Co teraz?

– Jak długo należy czekać według instrukcji?

Jeśli będę się trzymać rzeczowego tonu, może uda mi się zakończyć rozmowę w niecałą godzinę. Nie potrzebuję powtórki z tamtego dziewięćdziesięciminutowego maratonu.

– Trzydzieści minut.

– A ile minęło?

– Dwie.

– W takim razie niech pani odczeka jeszcze dwadzieścia osiem minut i potem sprawdź wynik. W razie kłopotów proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

– Oczywiście, dziękuję. – Rozłącza się.

Wydaję z siebie westchnienie ulgi. Znowu zamykam oczy i... jestem w samolocie, w drodze do Nowego Jorku. Na miejscu obok siedzi chłopak ze szkoły. Czy to jakiś znak?

Telefon... dzwoni... *Mission Impossible*... znowu... I wtedy to do mnie dociera. Sama ściągnęłam na siebie to przekleństwo. Przecież cała ta sprawa to jedna wielka niewykonalna misja.

– Wynik negatywny – oznajmia Jane.

Wcale nie jestem zaskoczona.

– Ach – odpowiadam mało sensownie.

– Ale czy można całkowicie zaufać tym testom? Byłam taka pewna.

O rany, nie, błagam, nie! Nie chcę się wdawać w kolejną godziną konwersację na temat

zestawów testowych. Tej kobiety nie zadowoli żadne wyjaśnienie, ona mi zwyczajnie nie wierzy.

– Są bardzo dokładne. Rozmawiałam wczoraj z moim dostawcą sprzętu – unikam bezpośredniej odpowiedzi na jej pytanie.

– Och, i co takiego zasugerował?

– Jego zdaniem najlepiej sprawdziliby się podsłuch i jestem skłonna się z nim zgodzić. Nie dostanie się pani do biura Toma, my też nie, ale jeśli umieści pani gdzieś to urządzenie, usłyszycie pani wszystko, co dzieje się w bezpośrednim sąsiedztwie. Albo może pani zostawić sprawę nam. Będziemy nadzorować przekaz i dokumentować wszystko, czego się dowiemy.

– Świetny pomysł.

Potem przez co najmniej godzinę wisi na telefonie, wypytując o to, jak długo działa taki podsłuch i ile to będzie kosztować. Następnie żali się na los, który zgotował jej mąż, i całą resztę spraw, które przerabialiśmy tysiące razy, odkąd przyjąłam zlecenie. Nagle zaczynam rozumieć, dlaczego adwokaci pobierają opłaty za rozmowy telefoniczne.

Przez następne trzy dni – bo właśnie tyle czasu trzeba, żeby pluskwa do mnie dotarła – nieustannie spragniona konwersacji Jane wydzwania do mnie niezliczoną ilość razy. Na szczęście Chai potrafi dokonywać cudów, jeśli chodzi o szybką dostawę. Bóg jeden wie, jak w przeciwnym razie poradziłabym sobie z tą kobietą.

Na tym etapie mogę już uczciwie powiedzieć, że moim zdaniem Jane oszalała, a jej mąż jest czysty jak łąka. Zamartwia się naprawdę żalonymi drobiazgami. Ale jak głosi nasze motto: każdy potrzebuje pomocy, bez względu na możliwości finansowe czy okoliczności. Jeśli to przejmowanie się jej pomaga, to kimże jestem, żeby się z nią kłócić? Bez wątplenia źle postąpiłam, pozwalając, żeby traktowała mnie jak psychologa. Nie jestem nim. Opowiadała mi o wielu strasznych sprawach i jestem przekonana, że mąż w pewien sposób znęca się nad nią psychicznie. Poradziłam jej, żeby zwróciła się o pomoc do fachowca, ale chyba nie wzięła sobie tego do serca. Woli wydzwaniać do mnie zawsze, gdy ma taką potrzebę, i dzielić się wszystkim. Prawdę mówiąc, to bardzo smutne. Mam jej powyżej uszu i jednocześnie żywię do niej sympatię.

W ciągu ostatnich paru dni rozmawialiśmy wielokrotnie. Powiedziałam jej bardzo wyraźnie, że jeśli zamierza wykorzystać pluskwę, będzie musiała poinformować o tym męża, w przeciwnym razie podsłuch będzie nielegalny. Z początku Jane chciała podrzucić ją w samochodzie, potem zdecydowała się na garaż, bo tam właśnie Tom odbiera wszystkie rozmowy telefoniczne, następnie zamierzała umieścić pluskwę w salonie i wyjechać na parę dni. W końcu wreszcie ustaliłyśmy miejsce – Jane wszyła urządzenie wielkości pudełka zapalek do torby na laptopa. Tym sposobem Tom będzie je miał przy sobie zarówno w samochodzie, jak i w pracy. I na pewno go nie znajdzie.

Dwa dni później, o ósmej rano, zaczęłam słuchać przekazu, sporządzając przy tym notatki.

„Ósma – *And you are gold, GOLD, Always believe in your soooooouuuullllll... You got the power to know!* – śpiewa sobie. Nic podejrzanego.

Dziewiąta – cisza. Jest na porannej odprawie.

Dziesiąta – wciąż na odprawie.

Jedenasta – stuk, stuk, stuk. Uderza palcami w klawiaturę komputera.

Dwunasta – rozmawia ze współpracownikiem o tym, którą kanapkę zjeść na lunch. Nudy.

Trzynasta – rozmawia z innym współpracownikiem o prezentacji w PowerPointcie na następnym ranek.

Czternasta – znowu pisze na klawiaturze.

Piętnasta – Boże! Słyszę coś naprawdę nieprzyzwoitego!”

Nie mam ochoty tego zapisywać, włączam więc nagrywanie. To odgłosy naprawdę

sprośnego stosunku! Mnóstwo różnych „o Jezu”, „och, rób mi tak jeszcze” i tak dalej... a potem: „No, dalej, Muriel, teraz, teraz...”. Cóż, to potwierdza tożsamość jednej osoby. Siedzę przy biurku ze zwieszoną głową, przesłaniam usta dłonią, czując, że zaraz wymiotuję. Dosłownie mnie zatkało. Z pluskami jest tylko jeden problem. Dają wyłącznie przekaz audio, więc nie mam pojęcia, gdzie Tom i Muriel się zabawiają! Mogą być w jego biurze, w pokoju hotelowym, a nawet w schowku na miotły. Wiem tylko, że jego żona nie będzie szczęśliwa!

Powinam jednak słuchać dalej. Muszę usłyszeć wszystko, potwierdzić tożsamość Toma. I wtedy...

– Proszę, Tom, następnym razem nie odkładajmy tego tak długo, dobrze? Naprawdę za tobą tęsknię, kiedy się dłużej nie widzimy – mówi kobiecy głos.

– Tak, wiem. Tyle że Jane była ostatnio naprawdę podejrzliwa. Muszę ją trochę uspokoić. Od paru dni wydaje się w trochę lepszej formie.

Dziękuję, Tom. Wszystko potwierdzone i nagrane. Ciągną swoją rozmowę, ale niezbyt długo. Na zakończenie Muriel mówi, że powinien zostawić tę swoją irytującą, żalną żonę, na co on odpowiada wymijającym chrząknięciem.

Próbuję zdystansować się od sytuacji i nie myśleć o tym, co zaszło. Łapię za telefon i wybieram numer Jane. Czuję się paskudnie. Tom naprawdę jest taki, jak mówiła. To straszny człowiek i znęca się nad nią psychicznie. Ma romans z dziewczyną, która mogłaby być jego córką, i chyba naprawdę nienawidzi swojej żony. Jane nie powinna tkwić w tak koszmarnym świecie.

Sama czuję mdłości i jestem bardzo przygnębiona, kiedy przekazuję jej najświeższe informacje, ale kobieta przyjmuje je bardzo dobrze. Przez cały czas zachowywała się jak wariatka – a teraz jest opanowana? Dziwne, ale pod koniec rozmowy wydaje się spokojna. Dosłownie słysząc ulgę w jej głosie, gdy mówi:

– A zatem wcale mi się nie wydawało?

Serce pęka mi odrobinę. Z trudem przełykam gulę w gardle.

– Nie, Jane, wcale. Miała pani rację.

Jane dziękuje i nasza rozmowa dobiega końca. Obiecuję, że zadzwonię za parę dni i sprawdzę, jak się miewa.

Siedzę w tym samym miejscu co przed paroma dniami, spoglądam na Wielką Poczekalnię Boga i obserwuję, jak płynie sobie życie. Byłam głęboko przekonana, że Jane całkowicie odbiło. Doprowadzała mnie do szału swoim zachowaniem i z pewnością tak samo zamęczała męża. Byłam w stu procentach, całkowicie, absolutnie przekonana, bez najmniejszych wątpliwości, że wszystko sobie uroiła. Jaki z tego wniosek? Czy to znaczy, że jej mąż to wzorcowy okropny człowiek, seryjny oszust, typ, z którym nikt nie chciałby mieć do czynienia? Czy może ten wniosek, a także mój kłopot z tą sprawą, opiera się na poczuciu winy?

Mam wyrzuty sumienia, że nie uwierzyłam Jane. Zawiódł mnie instynkt. Zamiast pomagać zrozpaczonej kobiecie, cały czas w nią wątpiłam. Czy kiedykolwiek zdradziłam się głosem? Czy Jane wiedziała, że uważam ją za wariatkę? Mam nadzieję, że nie.

Teraz jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, żeby zachować otwarty umysł i nikogo z góry nie potępiać podczas następnego zlecenia. A liczę, że nadejdzie ono już wkrótce. Bo pomimo wielu godzin spędzonych przy telefonie i ciągłego poirytowania czuję, że jestem stworzona do tej pracy. Nabędę tylko trochę doświadczenia i stanę się w tym naprawdę dobra. W końcu zdobyłam kwalifikacje na podstawie własnych przeżyć.

## Damy kontra CSA

Mam bardzo mocne zasady moralne, zdarza się jednak, że muszę od nich czasem odstąpić. Zawsze zaliczałam się do osób o niezachwianych przekonaniach – lecz z drugiej strony zrobię wszystko, żeby wykonać zlecenie. Jeśli zapytacie, jak bardzo jestem bezwzględna, odpowiem z miejsca: zabójczo. Nie ma takiej granicy, której nie przekroczę, żeby dostać się tam, gdzie chcę.

Chociaż jestem damskim detektywem dopiero od niedawna, to dzięki temu zdążyłam już poznać siebie bardziej, niż mogłabym przypuszczać. Po pierwsze, wszystko musi być po mojemu. Po drugie, mam fioła na punkcie kontroli i najwięcej problemu sprawia mi przekazanie klientów w cudze ręce. Po trzecie, granice mojej moralności wciąż się kształtują. Sądziłam, że wiem, kim jestem i w co wierzę, ale niemal każdego dnia muszę się określać na nowo. Po czwarte, ludzie naprawdę mnie fascynują. Czuję palącą potrzebę zrozumienia, dlaczego robią to, co robią. Po piąte, nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że krytykowanie innych przychodzi mi tak łatwo! Po szóste, za bardzo się przejmuję (hm, no, przynajmniej przez większość czasu!). Po siódme, w rzeczywistości wcale nie jestem „zabójcza” – prawdę mówiąc, jestem raczej łagodną jak baranek naiwniaczką... Wciąż nad tym pracuję. Po ósme, CSA, czyli agencja do spraw pomocy dzieciom, doprowadza mnie do furii...

Jest godzina jedenasta przed południem i w Wielkiej Poczkalni Boga panuje niecodzienne ożywienie. Pani Jones plewi ogród. Pan Thompson po drugiej stronie ulicy kosi trawnik, a Albert rozmawia ze swoim kotem. Niezwykły widok, trzy osoby na zewnątrz o tej samej porze! Jestem w nastroju do refleksji. Jak mogę rozwinąć działalność? Jakie inne opcje wziąć pod rozwagę? Na razie zgłaszały się do nas jedynie kobiety, które chciały, abyśmy śledziły ich mężczyzn i znalazły dowody niewierności, co w wielu przypadkach nam się udało. Wydaje się, że na tę konkretną kwestię kobiecy instynkt często reaguje bez pudła. Może nie dzwonią do nas, dopóki nie zyskają pewności, ale od bezustannego grzebania w cudzych brudach mój mózg chyba wkrótce zmieni się w papkę. Powinniśmy wykorzystywać nasze usługi do dobrych celów, tyle że nie wiem dokładnie do jakich. Ekspres skończył przygotowywać poranną kawę, a stukając piórem o notes, daleko nie zajdę. Wstaję niezadowolona, głównie z siebie, i wtedy niczym światło latarni morskiej ratuje mnie dzwonek telefonu. Zmieniłam go na motyw przewodni z Jamesa Bonda. Nie mogłam znaleźć *Cagney i Lacey*.

– Agencja, dzień dobry – witam się tonem profesjonalistki.

– Dzień dobry. Mam problem i potrzebuję waszej pomocy.

W tym momencie zacznę uważnie słuchać. To może być całkowicie zwyczajna osoba z bardzo zwyczajnym problemem albo właśnie wsiadamy do pociągu do wariatkowa w towarzystwie całkowitego szajbusa. Zdążyłam się już przekonać, że oba te typy występują w przyrodzie z jednakową częstotliwością. Co przyniesie ten dzień?

– Oczywiście, trafiła pani pod właściwy adres – odpowiadam. Moje niekrytyczne podsumowanie wyłącznie na podstawie głosu? Kobieta po czterdziestce, blondynka z pasemkami.

– Świetnie. Chcę zatrudnić prywatnego detektywa, żeby dorwał mojego byłego męża.

– Ach tak? Dobrze, w takim razie proszę mi pokrótce nakreślić sytuację, a ja powiem, czy zdołamy pani pomóc.

– Oczywiście. Mam na imię Sarah. Trzy lata temu odeszłam od męża, jesteśmy już po

rozwodzie. Mamy córeczkę, obecnie sześćioletnią, a on nigdy nie dawał na nią żadnych alimentów. Nie oczekuję od niego milionów, po prostu czegokolwiek. Nie rozumiem, dlaczego jego zdaniem to w porządku, że sama płacę za wszystko, skoro wspólnie sprowadziliśmy ją na ten świat. Co więcej, jestem samotną matką i naprawdę potrzebuję pomocy. Nie zrywam pieniędzy z drzewa w ogrodzie.

– Rozumiem. Z pewnością nie jest to sprawiedliwe. Czy zawiadomiła pani o tym CSA? – pytam, zastanawiając się, czy to autentyczny przypadek.

– Tak. Po raz pierwszy zwróciłam się do nich o pomoc dwa lata temu i oszacowali zaległe alimenty. Nigdy nie odpowiedział na żaden z ich listów, oparli więc swoje wyliczenia na jakimś wykresie czy czymś podobnym.

– Słyszałam o tym, to ekspertyza. Posługują się nią, kiedy nie dysponują informacjami od rodzica, który nie mieszka na stałe w kraju, albo nie mogą się dogrzebać do zeznania podatkowego. Ekspertyza określa, ile dana osoba może zarabiać w zależności od wykonywanego zawodu. Na tym opierają swoje wyliczenia.

– Właśnie. Usłyszałam, że należy mi się pięćdziesiąt funtów tygodniowo, co mi odpowiada. Rzecz w tym, że kiedy zaczęli go nękać w sprawie pieniędzy, nagle się odezwał. Oświadczył, że nigdzie nie pracuje i mieszka z rodzicami.

– Czy to prawda?

– Nie. Mieszka ze swoją nową dziewczyną i wiem, że pracuje. Ma własną firmę.

Przez ostatnie lata często słyszałam o ludziach walczących o alimenty od rodziców, którzy nie są rezydentami. Może tu właśnie kryje się nowa interesująca opcja dla Damskiej Agencji Detektywistycznej. Właśnie tego szukałam!

– Brzmi znajomo. Co pani wiadomo o jego pracy? Jakimi dowodami pani dysponuje?

– Nie mam żadnych dowodów. Na tym właśnie polega problem, bo CSA ich potrzebuje. Wiem, że jest budowlańcem i zatrudnia jeszcze dwóch ludzi. Wszystko rozliczają w gotówce i CSA twierdzi, że nic na to nie poradzi. Przeglądali jego wyciągi bankowe, z których wynika, że przez konto nic nie przechodzi. Ale to dlatego, że on wszystko wpłaca na konto swojej dziewczyny. Wiem za to, gdzie mieszka.

– Doskonale – odpowiadam. Co za ulga, mamy trop. – Sprawa wydaje się prosta. Po kolei. Na początek doradzałabym obserwację. Będziemy go śledzić spod podanego przez panią adresu aż do miejsca pracy i zbierzemy dowody tego, czym się zajmuje. Pracuje codziennie?

– Och tak, codziennie. W zależności od tego, gdzie pracuje, wychodzi między siódmą a dziewiątą trzydzieści.

– Żaden problem. W ciągu pół godziny prześlę pani kosztorys mailem. Proszę się zastanowić i jeśli się pani zdecyduje działać, proszę zaproponować dzień, a my zajmiemy się sprawą – mówię.

– Wspaniale! Och, bardzo pani dziękuję. Wreszcie znalazłam kogoś, kto mi pomoże, co za ulga! A już myślałam, że stoję na przegranej pozycji.

Lubię tę babkę! Rozłączam się, po czym od razu sporządzam kosztorys. Mam wrażenie, że spędziłam ten poranek pracowicie, dlatego postanawiam przejść się do miejscowego sklepu i po drodze zastanowić nad nowym kierunkiem rozwoju naszej agencji.

Po powrocie zjadam zupę, przeglądam gazetę i w końcu sprawdzam pocztę. Sarah odpisała natychmiast i nawet zdążyła już zapłacić za pośrednictwem PayPal! Retę, wprost pali się do akcji.

„Witaj, Rebecca,

bardzo chętnie skorzystam z Waszych usług. Odpowiada mi każdy dzień tygodnia. Wiem, że sprawa jest ryzykowna, ale mój były mąż na pewno zachowa się tak, jak mówiłam, nie mam

co do tego wątpliwości. Naprawdę nie jestem zgorzkniała, po prostu go znam. Tak samo postąpił ze swoją pierwszą żoną. Nie chciał płacić alimentów na dwoje dzieci, które z nią miał, dlatego wszystko przyjmował w gotówce, którą wpłacał na moje konto. Po rozwodzie została z wyrokiem dającym jej prawo do pięćdziesięciu tysięcy funtów, więc on ma teraz jeszcze więcej powodów, żeby się ukrywać. Pewnie to karma daje o sobie znać, ale i tak muszę coś zrobić. To po prostu niesprawiedliwe. Zostawiam to w Pani kompetentnych rękach. Proszę mi tylko dać znać, kiedy się Pani czegoś dowie.

Powodzenia  
Sarah”.

O rany, to rzeczywiście wygląda jak robota karmy, a ten facet to seryjny alimentciarz. Wydaje mu się, że może narobić dzieci i nie łożyć na ich utrzymanie. Ależ mnie rozwścieczył. Na jutro nie mamy żadnych planów, zaklepuję więc dzień, a potem pytam Steph, czy nie zabrałaby się ze mną.

Budzik wydaje z siebie przerażający dźwięk – nigdy nie byłam rannym ptaszkiem – i najchętniej cisnęłabym nim o ścianę. Zwieszam nogi z łóżka i unoszę górną połowę ciała jak powstające z grobu zombie. Prawdę mówiąc, wyglądem pewnie też przypominam zombie – takie przypuszczenie potwierdzam przelotnym zerknięciem w lustro. Bosko. Kuśtykam do łazienki. Jestem po dwudziestce, a poruszam się jak własna babcia. Nie, raczej nie. Babcia porusza się o wiele różnie.

Z prysznicza leje się letnia woda – gdyby była choć trochę cieplejsza, zasnęłabym na stojąco! Wspominałam, że jest piąta trzydzieści nad ranem? W moim świecie, jeśli wskazówki zegara nie dotarły jeszcze do siódmej, oznacza to „czas wolny” – na pobudkę o tej porze godzę się tylko wtedy, kiedy muszę zdążyć na samolot do jakiegoś ciepłego, słonecznego miejsca! Ale dla prywatnego detektywa to chyba chleb powszedni.

Wychodzę z domu do Wielkiej Poczekalni Boga i uświadamiam sobie, że nastał piękny poranek. Jeden z pierwszych dni jesieni, kiedy naprawdę wyczuwa się zmianę temperatury. Liście zaczynają zmieniać kolor, niebo jest jasne i przejrzyste. Ach, w takie dni jak ten kocham Wielką Poczekalnię Boga. Pani Timson kiwa mi ręką na powitanie, kiedy pakuję się do auta: piąta pięćdziesiąt, a ona już rozpoczyna nowy dzień. O co tyle hałasu? Macham do wesołej starowinki. Jest naprawdę kochana. Odrobinę szalona – zwraca się do mnie każdym imieniem, z wyjątkiem tego właściwego (Sarah, Judith, Joan...) – i jest zawsze na nogach o godzinie, którą osobiście uważam za nieludzką – ale kochana.

Czas płynie. Zajeżdżam przed dom Steph. Wygląda równie sztywnie jak ja – włosy ma mokre, a twarz zupełnie pozbawioną makijażu.

– Barbarzyńska godzina, barbarzyńska! – jęczy, wsiadając do samochodu z poduszką i kocem.

– Dzień dobry, Steph.

– Cześć, skarbie – odpowiada, nachylając się do przelotnego uścisku. – Dokąd się dzisiaj bujamy? – Wkłada okulary przeciwsłoneczne, niczym diwa, którą w końcu jest.

– Jakiś koleś nie płaci alimentów na swojego dzieciaka. Twierdzi, że nie ma roboty, ale to nieprawda. Jedziemy po dowody.

Próbuję opanować ziewnięcie, a po głowie chodzi mi myśl, że agencja powinna odmawiać pracy przed godziną dziesiątą rano.

– W takim razie ruszaj, ptaszyno.

– Będziesz mi teraz podkradać teksty?

– Tak jest. Pogódź się z tym.

Najwidoczniej ostatnio za dużo razem pracowałyśmy.

Zajeżdżamy pod adres, pod którym mieszka nasz obiekt wraz ze swoją dziewczyną. Na zewnątrz stoi nowy samochód terenowy, którym podobno facet jeździ na co dzień. Śliczna nieruchomość, z pewnością nie wygląda na to, żeby jej właściciel zmagał się z problemami finansowymi. Wolno stojący dom, zapewne z trzema sypialniami i starannie utrzymanym ogrodem. W sam raz dla rodziny z dziećmi – ironia losu, biorąc pod uwagę, dlaczego tu jesteśmy. Pod kocem budzi się życie – Steph wystawia pół głowy na zewnątrz i unosi odrobinę okulary, jakby była wampirem chroniącym się przed blaskiem słońca.

– Aj – jęczy, jakby naprawdę cierpiała. – Gdzie jesteśmy?

Na jej twarzy maluje się zmieszanie i już widzę, że Steph bardzo mi się dziś przyda.

– Jesteśmy na miejscu, to jego dom. – Wskazuję jasnoczerwone drzwi.

– No to facet egzystuje na granicy nędzy! – stwierdza jak zwykle sarkastycznym tonem.

– Właśnie! – Rozkładam gazetę i rozsiadam się wygodnie, podczas gdy Steph patrzy przez okno niczym szczenię wypatrujące matki. Pora na relaks. Jest szósta czterdzieści pięć, co oznacza, że facet może się stąd nie ruszyć przez następne dwie i pół godziny. Zaparkowałyśmy w pobliżu, skąd mamy dobry widok. Na początku działalności martwiłyśmy się, że wścibscy sąsiedzi i przypadkowi przechodnie będą do nas podchodzić i wypytywać, kim jesteśmy i co tu robimy, ale nigdy to nas nie spotkało. Kolejny dowód na to, że ta praca to wcale nie taki splendor, jakby się wszystkim mogło wydawać. W końcu Steph dopiero co powstała z martwych, ja przypominam *drag queen*, a obie mamy na głowach fryzury, w których ptaństwo z powodzeniem odchowaloby młode.

Jest dwadzieścia pięć po dziewiątej. Steph chrapie. Wcale nie cichutko, niczym słodka świnka, tylko głośno jak syrena mgłowa. Przeczytałam gazetę trzy razy od deski do deski (łącznie z wiadomościami sportowymi), zmyłam lakier z paznokci (u rąk i stóp), wyczyściłam wnętrze samochodu za pomocą chusteczki nawilżanej (albo dziesięciu), zagrałam w pokera, scrabble, monopol i jengę na telefonie, zadzwoniłam do córki, kuzynki i do babci (nigdy do niej nie dzwonię; muszę to robić częściej), zmyłam makijaż i nałożyłam go od nowa (żeby wyglądała jak człowiek), a teraz ze stopami na podsufitce przybieram pozycję jogi. Poza tym marzę o toalecie – kolejny urok pracy detektywa. Zastanawiam się, czy nie powinnyśmy zabierać ze sobą nocników na obserwacje.

Nuda staje się nie do zniesienia, kiedy nagle otwierają się drzwi frontowe. Z domu wyłania się miniaturowy facet z bujną czupryną i zarostem, jakby się nie golił od trzech tygodni. Wsiada do samochodu. Oto nasz obiekt! Uruchamiam silnik. Facet rusza z normalną prędkością (uff). Czekam, aż skręci za rogiem i stracę go odrobinę z oczu, a potem... Gaz do dechy! Ruszamy! Czuję, jak moje ciało zapada się w fotel. Ruch budzi Steph.

– Morderstwo! – krzyczy, podrywając się na swoim miejscu i waląc głową o sufit, czym omal nie przyprawia mnie o zawał.

– Co jest?!

– Nie wiem. Ten koleś to morderca? – pyta zagubiona. Ruszając tak gwałtownie, najwyraźniej wyrwałam ją z dramatycznego snu.

– Nie, głuptasie! O czym ty mówisz? Śledzimy tamtą terenówkę, dwa samochody przed nami. Miej oczy szeroko otwarte.

– Przepraszam, musiałam odpłynąć. Alimenciarz, zgadza się?

Siada bokiem na swoim fotelu, na wpół oparta o deskę rozdzielczą.

– Tak, Steph. Alimenciarz. Obserwuj go. – Biedaczka, wygląda jak niemowlę, które właśnie zobaczyło straszny!

– Robi się. Jest dwa samochody przed nami.

Nagle mam wrażenie, że w tle powinna nam przygrywać melodia z czołówki Benny'ego



Hilla. Dobrze, że klienci, którzy mają nas za takie cholernie kompetentne, nie widzą nas w akcji.

Zbliżamy się do świateł. Najgorszy koszmar detektywa. Czytałam kiedyś podręcznik na ten temat. W wielkim skrócie – bez względu na okoliczności lepiej nigdy nie przekraczać prędkości ani nie przejeżdżać na czerwonym świetle. Prawo jazdy to jedno z podstawowych narzędzi prywatnego detektywa. Potrzebuje go desperacko, bo bez niego po prostu zostaje bez pracy. Cóż, jeśli czytają to jacyś policjanci, to bardzo przepraszam... ale czasami nie można grać według zasad – a kiedy światła zmieniają się tuż po tym, jak przejechał na nich facet, któremu siedzicie na ogonie, zdecydowanie jest to jedna z takich sytuacji.

– CZERWONE! – krzyczy Steph.

– Obserwuj jego i tylko jego – mówię stanowczo.

Dwa pasy, samochód obok mnie. Rozglądam się uważnie, po czym wstrzymuję oddech – kusi mnie nawet, żeby zamknąć oczy – i robię to! Tak, wiem, nie powinnam była, ale zachowuję ostrożność. Przysięgam. Dobrze, pójdę jutro do kościoła i się pokajam, ale jeśli go zgubimy, zmarnujemy cały poranek.

– Ktoregoś dnia mnie zabijesz – piszczy Steph.

– Oby nie – odpowiadam niewzruszenie. – Widzisz go?

– Tak – wzdycha z mieszanką ulgi i dezaprobaty.

Zaraz potem natykamy się na roboty drogowe. Na litość boską! To wcale nie jest zabawne. Od faceta dzieli nas pięć samochodów, katastrofa murowana.

– Nie widzę go – informuje Steph.

Cudownie! Całkowity paraliż ruchu.

– Chrzanić to – mówię.

– Co ty wyprawiasz? – pyta zaniepokojona Steph, kiedy zjeżdżam na utwardzone pobocze, żeby wyminąć korek po zewnętrznej stronie drogi. Kolejne nielegalne posunięcie, ale gdybym tego nie zrobiła, zgubiłybyśmy faceta, który jakimś cudem zdołał oddalić się od nas aż na trzysta samochodów. Dostrzegam lukę między autami w idealnym miejscu i natychmiast w nią wjeżdżam, zanim mężczyzna nas zobaczy.

– Rebecca, za takie numery powinnaś mi więcej płacić!

– Przepraszam. Będę już grzeczna – obiecuję, krzyżując palce.

Na szczęście ponad kilometr dalej obiekt zjeżdża na plac budowy. Osuwamy się na fotele i wzdychamy z ulgą. Serio, czuję się, jakbym bez przerwy wstrzymywała oddech, odkąd ten facet stanął w drzwiach.

– Nienawidzę korków – mówię, sięgając po kamerę. Steph chwyta za cyfrowy aparat fotograficzny, gotowa do pstrykania. Mężczyzna znika w jednym z okropnych kontenerowców – wykonanym z metalu i nie tylko brzydkim, lecz także przygnębiającym. Po chwili wychodzi w kasku i kurtce odblaskowej.

– Co za gnojek. Nie pracuje, akurat!

Steph z dezaprobatą kręci głową.

Nasz obiekt wydaje polecenia mężczyznom na placu budowy, machając rękami, żeby im pokazać, dokąd mają iść i co robić. Przez następną godzinę filmujemy go zza muru i przez ogrodzenie.

– Chyba możemy uznać, że mamy dowody – mówi Steph.

– Zgadza się. Jedźmy coś zjeść. I się wysikać!

Odjeżdżamy. Potem, po lunchu, kiedy Steph odpoczywa już bezpieczna we własnym łóżku, przeglądam zebrany materiał. Kamerką samochodową, zamontowaną na desce rozdzielczej, nagrałyśmy, jak facet wychodzi do pracy z domu swojej dziewczyny. Szybko dowiaduję się, że dom został przez nią wynajęty. Mamy także nagranie i zdjęcia z placu budowy,

z których wyraźnie wynika, że nasz obiekt jest tam zwierzchnikiem. Dorzucam do tego raport zawierający wszystkie godziny i dowody rzeczowe, po czym wysyłam to wszystko Sarah.

– Jest pani absolutnie wspaniała. Dzięki – oznajmia mi przez telefon bezgranicznie szczęśliwa.

– Och, nie ma za co.

Pominęłam tylko czerwone światło, pobocze i ogólnie rzecz biorąc, łamanie prawa.

– Zaraz wyślę to wszystko do CSA. Nie wiem, jak pani dziękować za to, co pani zrobiła. Wiedziałam, że to właśnie tam, wiedziałam, czym on się zajmuje, ale teraz wreszcie mam na to dowody.

Cieszę się z jej radości i mam tylko nadzieję, że dostanie to, na co zasługuje.

Mijają dwa miesiące i ku swojemu zaskoczeniu widzę na wyświetlaczu telefonu: „Sarah od CSA”.

– Dzień dobry, Rebecca, mówi Sarah.

Pewnie ma dla mnie jakieś nowe informacje.

– Przesłałam wszystkie dowody do CSA i znowu przesłuchali mojego męża. Wymyślił jakąś bajeczkę o tym, że to była jednorazowa sprawa i wcale nie pracuje na pełen etat. Twierdzi, że zaproponowano mu kierowanie budową przez tydzień i się zgodził, ale teraz znowu jest bezrobotny.

– O rety. Niedobrze.

– Zgadza się. Szczwany lis! Jestem wściekła. Wiem, co on robi, ale jak to udowodnić?

– Szkoda, że tak łatwo wyłgał się ze wszystkiego, co na niego zdobyliśmy. – Czuję się bezradna.

– Możemy zrobić tylko jedno. Zdaję sobie sprawę, że to będzie sporo kosztowało, ale nie ma innego wyjścia. Nie puszczę mu tego płazem. Czy możecie zrobić dokładnie to samo co wtedy, ale raz w tygodniu przez następne dwanaście tygodni?

Rety!

– Oczywiście, że możemy – odpowiadam. Na szczęście facet nie mieszka daleko, jeden taki wyjazd zajmie nam niecałe trzy godziny. Rachunek nie sięgnie tysięcy funtów, lecz i tak będzie spory.

– Wspaniale. Dziękuję. Proszę mi przesłać fakturę, zajmę się tym. Na szczęście mój ojciec zobowiązał się za to zapłacić!

Od razu czuję się trochę lepiej. Zaproponowałabym, że pomogę jej nawet za darmo, ale to moje serce znów próbowało wziąć górę nad rozumem. Nie mogę jednak pozwolić, żeby osobiste uczucia, jakie żywię do tatusiów, którzy nie płacą alimentów, stawały na drodze profesjonalizmowi! Pora wziąć się w garść.

Przez następne dwanaście tygodni robimy to, o co prosiła Sarah. Jej były mąż za każdym razem wychodzi do pracy z domu swojej dziewczyny. Odwiedza różne place budowy, ale praca ta sama. Udaje nam się również namierzyć jego stronę internetową, na której zachwala swoje usługi „niezależnego kierownika projektu”. To nam w zupełności wystarczy. Robię wydruk i wysyłam do Sarah. Nie można tak po prostu podać pracownikom CSA adresu strony i poprosić, żeby sobie zerknęli – to wbrew ich zasadom – dlatego musimy wydrukować każdą podstronę i przesłać im pocztą. Klientka otrzyma od nas kompletną paczkę, którą może złożyć bezpośrednio w CSA – wszystko to w ramach usługi!

Kiedy mija dwanaście tygodni, Steph i ja nadrabiamy zaległości przy odtuszczonej latte.

– Ciągłe się martwię, że zmienią zdanie i powiedzą Sarah, że to nie wystarczy.

– Wiem, o czym mówisz. Ten facet na wszystko znajdzie wymówkę. Ale co jeszcze

możemy zrobić? – Z wielkim kubkiem w dłoni wpatruję się w spienione mleko w poszukiwaniu inspiracji. Na szczęście po chwili doznaję olśnienia. – Dopadniemy go!

– To znaczy?... – Steph jest zdezorientowana.

– Zastawimy sidła. Ale zamiast sprawdzać, czy zareaguje na podryw, zwabimy go, żeby dla nas pracował. Zapłacimy za jego usługi. Pisze na swojej stronie, że jest kierownikiem projektu – no to znajdziemy mu projekt, którym mógłby kierować!

– Ooo! – Trybiki w końcu zaskoczyły. – Rozumiem! Ty to masz łeb!

Uśmiechając się z zadowoleniem, rozsiadam się na swoim krześle i zaczynam dumać, w jaki sposób urządzimy to nasze małe przedstawienie.

– Tak, to będzie w sam raz – mówi Steph, którą właśnie podsadam, żeby mogła zajrzeć za dwumetrowy ceglany mur.

– A widzisz tam jakieś wejście? – pytam zniecierpliwiona, bo obcasy jej szpilek wbijają się w moje uda.

– Chyba tak. Ściągnij mnie. Tędy – rzuca, strzepnąwszy brud z czarnego kostiumu, po czym idzie – nie, kolebie się – w szpilkach w stronę drzew.

Przeciskamy się między drzewami i murem. Idąc naokoło ścieżką, docieramy na otwartą przestrzeń, gdzie wystają fundamenty budynku. Jest niedzielny poranek, czas, kiedy mieszkańcy Wielkiej Poczkalni Boga, wystrojeni w swoje najelegantsze kapelusze, tłumnie odwiedzają kościół.

– Ja się tym zajmę. – Steph wyciąga telefon z torebki marki Louis Vuitton. Wybierając numer, który nasz obiekt podał na swojej stronie internetowej, wygląda na bardzo zadowoloną z siebie i najwyraźniej jest zachwycona tą akcją.

– Dzień dobry, nazywam się Jennifer Hall. Zajmuję się przebudową nieruchomości. Przepraszam, że dzwonię w niedzielę, ale mamy tu mały kryzys. Kierownik projektu jednej z naszych nieruchomości dziś rano złożył wypowiedzenie i zostawił nas na lodzie. Potrzebny nam nowy kierownik na wczoraj i znaleźliśmy pańską ofertę w Internecie.

Dobrze zaczęła, ale trochę ryzykuje. A jeśli ma pełen grafik na następne parę tygodni? Steph najwidoczniej nie przyszło to do głowy. Trzymam kciuki.

– Och, naprawdę? Dobrze, to rozwiązanie chyba mi odpowiada. Jak to dokładnie wygląda?

Zacieram ręce, żeby odpędzić wiszący w powietrzu chłód. Jest słonecznie, lecz całe ciepło lata już zniknęło. Przeskakuję z jednej szpilki na drugą i uświadamiam sobie, że ubrałyśmy się bardzo niestosownie do okoliczności. Jak zwykle.

– Przykro mi, jutro wyjeżdżam, ale naprawdę potrzebujemy kogoś, kto zacząłby w przyszłym tygodniu. Czy jakimś cudem byłby pan w stanie przyjechać teraz?

Uśmiecham się szeroko, wciąż pełna nadziei, i pokazuję jej uniesione kciuki!

– Och, dziękuję, byłoby cudownie. Proszę się nie martwić. Jeśli przyjmie pan tę pracę, proszę sobie doliczyć za niedzielę – mówi Steph, podskakując razem ze mną.

Koniec rozmowy.

– Jedzie.

Wyjątkowo uszczęśliwione sukcesem, w płaschach między kałużami wracamy do samochodu.

Mija jakieś czterdzieści pięć minut i jesteśmy już na swoich pozycjach. Objeżdżamy teren i włączamy kamerę wideo w oknie samochodu. Ja zostanę w środku i będę stąd robić zdjęcia.

– Gotowa? – pytam.

– Na wszystko.

– Dobra robota. Wygląda na to, że już tu jest.

Terenówka faceta wyłania się zza rogu. Steph otwiera drzwiczki i wyskakuje na zewnątrz, jak zwykle cała w skowronkach.

– Dzień dobry! Bardzo, b a a a a r d z o dziękuję, że pan przyjechał. Przepraszam, że tak pana tu dziś wywlekłam. – Obdarza go najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów. Siedząc w samochodzie, właściwie nic nie słyszę. Widzę mnóstwo potakiwania i kręcenia się wokół fundamentów, ale w końcu żegnają się uściskiem dłoni i rozchodzą. Jakimś cudem Steph przekonała gościa, że zna się na budownictwie!

Steph wsiada z powrotem do samochodu.

– Szybko, jedź tam – mówi, wskazując na drzewa.

Parkuję w miejscu, z którego wciąż możemy obserwować faceta, za to on nas już nie.

– Co mówił?

– Że ma kontrakt na inny projekt na najbliższe dziewięć miesięcy, coś, nad czym pracuje już od ponad roku. Nie może odejść z obecnej pracy, ale zna faceta, którego może zatrudnić, i ten facet będzie naszym kierownikiem. Zapłacimy za to około tysiąca funtów tygodniowo, bo to niby specjaliści czy coś.

Steph uśmiecha się triumfalnie, a ja czuję nie tylko ulgę, ale też niezrównaną radość.

– Hm, ale czemu on jeszcze stamtąd nie wyszedł?

Słuszna uwaga. Co on tam teraz robi?

– Nie jestem pewna – mówię, przesuwając się na pozycję, z której mam lepszy widok.

Facet kręci się po terenie, zagląda do budynku gospodarczego. Dziwne.

– O mój Boże!!! – Obie siedzimy zaszokowane. – Czy on robi to, co ja myślę?

– Chyba tak – mówi Steph, gapiąc się ze zdumieniem. – K o l e ś k r a d n i e b o j l e r.

Ten śmierzący kierownik projektu, alimenciarz, kanciarz i zwyczajny złodziej pakuje do swojej terenówki bojler razem z jakimiś miedzianymi rurami, po czym po prostu odjeżdża!

Nagranie jest całkiem dobrej jakości, a Steph spisuje pełne zeznanie jako świadek ich rozmowy.

Raz jeszcze rozmawiam z Sarah i mówię jej o tym, co zaszło, po czym przesyłam pełen raport. CSA nakazuje jej byłemu mężowi płacenie alimentów, co wcale nie znaczy, że drań nie próbuje wszystkich możliwych sztuczek, byle tylko uchylić się od łożenia na własne dziecko. Ten typ zawsze znajdzie sposób, żeby się wykręcić. Można by pomyśleć, że Sarah będzie z tego powodu zła, bardzo zła, w rzeczywistości jest jednak smutna i zawiedziona. Z pewnością za jakiś czas smutek przeminie, a gniew powróci. Może wtedy znowu nas wezwie, żebyśmy raz jeszcze go sfilmowały. Niech on lepiej uważa...

# Randkowanie

Damska Agencja Detektywistyczna dostaje coraz więcej zleceń i wygląda na to, że pewnego dnia rzeczywiście stanie się dla nas źródłem utrzymania. Nie posiadam się ze szczęścia. Nabieram wprawy w zadawaniu właściwych pytań podczas pierwszych rozmów telefonicznych, poza tym przez cały czas gromadzimy mnóstwo przydatnych gadżetów. Muszę przyznać, że niektóre są naprawdę zabawne, przez co czujemy się jak żeński odpowiednik Jamesa Bonda. Nauczyłam się jednak, że nie można całkowicie na nich polegać. Technologia zawodzi na ogół wtedy, gdy jest najbardziej potrzebna. Trochę jak z zasięgiem sieci telefonicznej: za nic go nie złapiesz, kiedy akurat musisz się do kogoś dodzwonić w sprawie życia i śmierci. Stara historia!

Lubię tradycyjne śledztwa. Chowanie się za komputerem i masą zaawansowanego sprzętu to pójdzie na łatwiznę. Wolę czuć, że wykorzystałam swój umysł i odwaliłam kawał solidnej detektywistycznej roboty, aby uzyskać jakiś efekt.

Paris i ja dzielimy czas między domem moich rodziców w Wielkiej Poczkalni Boga a naszym prawdziwym gniazdkiem w przebudowanej stodole. Rozwód wcale nie wygląda różowo, poza tym jednak życie jest piękne, a ja szczęśliwa. Sęk w tym, że zdaniem wszystkich powinnam znowu zacząć się z kimś spotykać i szukać „prawdziwej miłości”. Fe! Jak można mówić takie rzeczy? Czym jest prawdziwa miłość, kiedy człowiek już się z nią oswoi? Czy ona w ogóle istnieje? A może to tylko bajeczka wyssana z palca przez gości od marketingu?

Wiecie, czego nienawidzę? Ludzi w związkach. Mam ich po dziurki w nosie. Bez przerwy się kłóca, a ja cała w nerwach muszę potem wysłuchiwać, jak moi przyjaciele narzekają na swoje drugie połówki. Co gorsza, chyba staję się „wrogiem związków”. Wystarczy tylko, że przejrzę gazetę, a już widzę cały ten koszmar zdradzania, bicia żon, kłamstw i zachodzę w głowę – jaki w tym sens? Po co ludzie się ze sobą wiążą? Rozglądam się i uświadamiam sobie, że nie znam żadnej naprawdę szczęśliwej pary... a przynajmniej szczęśliwej w moich oczach. Nawet przyjaciele, którzy się pobierają, mają swoje problemy. Cofam się myślami do dnia własnego ślubu, kiedy w głębi serca wiedziałam, że nie powinnam wychodzić za mąż. A może inni uważają podobnie? A jeśli wszyscy są nieszczęśliwi, a udany związek jest czystym wytworem wyobraźni? Prawdziwa miłość sprowadzona do mitu może budzić niepokój, doszłam jednak do wniosku, że taka jest prawda. Moim zdaniem prawdziwa miłość w związku nie istnieje. Proszę – wydusiłam to z siebie!

Moi rodzice pobrali się ponad czterdzieści lat temu, a ja dorastałam pod kloszem. Przez całe dzieciństwo sądziłam, że każdemu jest pisana druga połówka, że ludzie się pobierają i żyją potem długo i szczęśliwie. Mają dzieci, ładny dom i w ogóle cały ich świat pachnie różami, co jest dość głupim pomysłem z mojej strony, jeśli wziąć pod uwagę, że nie jestem zbyt wrażliwa na zapachy. Świat pachnie różami? Bzdura. Związki to też bzdura. W pojedynkę czuję się o wiele bardziej szczęśliwa.

I nie zapominajmy o pracy. Jest nowa, ekscytująca i chyba stanowi coś w rodzaju plastra opatrunkowego, który skrywa głębszy problem. Krótko mówiąc, mam na co dzień do czynienia z najbardziej koszmarnymi związkami pod słońcem. Z pewnością staję się przez to bardziej cyniczna w stosunku do ludzkiej natury. Nie mogę jednak pozwolić, żeby praca zmieniła mnie w zgorzkniałą, pokręconą staruszkę, która całymi dniami przesiaduje w bujanym fotelu na werandzie w otoczeniu dziesiątek miauczących kotów!

Chcę wierzyć w związki, małżeństwo i wszystkie te cudowne rzeczy, tak samo jak chciałam wierzyć we wróżki, kiedy byłam małą dziewczynką. Sęk w tym, że bez względu na to,

jak bardzo wierzyłam, nic z tego nigdy nie wynikło. Obsypywałam się confetti z folii aluminiowej niczym magicznym pyłem, skakałam z ramy łóżka, żeby wzbicić się w powietrze, i piłam wodę litrami, bo mama twierdziła, że w wodzie jest składnik, który pozwoli mi latać. Przez mniej więcej dwa lata dzień w dzień odstawiałam cały rytuał i nic! Wciąż nie latałam! A teraz jeszcze trudniej mi wykrzesać z siebie jakąkolwiek wiarę w związki.

Koty i bujany fotel... Jedynym sposobem, żeby uniknąć tego scenariusza i przejść kryzys pod tytułem „związki to bujda na resorach”, jest powrót do randkowania. Co prawda z szeroko otwartymi oczami i włączonym wykrywaczem kitu, ale zdecyduję się na to.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Od czego w ogóle mam zacząć, skoro pracuję w domu, a większość wieczorów spędzam, zajmując się dzieckiem? Na dodatek w ciągu siedmiu lat, które minęły, odkąd ostatnio byłam sama, zasady tej gry kompletnie wyleciały mi z głowy – a może tak naprawdę nigdy ich nie znałam. Jak dać wyraźnie do zrozumienia, że mężczyzna ci się podoba, i nie wyjść przy tym na szmatę? Jeśli otwarcie zaprosisz go na randkę, uznają cię za łatwą. Jeśli powiesz, że coś ci się w nim podoba, zaszufladkują cię jako zdzirę. Kiedy byłam nastolatką, wszystko to działo się naturalniej. A teraz, kiedy rozglądam się za ewentualnym partnerem, wydaje się o wiele trudniejsze.

Koleżanka umawia mnie na wirtualne randki w sieci. Zaczynam czatować z jednym czy dwoma facetami. Zaraz jednak dochodzi we mnie do głosu cyniczny detektyw. Po pierwsze, nie ufam ich zdjęciom profilowym. Po drugie, nie wierzę, że są tymi, za kogo się podają. Po trzecie, to dziwne. Po czwarte, to naprawdę dziwne.

Mimo to umawiam się na randkę z jednym z nich. Mieszka ponad dwieście kilometrów stąd. Nie jestem pewna, dlaczego chce pokonać taki szmat drogi, bo trudno przewidzieć, jak w tych warunkach potoczy się ewentualny związek. Zapewnia mnie jednak, że chce i wcale mu nie przeszkadza, że chodzi przecież tylko o kolację. Znajduje sobie pokój w jednym z okolicznych pięciogwiazdkowych hoteli i rezerwuje dla nas stolik w restauracji z gwiazdką Micheliną. Od sześciu tygodni czatujemy ze sobą, parę razy rozmawialiśmy przez telefon. Wydaje się w porządku.

Nadchodzi ten dzień. Mam pewne obawy, głównie dlatego, że boję się za każdym razem, kiedy spotykam kogoś po raz pierwszy. Ciągłe myślę, że wolalabym skończyć pracę, odebrać Paris z przedszkola, skoczyć do supermarketu i kupić coś dobrego do herbaty, pojechać do domu, przygotować owo dobre coś, wykąpać córkę, uciąć sobie z nią zwyczajową wieczorną „pogawędkę do podusi”, a potem wysączyć lampkę wina w wannie i pójść spać. Wpadam na pocztę i kiedy wychodzę, doznaję olśnienia – przecież wcale nie muszę nigdzie iść. Wiem, że o tej porze facet jest już w okolicy. Jak zatem mam mu teraz powiedzieć, że nie chcę się z nim zobaczyć? Zadał sobie tyle trudu.

Nie mówię mu wcale. Po prostu ignoruję dzwoniący telefon. Idąc do supermarketu, zostawiam go w samochodzie. Podczas kąpieli zapominam wziąć go ze sobą. Co za ulga! Nie muszę jeść z tym mężczyzną kolacji. Nikt nie przystawia mi lufy do skroni. Tyle obaw i nerwów to zły znak. Może nie jestem jeszcze gotowa na randki. Czuję się jak największa suka na Ziemi, ale po prostu nie idę. Nie daję rady.

Jak się domyślicie, facet nie przyjmuje tego najlepiej. Przepraszam go z całego serca, mimo to przez kilka dni bardzo się gniewa – i chyba słusznie. Wyciągam z tego jednak cenną naukę: żadnych bliższych internetowych znajomości. Nie są dla kogoś tak podejrzliwego z natury jak ja. Usuwam konto z portalu randkowego. Koniec ze stawianiem na głowie, by się z kimś związać.

Przyłapuję się jednak na tym, że w wolnych chwilach siedzę na Facebooku. Kolejna rzecz, jaka się zmieniła w ciągu tych siedmiu lat, odkąd wypadłam z obiegu. Dziwne, zaledwie

jedno kliknięcie dzieli nas od wszystkich, których kiedykolwiek poznaliśmy – cóż, przynajmniej od większości. Sprawdzam paru swoich dawnych chłopaków i w rezultacie tylko się cieszę, że już z nimi nie jestem. Jeden proponuje mi spotkanie, chociaż widzę wyraźnie, że ma dziewczynę! I tak bym się nie zgodziła, lecz gdyby dzwonki ostrzegawcze w mojej głowie rozbrzmiewały na głos, ależby teraz dawały koncert!

Krok za krokiem poczynam sobie na Facebooku coraz bardziej zuchwale – aż pewnego dnia natykam się na jeden z tych zagadkowych statusów. Przedstawia zdjęcie wielu osób, na którym trzeba oznaczyć znajomych ze swojej listy. Każda postać jest podpisana, na przykład:

# Najlepsza fryzura: ten tytuł zgarnia Jane, moja bardzo dobra koleżanka, która ma fantastyczne włosy!

# Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa: Rachel. Była mi najbliższa przez pięć z siedmiu lat szkoły podstawowej – a jak na szkołę podstawową, to bardzo długo.

Podpisy nie mają końca: osoba o najpiękniejszym uśmiechu... osoba, która sprawia, że codziennie jestem szczęśliwa... Potem dochodzę do osoby, w której podkochiwałam się w dzieciństwie, oznaczam więc chłopaka imieniem Ben. Chodziłam z nim do liceum i był pierwszym facetem, w którym się zadurzyłam. Trwało to rok, czy nawet dwa. Poważna sprawa. Odpowiadam na pytanie i na widok tego małego znacznika zaraz ogarnia mnie strach. Strach przed odrzuceniem, jak sądzę. W oczach kogokolwiek innego oznaczenie znajomego na Facebooku to nic wielkiego, ale dla mnie... Nie wierzę, że się odważyłam.

Wszyscy moi znajomi zaczynają dodawać zabawne komentarze na temat tego, jak ich oznaczyłam. Wszyscy, z wyjątkiem Bena. Odkąd pół roku temu dodał mnie do swoich znajomych, kilka razy przeglądałam jego profil. Przypomina chłopaka, którego pamiętam, ale na pewno wydorósł. Nie wypełnił rubryki dotyczącej związku, zresztą w ogóle nie podaje żadnych istotnych informacji na swoim profilu. Nie do końca wiem, co sobie myśleć. Po prostu mam nadzieję, że w końcu odpisze – ale nie odpisuje.

Mijają dwa tygodnie. Pewnego ranka loguję się i widzę, że dostałam prywatną wiadomość:

„Podkochiwałaś się we mnie, tak? :-\*”

To Ben! I dopisał buziaka! Rety. Uśmiecham się od ucha do ucha i odpisuję:

„A co, nie wiedziałeś? :-\*”

„Pewnie, że wiedziałem. Pamiętam też, jak się całowaliśmy za szopą na rowery! Cha, cha! :-\*”

Co? Nie przypominam sobie żadnego całowania za szopą na rowery. Wygląda na to, że pomylił mnie z kimś innym. Przez dwa lata chodził z jedną z moich najlepszych szkolnych koleżanek, ale chyba nie myśli, że ona to ja?

„Ach, obawiam się, że pomyliłeś mnie z kimś innym :( :-\*”

Pamiętam, że kiedy miałam trzynaście czy czternaście lat, rozmawialiśmy przelotem o byciu parą. W rozmowie pośredniczyła moja przyjaciółka Lauren, bo w tamtych czasach zainteresowani nie pytali się o to bezpośrednio. Chodziliśmy ze sobą przez dwadzieścia cztery godziny, a potem Ben mnie rzucił. Super. Nie wyleczyło mnie to jednak z mojego zadurzenia i potrzebowałam sporo czasu, żeby się otrząsnąć.

„Nie, to na pewno byłaś ty. Nigdy nie zapomnę tamtego pocałunku. :-\*”

Och, czy on ze mną flirtuje?

„Cha, cha, no to musisz mnie oświecić, bo nic nie pamiętam. :-\*”

„To było wtedy, kiedy ze sobą chodziliśmy przez jeden dzień. Miałaś na sobie szkolny mundurek z dwurzędową, dopasowaną czarną marynarką. I czarne buty z paskiem przez stopę, z naprawdę wysokim obcasem. Teraz pamiętasz? :-\*”

O mój Boże. Psychopatyczny prześladowca. Ma rację. Doskonale pamiętam tamten mundurek.

„Rany, teraz to na bank przykułeś moją uwagę. :-\*”.

W skrytości ducha sprawia mi to przyjemność, a jednocześnie trochę się boję.

„Mówiłem, że nigdy nie zapomnę tamtego pocałunku. :-\*”.

Ben pyta, co u mnie słychać i czy się z kimś spotykam. Mówię, że jestem w trakcie rozvodu i właśnie próbuję wrócić do randkowania, ale kiepsko mi to wychodzi. Sugeruje, że powinniśmy się spotkać „przez wzgląd na stare dobre czasy” – a ja się zgadzam.

Umawiamy się na lunch w najbliższą środę.

W środę rano pracuję, przeprowadzam wywiad środowiskowy dla nowego klienta – próbuję wytropić człowieka, który jest winien sporą sumę swojej firmie i dał nogę. Mam jednak spore problemy z koncentracją. Poranek upływa mi jak we śnie. Czuję się niepewnie, co z kolei sprawia, że zaczynam się trochę bać – nie samego spotkania z Benem; raczej się martwię, że wywinę ten sam numer co ostatnim razem, kiedy umówiłam się z facetem poznanym przez Internet i go wystawiłam. Trzeba się będzie zmusić do wyjścia, i to dosłownie. Jeśli chodzi o randkowanie, zrobił się ze mnie straszny mięczak. Ben mieszka półtorej godziny stąd. Zaproponowałam, że spotkamy się w połowie drogi, uparł się jednak, że po mnie przyjedzie. Dzentelmen.

Siedzę w samochodzie i czekam na Bena, kiedy przysyła mi SMS-a, że właśnie zaparkował i idzie w moją stronę. Będę go pamiętać? W szkole miał bardzo jasne i krótkie włosy. Nie znalazłam na Facebooku zbyt wielu jego zdjęć, zresztą większość zrobiono w nocnych klubach, więc trudno go na nich rozpoznać. Ciekawe, czy to zły znak? Moja praca nauczyła mnie jednego – prawie nigdy ludzie nie wyglądają tak jak na fotkach z Facebooka. Wyobrażam sobie chłopaka ze szkoły, a nie dorosłego, którego zaraz spotkam. Nie przepadam za niskimi mężczyznami, dlatego modlę się, żeby natura nie poskąpiła mu wzrostu. W oddali widzę idącego przez parking faceta. Jest wysoki i dobrze zbudowany, ale nie napakowany jak kulturysta, który z powodu przerośniętych mięśni nie może się nawet poruszać. Sprawia wrażenie kogoś, z kim lepiej nie zadzierać. Włosy ma krótkie, raczej ciemne niż jasne. Wciąż nie jestem pewna, ale wtedy odzywa się mój telefon. Ben opisuje, gdzie dokładnie czeka. To naprawdę on. A niech mnie!

Wysiadam z samochodu i uśmiecham się do Bena promiennie, choć więcej w tym udawania niż szczerości, bo jestem zdenerwowana jak wszyscy diabli. Ben ściska mnie na powitanie, po czym ruszamy w stronę restauracji.

Po mniej więcej godzinie oceniam sytuację. Zjedliśmy posiłek i wciąż nie przestajemy rozmawiać. Prawdopodobnie mówię więcej niż on, bo jestem zdenerwowana, podoba mi się jednak sposób, w jaki Ben na mnie wtedy patrzy. Wydaje się wprost porażony, mam nadzieję, że to dobry objaw. A może coś mi utkwilo między zębami... Uśmiech ma zniewalający, z gatunku tych, które mogłyby zasilić całą elektrownię. Mówi z akcentem z Lancashire, który ja już straciłam na rzecz mieszaniny akcentów z różnych miejsc, w których mieszkałam od czasów szkolnych.

Okazuje się, że Ben jest teraz gliną, co nieszczerze mi się podoba. Nigdy nie przepadałam za policjantami, ale to chyba bierze się z mojej niechęci do władz. Wolę być sama sobie sterem.

– Dlaczego postanowiłeś wstąpić do policji? – pytam.

– Tak naprawdę nie postanowiłem. Moja mama uznała, że to dobry pomysł. Chciałem zawodowo grać w krykieta, ale ona powiedziała, że powinienem znaleźć sobie „porządną” pracę. Zdobyła formularze i podsunęła mi je pod nos, a ja wypełniłem, bo pomyślałem, że to całkiem



dobre rozwiązanie. Mama chyba chciała, żebym zarabiał dość pieniędzy, żeby się od niej wynieść! Potem przeszedłem rekrutację i czułem, że to dobry wybór. Miałem wtedy osiemnaście lat i nigdy wcześniej nie pracowałem.

Co zabawne, jego historia – choć tak różna od mojej – brzmi bardzo prawdziwie. Zawsze chciałam zostać aktorką. Studenckie życie mnie nie pociągało, pragnęłam jedynie występować na scenie, tańczyć i śpiewać. Moi rodzice mieli pełne prawo zareagować przerażeniem, kiedy przyszłam do domu i oznajmiłam, że chcę studiować aktorstwo. Ale nie zrobili tego. Wspierali mój wybór i nigdy nie próbowali na mnie wpłynąć, żebym zmieniła zdanie. Ostatecznie postąpiłam tak, jak chciałam, i odnalazłam własną drogę. Po dwóch latach studiów uznałam, że występowanie przed publicznością wcale mi nie odpowiada. Uwielbiałam przedstawienia, wolałam jednak działać za kulisami. Ben marzył o zawodowej grze w krykieta, ale zamiast tego dokonał rozsądniejszego wyboru. Dobrze znam ten dylemat. Czasem zastanawiam się, co by było, gdybym postąpiła tak samo jak on. Na przykład poszła na uniwersytet. Studiowała normalny kierunek. Prawdę mówiąc, należę do tych osób, które muszą same odnaleźć swoją drogę i popełniać błędy na własny rachunek.

– Łączę się z tobą w żalu z powodu tak obranej kariery – mówię ze śmiechem, choć nie do końca żartem. Na szczęście Ben uważa, że to zabawne. Ludziom często się wydaje, że detektywi i policja prowadzą wspólnie dochodzenia, ale nic z tych rzeczy. Nigdy nie nawiązujemy z nią współpracy, a Ben chyba nie pochwaliłby moich sporadycznych rajdów na czerwonym świetle. Lepiej pominąć ten drobny szczegół!

– Ale nadal gram w krykieta! – dodaje z pasją.

– Tak? Obawiam się, że nie mam bladego pojęcia o krykiecie. Nie oglądam go ani nie rozumiem.

– Moje byłe dziewczyny mówiły to samo, ale krykiet jest dla mnie bardzo ważny. Nigdy nie miałem dziewczyny, która by mnie w tym wspierała.

Zaczynam mu współczuć. Zasluguje na to, by ktoś dzielił z nim jego pasję. Z pełną świadomością z miejsca postanawiam, że jeśli zaczniemy się spotykać, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zrozumieć krykieta! Zawsze uważałam, że ludzi trzeba wspierać w ich zamiłowaniach.

Ben pyta, czym się zajmuję, i na szczęście nie wygląda na speszzonego moją odpowiedzią. Nie zasypuje mnie też setkami pytań, jak robią to niektórzy, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Slalom wokół szczegółów trwa w najlepsze. Oczywiście na pewne pytania i tak nie mogę odpowiadać z uwagi na poufność, poza tym nie chcę zdradzać naszych branżowych tajemnic – nie żeby Ben nie miał własnych.

Wspomina, że parę lat temu mnie widział i próbował zagadać, lecz minęłam go obojętnie. Ponoć naprawdę się tym przejął i w tamtym czasie mówił o mnie: „ta, która się wywinęła”. Cóż za komplement. Nigdy bym nie przypuszczała, że robię takie wrażenie. Ale od ponad sześciu miesięcy miał mnie przecież w znajomych na Facebooku. Dlaczego nie próbował działać wcześniej? Jego odpowiedź okazuje się interesująca i krzepiąca. Wtedy miał dziewczynę, a nie uznaje skoków w bok. Rozstali się przed czterema tygodniami, a potem zobaczył, że oznaczyłam go na Facebooku, i pomyślał, że może to dobry moment, żeby się odezwać.

Cyniczna strona mojej osobowości chętnie przeprowadziłaby małe dochodzenie i sprawdziła, czy Ben mówi prawdę, ale odrzucam ten pomysł. Nie odnoszę wrażenia, że wciska mi kit albo próbuje zaimponować. Jest w nim coś bardzo uspokajającego, kojącego. Muszę się kierować obiektywnymi spostrzeżeniami, zamiast uznawać Bena za kłamcę już na pierwszej randce, a potem nasyłać dziewczyny, żeby go śledziły. Jeśli go z góry osądzę, to nigdy nie poznam, jakim człowiekiem jest naprawdę. Ale niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli

kiedykolwiek uznam, że kłamie!

Nasz lunch trwa ponad pięć godzin i pod koniec jestem już prawie jego. Z uśmiechem na twarzy wracam do domu.

## Diamentowa porażka

Poniedziałek rano. Siedzę w domowym biurze razem z Jess. Nadciąga zima, a ja jestem szczęśliwa jak nigdy. Uwielbiam tę porę roku, kiedy w oczekiwaniu na święta można wyciągnąć z szafy zimowy płaszcz i sprawić sobie nowe kozaki. Niby drobiazgi, ale dzięki nim jestem w dobrym nastroju. Podobnie jak Jess, całe szczęście. Kiedy jedna z nas ma kiepski humor, często nie warto się razem męczyć. Jesteśmy do siebie zbyt podobne, żeby wyszło nam to na dobre. Gdy mamy jakieś zadanie do wykonania, idzie nam wyśmienicie, ale w innych przypadkach nasza przyjaźń wystawiona jest na próbę. Na litość boską, co to za przyjaciółki, którym lepiej układa się w pracy niż w relacjach osobistych? Nie jestem pewna, czy to dobrze.

Usiłuję sprawdzić stan kont. Nienawidzę tego, ale czy ktokolwiek pracujący na własny rachunek czerpie prawdziwą przyjemność z tej czynności? Owszem, Jess. Lubi wiedzieć, ile pieniędzy zarobiłyśmy. Tego ranka robi mi wykład na temat naszych stawek. Najwyraźniej muszą być wyższe. Osobiście mam to w nosie. Dopóki pokrywają nasze koszty i przynoszą jakiś zysk, jestem szczęśliwa.

Jess wyznaje ten sam pogląd co pionierzy naszej branży: „Jeśli ludzie desperacko pragną jakiejś usługi, to nie ma takiej kwoty, której by za nią nie zapłacili”. Wiem, że ma rację, ale z moralnego punktu widzenia budzi to mój sprzeciw. Biorąc jednak pod uwagę osobliwe i wariackie zajęcia, jakich się podejmowałam, odkąd rozpoczęłyśmy działalność, zawyżone stawki to moje najmniejsze zmartwienie.

Dzwoni telefon; melodia z Jamesa Bonda, dzięki której czuję się, jakbym występowała w filmie, kiedy pędzę między krzesłami, żeby odebrać.

– Słucham?

Numer rozmówcy jest zastrzeżony. Dlaczego odebrałam? Nigdy nie odbieram telefonów z zastrzeżonych numerów. Głos po drugiej stronie ma niedorzecznie angielski akcent i brzmi wytwornie. Odpowiadam zdawkową, sztywną angielszczyzną, średnio podobną do tej, którą posługuję się na co dzień.

– Mam pewien problem, moja droga. – Standardowa fraza z ust nowego klienta. Nie licząc tego „moja droga” na końcu!

– Oczywiście. W czym mogę pomóc? – Próbuję przybrać radosny ton, bo kobieta wydaje się dość ponura.

– Odnoszę wrażenie, że mój małżonek mnie zdradza. Potrzebna mi wasza pomoc.

O wiele łatwiej mi zrozumieć jej akcent niż cudzoziemca, ale wyraża się przy tym z niezwykłą wytwornością, a ja należę do osób, które często zachodzą w głowę, czy słyszą to samo co reszta ludzkości. Zawsze muszę się wysilić, żeby dobrze zrozumieć. Mam przez to mnóstwo problemów! Poszłam raz na rozmowę o pracę jako dyspozytor medyczny. Poddali mnie wielu testom. Jeden z nich polegał na tym, że miałam wysłuchać zrozpaczonego rozmówcy, a następnie na podstawie otrzymanych od niego informacji odpowiedzieć na pytania. Nie zdałam. Był to jedyny obłany przeze mnie test i ostateczny powód, dla którego nie dostałam tej pracy. Mój tato całymi miesiącami wykorzystywał to przeciwko mnie, powtarzając: „Rebecca nie słucha”... Dlatego teraz, po odebraniu telefonu, mam wrażenie, że znowu przystępuję do egzaminu.

Po krótkiej chwili udaje mi się sporządzić streszczenie. Moja rozmówczyni, Flo, pochodzi z Surrey, podobnie jak jej mąż, który handluje diamentami. Prawdę mówiąc, kiedy mnie o tym poinformowała, byłam święcie przekonana, że mnie wrabia. Ostatkiem sił powstrzymałam się

przed rzuceniem: „Tak, jasne” i przerwaniem rozmowy. Ale w tym jej wytwornym głosie pobrzmiwała nuta szczerości.

Flo przekazuje mi informacje z pewną powściągliwością, poprzestając na suchych faktach i nie dopuszczając do głosu emocji. Tymczasem niemal wszyscy nasi klienci dzwonią poruszeni i zdenerwowani. Ale nie Flo. Nie potrafię określić, czy to dlatego, że została tak wychowana, czy może naprawdę nie przejmuje się sytuacją, a może taka już po prostu jest. Nie ma co próbować przebić się przez jej skorupę: jeśli tak woli współpracować, proszę bardzo.

Jej mąż ma na imię Edwin i jest bardzo bogaty. Flo uważa, że potajemnie utrzymuje kochankę. Ponad rok temu odkryła, że Edwin prowadzi w sieci podwójne życie. Korzystał z dyskretnych stron internetowych, adresujących swoją ofertę do określonego grona odbiorców – małżonków pragnących nawiązać romans. Kiedy Flo dokonała swojego odkrycia, Edwin najwyraźniej od ponad roku był użytkownikiem podobnego portalu. Wtedy rozpoczęła śledztwo na własną rękę.

Nie mogę na to nic poradzić – ta rozmowa mnie stresuje. Sama znalazłam się kiedyś w podobnej sytuacji, teraz stoję jednak po przeciwnej stronie barykady i zdaję sobie sprawę, że to może być niebezpieczne. Jako profesjonalistka wiem też, że podobne działania mieszają nam szyki. Koniec końców domorośli detektywi zawsze zostają przyłapani przez swoje drugie półowki.

Kłopoty dla profesjonalistów zaczynają się wtedy, kiedy amatorzy nie mogą sobie poradzić. Prędzej czy później natrafiają na wyzwanie, które ich przerasta, i wówczas zatrudniają nas. Wszystko pięknie, tyle że teraz ich partnerzy już wiedzą, że ktoś wokół nich węszy. Musimy zachować o wiele większą ostrożność, niż gdyby zwrócono się do nas w pierwszej kolejności. Gdyby tylko klient zatrudnił nas w chwili, kiedy nabrał podejrzeń, zanim jeszcze jego śledztwo zaczęło się sypać!

Wróćmy do rozmowy. Flo przedstawia mi szczegóły swojego dochodzenia. Muszę przyznać, że nie poszło jej źle – znam gorsze przypadki. Okazuje się, że Edwin dał kochance pieniądze na rozruch jej własnej firmy, a nawet na nowiuteńkie mieszkanie. Nie był przy tym szczególnie rozważny, bo za prezenty dla niej płacił ze wspólnego konta. Kto tak robi? Tylko tyle odkryła Flo, ale więcej nie potrzebowała. Skonfrontowała się z mężem i potajemny romans najwyraźniej dobiegł końca. Teraz, po roku, pojawiają się kolejne podejrzenia. Jakie dokładnie, o tym nie wspomina. Pytam przy paru okazjach, ale Flo zawsze zgrabnie omija temat. Jakby nie miała równie solidnych podstaw co za pierwszym razem, lecz i tak chciała sprawdzić męża. Ostatecznie sondowanie jej to nie moja broszka, dlatego tego nie robię. Zyskuję pewność, że z Flo łączą mnie relacje o czysto zawodowym charakterze, i od razu przechodzę do rzeczy – jak możemy pomóc.

Edwin przylatuje do Londynu w drodze z Dubaju. Spędzi tam zaledwie dwa dni, ale przez cały ten czas musimy go śledzić. Flo informuje mnie, że na poniedziałek Edwin ma zaplanowane spotkanie. To głównie z tego powodu cała ta wyprawa. Został także zaproszony na ekskluzywne przyjęcie z jakimiś rosyjskimi współpracownikami w niedzielę wieczorem. Flo jest pewna, że w którymś momencie mąż ją zdradzi, ale nie wie, kiedy dokładnie. Czeka nas proste zadanie, a przynajmniej tak się wydaje. Informuję klientkę, że ułożę plan i oddzwonię z dokładnym kosztorysem. Dziękuje mi, po czym się rozłącza. Wszystko przekazuję Jess.

– Cóż, ta wycena z pewnością poszybuje w górę! – Jess kieruje się prostą logiką. – Mąż tej kobiety zarabia, handlując diamentami! Na pewno nie narzeka na brak gotówki.

Ma rację, lecz i tak jej nie słucham, bo wkrótce odkrywam, że ta mała wyprawa będzie wystarczająco kosztowna nawet bez naszej pomocy. Flo przekazała mi, w którym hotelu planuje zatrzymać się Edwin. Niestety my także musimy wynająć tam pokój. Wpisawszy nazwę do

wyszukiwarki, odkrywamy, że to nie jest zwyczajny hotel, tylko jeden z najlepszych w całym Londynie: szczyli się pięcioma gwiazdkami i nagrodą specjalną. Myślę, że tych parę nocy jakoś tam wytrzymamy – a przy cenie pięciuset funtów za dobę w najskromniejszym pokoju lepiej, żeby gra była warta świeczki.

Pozostaje kwestia przyjęcia. Jeśli Edwin pójdzie, to my również musimy się tam dostać, co będzie trudne. Zawsze możemy przebrać się za obsługę i przeniknąć do środka tylnym wejściem, ale to nudne. Potrzebujemy biletów. Raz jeszcze przydaje się moja dobra przyjaciółka, wyszukiwarka internetowa. Tak jak podejrzewałam, przyjęcie zalicza się do wyjątkowo ekskluzywnych. Najwyższy czas wykorzystać lata nauki aktorstwa. Chwytam za telefon i dzwonię do organizatorów. Nie mam pojęcia, skąd ten nagły przypływ pewności siebie. Zazwyczaj nie robię takich rzeczy bez wcześniejszego przygotowania i nastrojenia się. Tym razem lekceważę środki ostrożności, silę się na najbardziej wytworny akcent, na jaki mnie stać, i zdaję na łaskę losu.

– Dzień dobry. Dzwonię w imieniu De Jane Enterprises. Z pewnością państwo o nas słyszeli. Dzwonię w związku z przyjęciem.

Moją rozmówczynią jest bardzo poważna Rosjanka. Raz jeszcze przeklinam swoje problemy ze zrozumieniem akcentów.

– W czym mogę panji pomóc?

– Po prostu muszę być na nim obecna. Czy może to pani zorganizować?

– Obawiam się, że to niemożliwe. Lizta gości jest bardzo długa, a przyjęcie panji zgłoszenia zajęłoby teraz zbyt wiele czasu. – Co za nadęta krowa!

– Młoda damo, rozumiem, że jest już późno. W dniu przyjęcia miałam towarzyszyć sir Charlesowi Tomlinsonowi w Dubaju, pojawił się jednak pewien problem, dlatego będę mogła się zjawić. Wasi współpracownicy z Taylors of London gorąco polecali mi udział w tym przyjęciu. Z pewnością za mnie poręczą, może pani również zwrócić się do sir Charlesa. Muszę się znaleźć na liście gości bez względu na cenę.

Plotę wprost astronomiczne bzdury. Jess gapi się na mnie ze zdumieniem i mamrocze pod nosem:

– Tobie już kompletnie odbiło.

– Muszę się zkonstultować z moim przełożonym. Zobaczę, co da się zrobić – odpowiada mi nadęta Rosjanka.

– Dziękuję uprzejmie. Życzy pani sobie mój adres mailowy? Następną parę godzin spędzę w samolocie do Nowego Jorku, dlatego kontakt ze mną będzie utrudniony.

Rosjanka notuje adres, po czym konwersacja dobiega końca. Opadam na krzesło i mam ochotę wyzionąć ducha. Wielokrotnie zdarzało mi się improwizować, ale tym razem to było zwyczajnie głupie. Nie ma mowy, żeby kobieta odpowiedziała. Niestety udawanie obsługi może być naszym jedynym rozwiązaniem.

Właśnie sporządzam kosztorys dla Flo, kiedy rozlega się dźwięk poczty przychodzącej. Może to niezbyt wytworne ani zgodne z etykietą, ale mój program pocztowy puszcza bąki. Mam bardzo dobre wyjaśnienie na swoją obronę. Rano, kiedy włączam komputer, zwykle odbieram około trzydziestu wysłanych nocą maili, a zawsze budzę się w zrzędlwym nastroju. Słuchanie, jak przez dwie minuty mój komputer nieustannie wypuszcza gazy, zdecydowanie poprawia mi humor.

Rosjanka przysłała wiadomość. Najwyraźniej jej przełożony zgodził się na naszą obecność i usadził nas przy stoliku z handlarzem diamentami – za dwa i pół tysiąca funtów od osoby. Właśnie piłam kawę i najpierw prawie się zakrztusiłam, a potem wybuchnęłam śmiechem. Kto w ogóle chodzi na takie imprezy? Wpisuję to do kosztorysu dla Flo, żeby mogła

zdecydować, czy nasza obecność na przyjęciu jest niezbędna. Rachunek opiewa na nedorzeczną kwotę. W porównaniu z kosztami nasze honorarium wypada skromnie.

Pięć minut po wysłaniu faktury odzywa się telefon. Dzwoni Flo z informacją, że nie ma żadnych zastrzeżeń do kosztorysu i chce, abyśmy poszły na przyjęcie. W ciągu dwudziestu czterech godzin jej przyjaciółka skontaktuje się ze mną w sprawie płatności, ponieważ ona sama obawia się dekonspiracji, jeśli zrobi to osobiście. Uspokajam ją, że wszelkie płatności na rzecz agencji zostaną zaksięgowane jako wydatki odzieżowe, więc nikt nie będzie niczego podejrzewał. Kolejny spośród wielu drobnych szczegółów, które musiałyśmy wziąć pod uwagę podczas rozkręcania działalności.

Następnego dnia jadę właśnie autostradą, kiedy dzwoni komórka. Odbieram, w trybie głośnomówiącym, rzecz jasna.

– Dzień dobry, moja droooga, mówi Ingrid, przyjaciółka Flo.

Wymieniamy uprzejmości. Przyjaciółka sprawia wrażenie dziwacznej, lecz sympatycznej. Płaci kartą kredytową przez telefon. Wszystkie szczegóły spisuje Jess, która jedzie ze mną i przysłuchuje się rozmowie. A potem pada prawdziwa bomba.

– Czy oferujecie również inne usługi? – pyta Ingrid.

– Och tak, robimy właściwie wszystko. Co konkretnie ma pani na myśli? – pytam, wrzucając migacz i zmieniając pas ruchu.

– Czy zajmujecie się również wysyłaniem tych zdradzieckich drani na tamten świat?

Oczy niemal wychodzą mi z orbit. Patrzymy na siebie z Jess, poważnie zaniepokojone. Czy ta kobieta właśnie zapytała, czy zabijamy niewiernych mężów? Chyba się nie przesłyszałam, w przeciwnym razie Jess nie zareagowałaby tak samo. Próbuję zbyć pytanie śmiechem.

– Nie, nie, nie, takich usług nie oferujemy... cha, cha, cha!

– Och, naprawdę? A w zasadzie dlaczego nie? Mogłybyście świetnie na tym zarobić.

Co ta kobieta wygaduje? Czy ona mówi poważnie? Co prawda się śmieje, ale są takie rzeczy, których po prostu się nie mówi!

– Nie, obawiam się, że tylko ich łapiemy. Nigdy nie wmieszałybyśmy się w coś podobnego. – Teraz zaczynam się bać.

– Ja tylko żartowałam, skarbie – uspokaja Ingrid i wtedy dociera do mnie, że to przez ten superwytworny akcent wzięłam jej słowa na poważnie! Jess i ja czujemy wielką ulgę.

Przed wyprawą do Londynu jeszcze dwukrotnie rozmawiam z Flo. Mam zdjęcia jej męża, opis ubrań, które spakowała mu pokojówka (rany!), i każdy strzęp informacji na temat jego planowanych zajęć, jakim dysponuje Flo.

Mam pecha – przed akcją rozchorowałam się na całego. Z trudem mówiłam, z nosa lało mi się strumieniami i bez przerwy miałam mdłości. Kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że nie ma nikogo, kto by go zastąpił podczas choroby, dopiero wtedy dociera do niego, co to naprawdę znaczy pracować na własny rachunek. Wciąż nie czuję się najlepiej, kiedy o trzeciej nad ranem wyruszamy w kierunku Londynu. Budzik terkocze o godzinie, o której młodsza wersja mnie właśnie kładłaby się spać po całonocnej imprezie. Zapomnijcie o makijażu czy fryzurze.

Wrzucam walizkę do bagażnika i w tej samej chwili na podjazd zajeżdża Jess. Wygląda równie nieciekawie jak ja. Zamieniamy najwyżej dwa słowa i wyruszamy do Wielkiego Śmierdziela. Zlecenie może co prawda jest zabawne i ekscytujące, ale o tak wczesnej porze i przy tak podłym samopoczuciu mam to w nosie.

Potrzeba trzech godzin i blasku słońca wyłaniającego się zza horyzontu, żeby choć trochę poprawił nam się humor. Następnym przystankiem na stacji benzynowej. Najpierw kawa i muffiny, a potem makijaż i walka z niesforną czupryną. Na wypadek gdyby nie trafiła nam się okazja na kolejny postój, uzbrajamy się w sprzęt. Chowamy miniaturowe kamerki w bluzkach i mocujemy

nadajniki radiowe, ich kabelki biegną przez rękawy aż do uszu. Zwykle dajemy sobie spokój z nadajnikami, bo są odrobinę teatralne. W tym przypadku nie możemy co dziesięć sekund łapać za telefon, żeby wysłać wiadomość albo porozmawiać, dlatego musimy działać dyskretnie.

Na początek mamy znaleźć Edwina. O dziesiątej trzydzieści ląduje na Heathrow. Na szczęście docieramy na miejsce z wyprzedzeniem i możemy zaplanować nasze posunięcia. Mamy trzy opcje: Edwin pomaszeruje na ostatni poziom i weźmie samochód z wypożyczalni; uda się do frontowego wyjścia i wsiądzie do taksówki albo pójdzie do wyjścia na tyłach, na inny postój taksówek. Jess jest za tym, żebyśmy zostały w samochodzie, ale ochroniarze na lotniskach są irytujący. Nie mamy innego wyjścia – Jess zostanie w aucie na parkingu wielopoziomowym, czekając w pobliżu szlabanu. Oznacza to, że będę musiała połączyć się z nią przez radio, kiedy Edwin opuści terminal, wtedy ona zapłaci za parkowanie, wróci do samochodu i szybko wyjedzie. Proste.

Na podejździe do McDonalda, za rogiem, wyciągam z bagażnika perukę. Gdyby Edwin zobaczył mnie w pobliżu terminalu, a potem w tym samym hotelu, wzbudziłabym zbyt wiele podejrzeń. Dziewczyny ochrzcili mój bagażnik „Narnia”, ponieważ mieści wszelkie możliwe akcesoria do kamuflażu: odzież na zmianę, peruki, okulary, kosmetyki do makijażu – do wyboru, do koloru. Oczywiście panuje w nim lekki bałagan, ale nic na to nie poradzę. W samochodzie obok siedzi dwóch nastolatków. Wyglądają na przerażonych. Uśmiecham się do nich i macham, a oni, bardzo zawstydzeni, w okamgnieniu wracają do wcinania swoich hamburgerów. Mam na sobie dżinsy, klapki, koszulkę bez rękawów, blond perukę – i jestem gotowa do akcji.

Jess zajeżdża pod terminal, wysadza mnie i zajmuje pozycję na parkingu wielopoziomowym. Prędko wchodzę do środka i siadam na krzeselku. Wybieram takie, które nie znajduje się bezpośrednio w zasięgu wzroku przybyłych pasażerów. Tablice przylotów aktualizują informacje – okazuje się, że lot Edwina ma dwadzieścia minut opóźnienia. Przekazuję wiadomość Jess i mimo wszystko obserwuję każdego, kto wychodzi przez bramkę. Co minutę zerkam na tablice. Bez zmian.

Przez terminal przelewają się setki pasażerów – jednocześnie wylądowały trzy samoloty, obłąd. Na tablicy wciąż widnieje informacja o opóźnieniu, po czym pojawia się komunikat, że samolot wylądował trzydzieści minut temu. Jestem przerażona. Obserwowałam każdego, kto przechodził przez bramkę, i nikt nie pasował do zdjęć. Nagle dostrzegam mężczyznę podobnego do Edwina jak dwie krople wody – idealnie odpowiada opisowi. To on. Łączę się z Jess, która płaci za parkowanie i zbliża się do szlabanu. Sama ruszam na piechotę, Edwin idzie przede mną. Dociera do wysepki w pobliżu parkingu, gdzie zwykle pasażerowie czekają na kogoś, kto ma ich odebrać. Skręcam za rogiem, żeby wsiąść do samochodu, ale Jess wciąż tkwi przed szlabanem. Coś tu nie gra. Wsiadam do auta.

– To cholerstwo połknęło mój kwit i nie chce mnie teraz wypuścić! – Jess drze się na maszynę. Robi się chryja. – Na szczęście ktoś już tu idzie.

Bardzo możliwe, że zgubimy Edwina. Wypadam z samochodu i pędzę w stronę wysepki, żeby mieć go na oku. Obok niego zatrzymuje się samochód. Przedstawiciel obsługi, który przyszedł naprawić maszynę, to stara pierdoła. Ani myśli nas puścić, zanim nie sprawdzi kwitu i nie upewni się, że zapłaciłyśmy za parking. Chcę wrócić do samochodu, ale wtedy stracę Edwina z oczu. Teraz obydwie panikujemy, ale Pan Pierdoła ma to gdzieś. Edwin zapakował już swoje rzeczy do bagażnika i właśnie odjeżdża. Szybko filmuję samochód i zapamiętuję numery rejestracyjne. Pan Pierdoła wreszcie nas wypuszcza. Straciłyśmy Edwina z pola widzenia już dwie minuty temu. W tej grze dwie minuty to wieczność, mężczyzna może być teraz wszędzie.

Jess, nie zdejmując nogi z gazu, wypada z parkingu i mijają terminal. Parę osób rzuca nam znaczące spojrzenia. Dobrze, że w pobliżu nie kręci się policja. Nie mamy innego wyjścia, w tej

branży musimy sięgać po wszelkie możliwe środki. Niestety, z tej przyczyny niektórzy z nas mają na koncie parę punktów karnych – w tym ja. Z dużą prędkością wpadamy na drogę szybkiego ruchu i ku naszej uldze dostrzegamy samochód Edwina. Znowu możemy swobodnie oddychać. Trzymając się przez cały czas w bezpiecznej odległości, śledzimy go przez blisko godzinę. Wygląda na to, że zamiast wjechać do Londynu, Edwin omija miasto i zmierza w stronę Kentu. Czyżby kierował się na kanał La Manche?

– Jesteś pewna, że to on, Rebecco? – pyta Jess.

– Eee, na dziewięćdziesiąt procent – odpowiadam.

Piętnaście minut później jest już osiemdziesiąt procent, a po kolejnych dziesięciu mówię:

– Wcale nie jestem pewna.

– Szlag! – Jess dodaje gazu i zrównuje się ze śledzonym przez nas samochodem. – To nie on!

Jestem zażenowana. Nigdy dotąd nie zawiodłam na całej linii. Słyszałam o podobnych sytuacjach, które przydarzyły się innym detektywom, ale nie nam. A z całą pewnością nie mnie!

– Zawracaj – mówię. – Jedź do hotelu.

Obie milczymy jak zaklęte, aż w końcu zajeżdżamy pod hotel. Teraz dzwoni przyjaciółka Flo. Nie wiem, co zrobić, co powiedzieć. Przecież nie mogę wyznać jej prawdy, że go zgubiliśmy. Muszę jakoś ratować sytuację.

– Halo? Jak wam idzie, skaaarbie?

Tak, to na pewno ona.

Chce mi się ryczeć!

– W porządku, w porządku, jak na razie bez żadnych problemów. Czy odzywał się do któregoś z was? – pytam, modląc się o wskazówkę.

– A tak, owszem. Czy chodzenie za nim po strefie restauracyjnej nie jest przypadkiem nudne?

Niby drobna wskazówka, lecz w tych okolicznościach wydaje się bezcenna!

– Istotnie, mają tam wiele wyśmienitych smakołyków, ale ceny zwałają z nóg.

Upprzedzam, jeśli dobrze znam Edwina, z pewnością będzie szastał pieniędzmi. A skoro o tym mowa, pluję sobie w brodę. Potrzebny mi kawior konkretnej marki na uroczysty lunch z paniami w ten czwartek, a sprzedają go tylko w Harrodsie. Jeśli Edwin o nim zapomni, czy mogłybyście go dla mnie kupić?

Bingo! Mamy wskazówkę. Dla nas to prawdziwy cud. Dzięki, Ingrid! Pokazuję Jess uniesiony kciuk.

– Jeśli on go nie kupi, to z pewnością to zrobimy – odpowiadam pogodnie.

Ingrid mówi, że musi już kończyć i zadzwoni później. Po całym tym dotychczasowym pechu los wreszcie się do nas uśmiechnął!

– Zostawmy bagaże i zczekajmy na niego tutaj – proponuję Jess.

Na razie Edwin nic nie kombinuje, a z naszych obliczeń wynika, że nie miał dość czasu, aby się przebrać. Z pewnością zechce to zrobić przed przyjęciem.

Przez klasyczne drzwi rodem z miejskiej rezydencji wchodzimy do najpiękniejszej recepcji, jaką kiedykolwiek widziałam. Jest olbrzymia i wyłożona marmurem! Całą przeciwległą, bardzo długą ścianę zajmuje kominek, w którym płonie ogień. Przed nim, zatopione w marmurowej podłodze, znajdują się luksusowe siedziska z miękkiej beżowej skóry. Wnętrze jest nieco minimalistyczne, lecz przepiękne. W recepcji brakuje naturalnego oświetlenia – zamiast niego wszędzie migoczą świece, tworząc niezwykle intymny nastrój, a na zewnątrz dzień trwa w najlepsze. Hotel przypada nam do gustu. Podczas meldowania obsługa jest urocza, a potem zostajemy odprowadzone do pokoju. Urządzono go podobnie jak recepcję. Wszystkie



meble są albo obite białą tkaniną, albo wykonane z jasnego drewna. Dwoje podwójnych drzwi prowadzi na balkon z widokiem na londyńskie dachy. Jesteśmy szczęśliwe, ale czeka nas robota.

Ledwo znaleźliśmy się w pokoju, a już obracamy się na pięcie i maszerujemy z powrotem do recepcji, zaopatrzone w laptopa, ładowarkę, czasopisma i książki. Nie ruszymy się stamtąd na krok, dopóki nie zjawi się Edwin. W żaden sposób nie zdoła nas ominąć. Na wszelki wypadek siadamy bliżej rogu, nie na widoku.

Po godzinie zamawiamy posiłek przygotowany przez odznaczonego gwiazdkami Michelina szefa kuchni we własnej osobie. Ja wybieram kanapkę z wędzonym łososiem, a Jess coś z wołowiną. Obydwa dania podają nam z chipsami, które tak naprawdę nie mają z chipsami nic wspólnego – wiecie, z takimi, co to zęby człowieka bołą, kiedy próbuje je pogryźć. Niektórym jednak się wydaje, że są bardzo eleganckie. Osobiście wolę Doritos!

Właśnie odgryzam wielki kawałek kanapki z łososiem – kiedy w drzwiach za moimi plecami pojawia się Edwin i idzie prosto do recepcji. Jess kaszle i zerka na niego znacząco. Zaskoczona porzucam kanapkę i ruszam do łazienki, a Jess zostaje na swoim miejscu i obserwuje mężczyznę. Na tak wczesnym etapie nie powinien nas razem widzieć.

Na szczęście mamy na sobie urządzenia wzmacniające dźwięk. Chociaż od Edwina dzieli nas pewna odległość, słyszymy jego cichą rozmowę z recepcjonistką. Prosto z lotniska pojechał do centrum. Wiemy to, bo recepcjonistka pyta, jak minął mu dzień. Bogu niech będą dzięki za obsługę klienta. Edwin odpowiada, że zrobił małe zakupy, potem wpadł jeszcze coś przekąsić i dopiero teraz się melduje. W rękach trzyma torby z Harrodsa. Czuję ulgę. Wcześniejszy dramat powoli odchodzi w przeszłość.

– Numer pięćset dwanaście, proszę pana – recepcjonistka informuje Edwina. Bardzo dziękujemy, nasze życie właśnie stało się łatwiejsze. Po tych słowach mężczyzna idzie do pokoju.

Wracamy do swojego kąca i posiłku. Mijają dwie godziny, potem trzecia. Pracownicy recepcji zaczynają się nami interesować. Ktoś podchodzi i pyta, czy może nam w czymś pomóc. Poza nami nikogo więcej tu nie ma, dlatego budzimy pewne podejrzenia. Czwarta godzina, piąta... Zjawia się kolejny członek obsługi i pyta, czy nam się tu podoba. Ten idiota chyba się z nas nabija? Nie ruszamy się stąd od paru godzin! Głupie pytanie – facet wyraźnie próbuje dowiedzieć się czegoś więcej.

– Myśli, że jesteśmy dziwkami – cedzi Jess przez zaciśnięte zęby, odpowiadając go niecierpliwym ruchem. Jest osiemnasta trzydzieści, przyjęcie rozpoczyna się za godzinę, a my siedzimy tu już pół dnia. Pojawia się nuda. Facebooka i Twittera sprawdzałam chyba z tysiąc razy, od tego durnego, przepięknego ognia w kominku pali mnie twarz, przeczytałam też wszystkie czasopisma i trzy rozdziały książki.

Musimy się przebrać na przyjęcie. Jess idzie na górę pierwsza, po czym wraca w długiej do samej ziemi czarnej sukni i szpilkach w tym samym kolorze. Zostaje na straży, a ja lecę do pokoju. Nie mamy czasu na fryzury ani makijaż – poprzestajemy tylko na szybkich poprawkach. Schodzę na dół w cielistej sukience z gorsetem i pożyczonej diamentowej obróżce.

Dochodzimy do wniosku, że na kolejnym etapie naszej misji musimy się rozdzielić. Jedna z nas będzie siedziała w samochodzie, druga zaś w recepcji. Chcemy mieć absolutną pewność, że kiedy Edwin zacznie się przemieszczać, będziemy gotowe ruszyć w pościg. Biorę pierwszą zmianę w aucie. Skąpana w świetle ulicznej latarni, siedzę po ciemku w samochodzie zaparkowanym przy królewskiej londyńskiej ulicy, na wysokości publicznego ogrodu otoczonego parkanem. Wzdłuż jezdnii po obu stronach ciągną się domy szeregowe. Wracam do czytania książki. W oczekiwaniu na sygnał od Jess telefon mam ustawiony na maksymalną głośność, ale moje myśli bez przerwy wędrują w stronę Bena. Od naszego pięciogodzinnego

lunchu minął już tydzień. Przez ten czas rozmawialiśmy parę razy i planowaliśmy znowu się spotkać – co mnie przeraża i zarazem cieszy.

Lunch poszedł gładko i spokojnie, ale teraz, kiedy przez pewien czas się nie widzieliśmy, wróciły nerwowe motylki w brzuchu. Jakby tego było mało, w którymś momencie zgodziłam się przygotować kiedyś dla niego kolację! Trudno mnie nazwać boginią domowego ogniska. Ostatnim razem znaleźliśmy wspólny język i buzie nam się dosłownie nie zamykały. Wyjście do kina nieszczególnie nam odpowiadało, zaproponowałam więc domową randkę. Ben uznał, że to doskonały pomysł. Właśnie wtedy zrobił aluzję – że naprawdę musi skosztować mojej kuchni. Spotkalibyśmy się wcześniej, gdyby nie to zlecenie. Na razie muszę jednak czekać i siedzieć tutaj, radząc sobie z własnym zdenerwowaniem i licząc na to, że moje danie nie przyprawi Bena o zatrucie pokarmowe.

Po trzydziestu minutach zjawia się Jess, a ja wracam do recepcji. Zmieniamy się jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze. Czy Edwin w ogóle wybiera się na to przyjęcie? Zaczynamy wątpić. Zainstalowałyśmy na piętrze kamerę wycelowaną prosto w jego pokój. Mężczyzna go nie opuszczał, nikt też tam nie wchodził. O dwudziestej pierwszej trzydzięci zaczynamy mieć wątpliwości. Nikt nie funduje sobie celowo spóźnienia za dwa i pół tysiąca funtów od łebka. A może jednak?

Bawimy się w tę szaradę przez następne dwie godziny, aż w końcu wyłania się Edwin. Ma na sobie dżinsy i marynarkę – co trudno nazwać strojem wieczorowym. Dziwne. Jess daje mi znać, że Edwin pieszo właśnie opuszcza hotel. Rzeczywiście. Nurkuję do mojego bagażnika pełnego niespodzianek i zakładam długi czarny płaszcz, krótką czarną perukę i płaskie buty. Ruszam za nim na piechotę, zostawiając kluczyki w stacyjce, żeby Jess mogła przejąć samochód. Edwin idzie ponad trzy kilometry do całonocnego sklepu, gdzie kupuje gazetę i herbatniki. Najwidoczniej ma ochotę na przechadzkę, nic więcej. Wraca do hotelu, do swojego pokoju – i to wszystko. Postanowił zrezygnować z przyjęcia. Nasza biedna klientka wybuliła pięć tysięcy funtów, a my nawet nie weźmiemy w nim udziału!

Po powrocie Jess i ja wpadamy w szpony recepcjonistki. Spędziłyśmy jednaście godzin w jednym miejscu i teraz chcemy już tylko położyć się spać. Budzik ustawiliśmy na szóstą trzydzięci, na wypadek gdyby Edwin zaliczał się do rannych ptaszków. Ta perspektywa średnio mnie cieszy, ale nie mamy innego wyjścia.

– Drogie panie, chcielibyśmy coś paniom pokazać.

Jesteśmy na nogach od trzeciej nad ranem i brak snu daje nam mocno w kość, a ta propozycja wydaje się dziwna.

– Proszę za mną – mówi recepcjonistka i prowadzi nas do windy, którą wjeżdżamy na trzecie piętro. Zaczynam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie porwanie.

– Kierownictwo hotelu chciałoby zapewnić paniom wyższy standard – tłumaczy recepcjonistka, wprowadzając nas do nowego pokoju. Tyle że słowo „pokój” nie jest tu na miejscu. Wchodzimy do apartamentu ze sklepionym sufitem, telewizorem z dostępem do każdego możliwego kanału, darmowym minibarem i dużą sypialnią z balkonem wychodzącym na prywatny dziedziniec. A w łazience stoi wanna, do której wchodzi się po pięciu stopniach.

– O rany, dzięki – mówimy obydwie, bardzo zadowolone.

Przenosimy nasze bagaże i rozgaszczamy się w nowym lokum. Jess idzie do łazienki, żeby wziąć prysznic, a ja pięć sekund później już śpię. To był długi, śmiertelnie nudny dzień.

Po pobudce o szóstej trzydzięci jak najszybciej ubieramy się i malujemy, po czym wracamy na nasze miejsca w recepcji. Dzwonię do Flo, żeby poinformować ją o wydarzeniach minionej nocy. Chyba jej ulżyło, chociaż trudno powiedzieć. Mówi, że kiedy Edwin rozpocznie umówione spotkanie, możemy już wracać. Zeszłej nocy miał idealną okazję i z niej nie

skorzystał.

Siedząc znowu w recepcji, przekazuję Jess to, co usłyszałam od Flo. Zamawiamy śniadanie – ale nie byle jakie, bo angielskie. Każda z nas otrzymuje dwie tace, a na nich mięsa, sery, ciasta, tosty, kawę, herbatę, gorącą czekoladę, do tego jajecznicę i wędzonego łososa, jajka w koszulkach, jajka po benedyktyńsku, szampana i wszelkie gatunki owoców. Zamiast zapytać, co chcemy z karty dań, po prostu przynieśli nam wszystko. Patrzymy po sobie i się uśmiechamy. A największa ironia polega na tym, że w tym hotelu przebywa pewien mężczyzna, który nie ma pojęcia, kim jesteśmy, a jednak za to płaci – w tym bardzo przystępną cenę siedemdziesięciu pięciu funtów od osoby za nasze śniadanie. Dziękujemy, Edwinie!

Edwin schodzi na dół i siada w restauracji. Snuje się trochę po recepcji, zagląda do biblioteki. Wsiada do samochodu i jedzie na spotkanie. I tyle.

Nasz czas minął. Edwin nic nie zrobił, a nasza klientka poniosła spore koszty, żeby się o tym dowiedzieć. Pokój jest opłacony na jeszcze jedną noc, ale Flo nie potrzebuje więcej informacji, więc wyrwamy się do Harrodsa, zjemy lunch, podziwiamy torebki marki Louis Vuitton i wstępujemy do wszystkich butików w Kensington. Wieczorem co rusz wpadamy na Edwina i możemy powiedzieć, że naprawdę jest tu sam.

Następnego ranka wymeldowujemy się z hotelu. Rachunek za dwie doby opiewa na zawrotną sumę, znacznie przekraczającą miesięczne dochody przeciętnego człowieka. Jess zadaje recepcjonistce jedno pytanie:

- Dlaczego daliście nam inny pokój?
- Jesteście dziennikarkami, prawda? – Kobieta się uśmiecha.
- Dziennikarkami, ach tak! Przejrzeliście nas – odpowiada Jess. Szczerzymy się do siebie nawzajem.

Tym sposobem nasza przygoda w Londynie dobiega końca i wracamy na północ. Wkrótce potem kontaktuję się z Flo. Zwykle po zleceniu mam wrażenie, że zbliżyłam się do klienta, lecz w tym przypadku zawodowy dystans pozostał. Spodziewałam się, że Flo będzie albo nieodparcie szczęśliwa z dobrego zakończenia, albo odrobinę zasmucona, że niczego się nie dowiedziałyśmy. Nic z tych rzeczy. Wydawało mi się, że wychyciłam ulgę w jej głosie, kiedy zdawałam relację z naszych działań, lecz ona przez cały czas była zamknięta w sobie. Jej przyjaciółka, rzecz jasna, to zupełnie inna historia; sama Flo natomiast nie życzy sobie, by ktokolwiek dostrzegł dręczący ją osobisty dylemat. Nawet przez chwilę – czy to przed rozpoczęciem śledztwa, czy w jego trakcie, czy też po zamknięciu – nie miałam wrażenia, że przebiłam się przez tę skorupę. I chyba nigdy się nie dowiem, co naprawdę myśli Flo o wynikach naszej wyprawy.

Z doświadczenia wiem, że klienci dzielą się na dwie grupy: na takich, którzy po trzydziści razy opowiadają detektywowi o całym swoim życiu, i na takich, którzy nie mówią mu nic. Z początku podobało mi się, że Flo podeszła do sprawy profesjonalnie i trzymała się suchych faktów, ale trochę żałuję, że nie mogłam się do niej zbliżyć. Ciągle się zastanawiam, czy to ja w pewnym momencie popełniłam błąd, czy też to ona po prostu już taka jest.

To moja druga randka z Benem. Patelnia warzyw znalazła już drogę na palnik, w kolejce czeka druga, duża patelnia do usmażenia wielkich steków, a w piekarniku cudownym sposobem pojawiła się kremowa zapiekanka z ziemniaków. Okej, to nie ja ją zrobiłam. Kupiłam gotową w supermarkecie! Ale improwizuję i na razie idzie mi nieźle.

Ben wysłał mi SMS-a, że jest już w drodze, i nerwowe, płochliwe motyle, które zasiedliły mój żołądek, zaczynają trzepotać skrzydłami jak szalone.

Nie trzeba wiele czasu, żeby Ben poczuł się tu jak u siebie. Siedzi na kanapie i gawędzi swobodnie o tym, co porabiał, i dyscyplinach sportowych, które uprawiał, podczas gdy ja uwijam

się w kuchni, udając połączenie Delii Smith i Nigelli Lawson. W trakcie naszej rozmowy stopniowo zbaczam coraz bardziej w stronę kanapy, wpatrując się w Bena i myśląc, jak bardzo uwielbiam jego oczy. W rezultacie to on podnosi alarm, że z kuchni dochodzi swąd spalenizny! Te ziemniaki to i tak był głupi pomysł. Zamiast tego otwieram paczkę mrożonych frytek. Na szczęście Ben uważa, że to zabawne i słodkie – jestem mu za to wdzięczna!

Paris spędza ten wieczór u moich rodziców. Wspominałam jej o Benie, ale na razie nie drążę tego tematu.

– Byłeś kiedyś w związku z kimś, kto ma dzieci?

– Dziwnym trafem nie, nigdy!

Nie potrafię powiedzieć, czy to dobrze, czy źle. Niełatwo spotykać się z kimś, kto ma dzieci.

– Bywa trudno – ostrzegam go. – Nie jesteś rodzicem, więc nigdy nie będziesz wiedział, czy postępujesz właściwie. Nie mówiąc już o tym, że dziecko może cię wcale nie polubić.

Czy ja właśnie próbuję go odstraszyć?

– Rozumiem. Nie spodziewam się, że będzie łatwo, ale chyba dam sobie radę. Według mnie taki malec to zabawna nowa osóbka, którą mogę poznać. Poza tym sam jestem wielkim dzieckiem.

Z jednej strony to urocze, że podchodzi do sprawy z takim optymizmem, a z drugiej – zastanawiam się, czy może tak naprawdę nic z tego nie rozumie.

Ben nie sprawia wrażenia kogoś, kto spędził życie pod kloszem, ale z pewnością jest nieskażony wiedzą w tym temacie. Albo wyjdzie nam to na dobre, albo nie.

Patrzę jednak, jak się do mnie uśmiecha, i wiem, że muszę po prostu oswoić się z nową sytuacją i być dobrej myśli. Chcę mu ufać i wierzyć, chcę, żeby nam się udało – a to dopiero druga randka! Przeróżające czasy.

# Moralność odchodzi w niepamięć

Na stronie internetowej i ulotkach informujemy, że zajmujemy się „zastawianiem sideł w sieci”. Wiele osób ma spore pojęcie na temat tradycyjnego zastawiania sideł, kiedy dziewczyna zagaduje faceta, żeby sprawdzić, czy się złapie. Zastawianie sideł w sieci to coś zupełnie nowego.

Nie pamiętam, która z nas doznała tego olśnienia, ale na samym początku naszej działalności założyłyśmy na Facebooku, Twitterze, LinkedIn i kilku serwisach randkowych fałszywe konta należące do mężczyzn, kobiet i firm. Wrzucaliśmy zdjęcia, żeby wyglądały autentycznie. Pracowałyśmy nad tymi profilami, wymyślając je od podstaw i stopniowo rozwijając. Brak jakiegokolwiek aktywności wzbudziłby podejrzenia i doprowadziłby nas donikąd. Stworzeni przez nas fałszywi użytkownicy musieli zamieszczać wiadomości i wieść fałszywe życie. Było to bardzo czasochłonne, wiedziałyśmy jednak, że ten wysiłek się nam opłaci, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Wykorzystałyśmy już dwa spośród tych kont podczas pierwszego zlecenia od Jane, ale na razie nikt nie zatrudnił nas do zarzucania przynęty na partnera w sieci. Możecie sobie zatem wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy jednocześnie dostałyśmy dwa takie zlecenia.

Jest jedenasta wieczorem. Siedzę opatulona na kanapie i oglądam powtórkę powtórki naprawdę tandetnego amerykańskiego programu. Mam na sobie białe puchate kaptcie i biały puchaty szlafrok, a w dłoni kubek kakao, kiedy przychodzi pierwszy SMS.

„Cześć. Potrzebuję pomocy. Chyba chcę zastawić sidła w sieci na mojego narzeczonego. Czy możecie mi w tym pomóc? Jenny”.

„Oczywiście, że tak, Jenny. Proszę nam przesłać szczegóły w mailu, a wtedy podamy Pani kosztorys”.

„Wspaniale, dziękuję. Przepraszam, że odzywam się o tak późnej porze”.

„Nie ma sprawy – taka branża. Ale bardzo się cieszę, że nie prosi Pani, abym zaczęła od razu kogoś śledzić ;)”.

„Cha, cha! Prawda. Jutro prześlę wszystkie informacje na adres ze strony. Dziękuję”.

Cóż, sprawia miłe wrażenie. Czas kakao już minął i mogę kłaść się spać zadowolona, że czeka nas nowe zlecenie.

Jest rano, godzina dziesiąta, co dla mieszkańców Wielkiej Poczekalni Boga oznacza mniej więcej porę lunchu. W sąsiedztwie toczy się dramat, i to poważny. Wyglądam przez okno głównej sypialni, żeby ocenić sytuację. Czworo mieszkańców stoi już na ulicy od frontu i prowadzi własne dochodzenie. Jest i policyjny radiowóz! Nie żartuję, policyjny radiowóz w Wielkiej Poczekalni Boga! Może chodzi o morderstwo albo coś równie poważnego. Niech no tylko pastor się o wszystkim dowie! Zjawia się w mgnieniu oka. Rozważam właśnie, czy nie wyjść na zewnątrz, kiedy słyszę, jak komputer wydaje nieprzyzwoite odgłosy. Przychodzą maile. Zastanawiam się, czy powinnam zająć się nimi, czy wydarzeniami na ulicy. Wybieram ulicę.

W puchatych kaptciach wychodzę na podwórko i widzę sąsiada z domu obok.

– Arthurze, co się stało? – pytam.

– Cóż, Rebecca, w zasadzie nie mamy pojęcia. Czekamy, żeby się czegoś dowiedzieć. Może policja zechciałaby skorzystać z twoich usług?

– Wątpię, żeby docenili mój wkład, Arthurze!

– Panna Timberly podeszła do nich i zapytała, czy mogłaby w czymś pomóc, ale tego

chyba również nie docenili!

– Daj mi znać, jeśli coś się zmieni. Muszę wracać do pracy.

– Jasna sprawa, panno Rebecca.

Uwielbiam Arthura. To wyluzowany, trochę staroświecki facet, który wszystkich traktuje z szacunkiem. Gdyby przywdział czerwony kubraczek, bez trudu mógłby uchodzić za Świętego Mikołaja.

Policjanci wsiadają do radiowozu i rozchodzi się wieść, że ktoś został omyłkowo wzięty za kogoś innego. Typowe! Jak już wspominałam, w tych stronach nic się nigdy nie dzieje. Wracam do domu. Komputer w końcu umilknął, a mail od nocnej klientki faktycznie czeka.

„Cześć,

jestem pewna, że mój narzeczony mnie zdradza. Flirtuje z każdą kobietą, z którą rozmawia. Zwyczajnie mam już tego po dziurki w nosie. Nie mogę już z nim dłużej być i chcę wykorzystać zdradę jako wymówkę, żeby się od niego uwolnić. To pewnie brzmi naprawdę niedorzecznie i wyrachowanie, ale tak chyba będzie najlepiej. Zrozumiem, jeśli nie weźmiecie mojej sprawy, bo pewnie wydaje się trochę głupia, ale nie daje mi to spokoju. Muszę spróbować.

Dzięki

Jenny”.

Cóż, to z pewnością inna bajka. Czy mnie to rusza? Nie. Skoro Jenny myśli, że to jej pomoże, to kim jestem, żeby ją oceniać? Gdybym zarzuciła przynętę na Jamesa jeszcze przed naszym ślubem, być może nie musiałabym przez to wszystko przechodzić i oszczędziłabym sobie bólu złamanego serca. Zadaniem Damskiej Agencji Detektywistycznej nie jest wydawanie sądów o ludziach, tylko świadczenie usług. Bierzmy się zatem do roboty i zobaczmy, co możemy zrobić dla Jenny.

„Cześć,

oczywiście, że weźmiemy tę sprawę. Ocenianie Pani nie leży w naszych kompetencjach, a poza tym słyszałyśmy już dziwniejsze historie. Możemy natychmiast zastawić sidła na Pani narzeczonego. Musi Pani jedynie przesłać mi szczegółowe informacje na jego temat oraz link do profilu na Facebooku, abyśmy mogły wziąć się do pracy. Koszt takiej usługi jest jednorazowy, cennik znajdzie Pani na naszej stronie internetowej. W gruncie rzeczy będziemy utrzymywać sidła i składać raporty, dopóki nie postanowi Pani tego zakończyć. W razie gdyby miała Pani jeszcze jakieś pytania, proszę do mnie pisać.

Pozdrawiam

Rebecca”.

Wymieniłyśmy kilka maili; ostatecznie Jenny postanawia jednak spróbować i przesyła nam link do profilu swojego narzeczonego. Sprawdzam go... No, widywałam gorszych! Co za ulga. Jest mocno zbudowany, wysoki i ciemnowłosy. Ma dziwne usta, a kiedy się uśmiecha, jego twarz wydaje się sroga. Przez kilka dni na chybił trafił dodajemy niektórych spośród jego znajomych do naszych fałszywych profili, aż w końcu on sam również przyjmuje zaproszenie.

Siedzę w biurze i biorę tego faceta pod lupę. Cofam się aż do 2007 roku, kiedy dołączył do Facebooka, a potem czytam dosłownie wszystko. Łącznie poświęcam na to trzy godziny i cztery kawy. Nie ma tam absolutnie nic ciekawego – cóż, odrobinę mijam się z prawdą. Znalazłam coś, co mnie zainteresowało i wzbudziło pewne podejrzenia. Żadna kobieta nie zamieściła nic na jego osi czasu. Sami mężczyźni. Ludzie często stają na głowie, kiedy chcą coś ukryć. Facet ma ponad trzystu znajomych w serwisie społecznościowym, a mimo to przez cztery lata ani jedna kobieta nie wrzuciła nic na jego profil? Nie sprawia wrażenia bardzo nieśmiałego. W stosunku do innych mężczyzn reaguje żywo, jest gadatliwy, czasem nawet zabawny. Nie da sobie w kaszę dmuchać. Gdyby był choć trochę bardziej bez skazy, z dwustu kilometrów

wyczułabym smród wybielacza. To mnie zastanawia i zaczynam podejrzewać, że facet coś ukrywa.

Przeglądałam wszystkie jego zdjęcia i albumy. Mija kolejna godzina przy kolejnej kawie. Zazwyczaj nie jestem aż tak drobiazgową. Potrafię ocenić człowieka stosunkowo szybko, tym razem jednak to czysta ciekawość sprawia, że przetrząsam setki zdjęć i wpisów. Czuję nawet lekki niepokój, bo Jenny i jej narzeczony mają córkę, która wygląda zupełnie jak Paris! Dla świata zewnętrznego są normalną, sympatyczną rodziną, podczas gdy w rzeczywistości zmagają się z poważnymi problemami.

Zdumiewające. Człowiek patrzy na obcych ludzi na ulicy, albo nawet na tych, których dobrze zna, i naraz uświadamia sobie, że nie ma bladego pojęcia, co tak naprawdę dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Dlatego podaję w wątpliwość naszą naturę i czyny. Klientka zapewne sądzi, że to jej wyjdzie na dobre, możemy jednak zniszczyć związek, w którym jest dziecko. Ale nigdy by się do nas nie zgłosiła, gdyby nie miała już poważnych kłopotów, prawda? Nie prosiłaby o pomoc, gdyby ich życie było szczęśliwe i normalne. Podobieństwo ich córki do mojej sprawia, że odbieram tę sprawę bardzo osobiście, co nie do końca mi odpowiada. Zapewniłam klientkę, że jej nie oceniam, ale gdzieś w głębi serca chyba to jednak robię. Nienawidzę siebie za to. Klikam „Wiadomość” na jego profilu i wpisuję:

„Hej, ciekawe, czy mnie rozpoznasz???”.

A potem ze łzami w oczach rozsiadam się na krześle. Co ja wyprawiam? Czy dobrze robię, bawiąc się w prowokację i ryzykując, że mała dziewczynka straci ojca?

Schodzę na dół i zatrzymuję się w korytarzu. Słońce wpada do środka przez oszklone drzwi, a ja tylko stoję i wsłuchuję się w ciszę. Spoglądam na stolik, po czym wyciągam z szuflady kluczyki samochodowe, wychodzę i jadę odebrać Paris z przedszkola. Nic mnie nie obchodzi, że jest za wcześnie. Chcę spędzić trochę czasu z moim aniołkiem. Za bardzo poświęcam się pracy. Dotąd odsuwałam od siebie tę myśl, ale Paris spędzała z moimi rodzicami zdecydowanie zbyt wiele czasu, kiedy ja rozkręcałam działalność. Nie mogę uwierzyć, że jedno zlecenie – i to nawet nieszczególnie istotne – przyprawiło mnie o takie emocje. Zaczynam się zastanawiać nad tym, co przeżywa Paris, nad całym tym smutkiem i dramatem. Zazwyczaj jest wesółą i uśmiecha się do mnie, zdarza się jednak, że górę biorą prawdziwe uczucia. Wciąż nie przedstawiłam jej Bena. Najpierw muszę sprawdzić, jak się potoczą sprawy. Paris nie potrzebuje kolejnych życiowych rewolucji.

Damska Agencja Detektywistyczna od samego początku przypomina kolejkę górską. Paris bez wątpienia załapała się na darmową przejażdżkę, lecz ja nie poświęcałam jej zbyt wiele uwagi. No więc teraz właśnie to robię. Spędzimy razem czas, moja córeczka i ja.

Wchodzę na salę. Paris siedzi po turecku na dywanie razem z pozostałymi dziećmi. Cała dwudziestka słucha uważnie historii, którą opowiada im opiekunka. Paris odwraca głowę i widzi mnie stojącą w drzwiach.

– Mamusia! – Uśmiecha się promiennie, po czym zerka na przedszkolankę w oczekiwaniu na pozwolenie. Kobieta kiwa głową, a Paris podrywa się, po czym dopada do mnie i się przytula.

– Przepraszam. Zapomniałam, że ma umówioną wizytę u dentysty – wyjaśniam. Kłamstwo. Ciekawe, ile rzekomych wizyt u dentysty jest prawdziwych. To chyba najstarsza wymówka, kiedy człowiek chce zabrać dziecko z przedszkola czy ze szkoły. Odebrałam Paris zaledwie godzinę przed czasem, dlatego nie czuję wyrzutów sumienia. Poza tym to tylko przedszkole. Opiekunka uśmiecha się i mówi Paris, że zobaczą się jutro. Aniołek idzie do swojej półeczki i zabiera płaszczyk z wieszaka. Patrzenie, jak wykonuje normalne codzienne czynności, napełnia mnie miłością i szczęściem.

Spacer po parku i zabawa z Paris na huśtawkach i zjeżdżalniach sprawiają, że smutek pomału przemija. Nie jestem pewna, czy to praca nie daje mi spokoju, czy też cała branża. Przekraczamy wiele moralnych barier. W odpowiedzi na głosy krytyki – nie jesteśmy po to, żeby oceniać innych. My naprawdę niesiemy ludziom pomoc, choć w bardzo niecodzienny sposób. Ale chyba nie byłabym człowiekiem, gdybym od czasu do czasu nie zwątpiła w siebie i w to, co robię. Nigdy nie zapominam, że chociaż na pozór sprawiam wrażenie twardej, czasem wyrachowanej, pod względem emocjonalnym jestem słaba jak kocię.

Resztę dnia spędzamy w domu, opatulone w koce na kanapie, z mnóstwem śmieciowego zarcia i filmami Disneya. Paris jest zachwycona. Tylko o tym marzy – żeby poświęcać jej uwagę i czas. Podzielam ten zachwyt, muszę jednak wracać do pracy. Demony usnęły, siadam więc z powrotem do komputera i loguję się, żeby sprawdzić, czy narzeczony Jenny odpisał.

Owszem.

„Będę naprawdę niegrzeczny, ale nie wydaje mi się. Odświeżysz mi pamięć? :-\*”

Całus. Cóż, gdyby Ben albo jakikolwiek inny facet, z którym się spotykam, kończył w ten sposób wiadomości do przypadkowych kobiet, z pewnością nie byłabym z tego powodu zadowolona!

„No i zrobiło mi się przykro... :( Parę tygodni temu pracowałam tymczasowo w Twoim *call center*. W dziale administracyjnym. Zawaliłeś mnie papierami!”

Jenny wspominała, że facet pracuje w *call center*, potwierdziła również, że zatrudniają tam pracowników tymczasowych. Historyjka brzmi przekonująco. Kiedy człowiek pracuje z dwustoma osobami w jednym centrum obsługi telefonicznej, przez które codziennie przewijają się pracownicy tymczasowi, raczej wszystkich nie pamięta. Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedź przychodzi bardzo szybko.

„Ach, tak mi się zdawało, że znam tę twarz. Pewnie stąd! W pracy nosiłaś okulary, prawda? Co słyhać? Przepraszam za te papiery. :-\* :-\*”

DWA całusy. Psiakość! Zaczyna szaleć. Koleżanka oświeciła mnie kiedyś, gdzie leży granica, jeśli chodzi o całusy. Zawsze wstawiałam w swoich wiadomościach po jednym, a ona mocno się temu zdziwiła. Żalodne, bez dwóch zdań. Zgodnie z zasadą jeden całus jest dla przyjaciół i krewnych, a dwa dla chłopaka, za każdym razem. Żadnych wyjątków. Trzy były zarezerwowane na specjalne okazje, więcej oznaczało ochotę na seks. Zasięgnęłam języka u kilku dziewczyn, bo sądziłam, że koleżanka wciska mi jakieś brednie. Okazuje się, że inni ludzie też w to wierzą. A więc co to oznacza, kiedy ktoś całkowicie przypadkowy, ktoś, kogo nie znasz i kto z pewnością nie jest twoim chłopakiem, wstawia dwa całusy? Może powinnam wysłać koleżance wiadomość z tym pytaniem? Tyle że nie mam na to czasu...

„Wszystko super, dzięki. Cieszę się, że w końcu skojarzyłeś! Zrobiło mi się trochę przykro! Nie jestem pewna, czy uda mi się tam wrócić w najbliższym czasie :( :-\* :-\*”

Ja też wstawiam dwa całusy. Nigdy nie wiadomo, do czego mnie to doprowadzi.

„No to jest smutna wiadomość! A nie możesz wrócić, żeby tylko pomóc mi z papierami, i olać całą resztę? :-\* :-\* :-\*”

O mój Boże... trzy całusy! Facet ewidentnie siedzi teraz przy komputerze, dlatego w tej sytuacji zamierzam kuć żelazo, póki gorące. Przechodzę na czat. Zazwyczaj go wyłączam, bo inaczej zaczepiają nas przypadkowi ludzie, pytają, kim jesteśmy i skąd ich znamy. Najwyraźniej są zaintrygowani, bo przecież tak naprawdę nie znamy nikogo z nich! Tym razem mamy jednak do czynienia z sytuacją wyjątkową.

Odpowiadam:

„Hej tam! Pomyślałam, że zaoszczędzę na mailach ;-)”

Miałam rację, siedzi tam i na bieżąco odpisuje. Czuję podenerwowanie. Trochę to



dziwne – komunikuję się z kimś, kogo w ogóle nie znam, udając kogoś, kim nie jestem. W zasadzie nawet bardziej niż trochę. Dziwne jak wszyscy diabli.

„Hej!!!!!!! Zgadzasz się, tak jest o wiele prościej!”

Okej, nie widzę żadnego punktu zaczepienia. Hm...

„Opowiedz mi o sobie coś więcej! W realu jestem za bardzo nieśmiała, żeby zdobyć się na odwagę i zagaić słodziaka ;-)”

Odrobinę podkręcam klimat.

„Słodziaka, tak? To mi się podoba. Z Ciebie też całkiem niezła sztuka! Cóż, żaden ze mnie cud. Zwykły facet. KOCHAM motocykle, mam kompletnego fioła na ich punkcie. Nienawidzę roboty, jak wszyscy!!! A Ty? Nic o Tobie nie wiem! :-\* :-\* :-\*”

„A owszem, słodziak! ;-) Ja... Pół mojej rodziny rozbija się na motocyklach, ale ja się trochę boję. Robotę lubię, przynajmniej zazwyczaj. Zależy, gdzie wyląduję. Nienawidzę tkwić przez cały czas w jednym miejscu! Ale żałuję, że już nie pracuję u Ciebie. Było na czym oko zawiesić! :-\* :-\* :-\*”

„Ach tak. Nic nie mów. Spodobał Ci się Jason z księgowości?! Każdej się podoba. Osobiście nie trawię gościa, ale z jakiegoś powodu babeczki na niego lecą! A co do tych motocykli, to myślę, że po prostu nie trafiłaś na dobrego kierowcę ;-) :-\* :-\* :-\*”

„Cha, cha. Nie. Obawiam się, że nie Jason wpadł mi w oko. W zasadzie miałam na myśli Ciebie, no i jeszcze jednego faceta. Ale nie powiem Ci którego! Hm, Twoja opinia na temat kierowcy brzmi jak zaproszenie! Poznałam już paru, ale żaden nie zdołał mnie nawrócić na motory! :-\* :-\* :-\*”

„To było zaproszenie, jakbyś chciała kiedyś skorzystać. Ale osobiście uważam, że za duży z Ciebie cykor. Niespodzianka z tym Jasonem. Nigdy nie zrozumieć, co te babeczki w nim widzą! Na jakich motocyklach jeździłaś? :-\* :-\* :-\*”

O rany, pora na szybkie wyszukiwanie w Google: „fajne motocykle”. Wyskakuje jakiś zielony, który wygląda odłotowo – wybieram go.

„Mój brat miał kawasaggi czy jak to się nazywa. Był jasnozielony i bardzo szybki! Trochę się boję tego Twojego zaproszenia. Skąd mam wiedzieć, że jesteś dobrym kierowcą? :-\* :-\* :-\*”

„Panie ZAWSZE są ze mną bezpieczne! Chodzi Ci o kawasaki? Trochę pozerski. :-\* :-\* :-\*”

„Panie, tak? A ile pań woziliś swoim motorem!? :-\* :-\* :-\*”

„Och, no wiesz, jedną czy dwie! A niech mnie! Nie widzisz aureoli nad moją głową? :-\* :-\* :-\*”

„Zabawne, akurat tego nigdy u Ciebie nie widziałam, cha, cha. :-\* :-\* :-\*”

„Ciekawe. A co takiego widziałaś? Chyba nie przyglądałaś mi się zbyt uważnie. :-\* :-\* :-\*”

Cztery!? Nie, dla mnie to już przegięcie!

„A jak myślisz, na co mogłam patrzeć? LOL :-\* :-\* :-\*”

Z powrotem do trzech!

„Na mój wielki sprzęt?????? :-\* :-\* :-\*”

O MÓJ TY DOBRY BOŻE!

„LOL”

I naprawdę śmieję się głośno i szczerze! Głównie z zażenowania, chociaż siedzę tu sama. Rozglądam się dla pewności. Tak, wciąż sama. Na pewno jestem czerwona. Zastanawiam się, w którym momencie uznamy, że zlecenie zostało wykonane i gra dobiega końca? Muszę stworzyć sobie alter ego do takich zadań. Normalna Rebecca wyłączyłaby teraz komputer i przez

następne pół godziny umierała ze wstydu. Detektyw Rebecca musi wziąć się w garść i udzielić jakiejś zalotnej odpowiedzi, i to szybko!

„Cóż, na to akurat nie rzuciłam okiem, jako że jestem grzeczną dziewczynką i w ogóle. :-\* :-\* :-\*”

„Grzeczną dziewczynką!? Serio? Jesteś pewna? :-\* :-\* :-\*”

„Jasne, że jestem! Anioł wcielony! To kiedy będę się mogła pobawić Twoim motocyklem? :-\* :-\* :-\*”

„Kiedy tylko zechcesz, piękna! A gdzie dokładnie mieszkasz? :-\* :-\* :-\*”

„Niedaleko, chyba jakieś osiem kilometrów od Ciebie. :-\* :-\* :-\*”

Ups! Jenny mówiła mi, gdzie mieszkają. Myślałam, że wzbudzę tą wiedzą jego podejrzenia, ale chyba uznał, że dowiedziałam się od kogoś z *call center*. Pewnie sądzi, że o niego wypytywałam!

„Och, serio? Nienawidzę tej okolicy! Koszmarna. :-\* :-\* :-\*”

„Dlaczego tak mówisz? :-\* :-\* :-\*”

„Szwenda się tu zbyt wielu żalonych gówniarzy, którym się wydaje, że są twardzi i chcą się ze mną bić! :-\* :-\* :-\*”

„Serio!? A nie wyglądasz na podobnego typu. :-\* :-\* :-\*”

„No bo taki nie jestem, w tym cały problem. Kiedyś lubiłem się bić, ale teraz jestem wyluzowanym, zrelaksowanym gościem, który chce spokojnie żyć. Zdecydowanie zbyt wiele osób stąd mi w tym przeszkadza. Stresuje mnie. Chcę się po prostu wyprowadzić i uciec od tego wszystkiego! :-\* :-\* :-\*”

Zaczyna się otwierać.

„Na moje oko dla Ciebie to dno. Skoro aż tak Ci źle, to czemu się nie przeprowadzisz? A ja KOCHAM niegrzecznych chłopców. Nie umiem im się oprzeć, chociaż wiem, że powinnam! :-\* :-\* :-\*”

„W końcu to zrobię, na razie byłoby z tym ciężko. A dla Ciebie na bank podpadam pod kategorię niegrzecznych chłopców! Jesteś teraz w jakimś związku czy coś? :-\* :-\* :-\*”

„Miałam narzeczonego, ale rozstaliśmy się przed miesiącem czy jakoś tak. Był naprawdę niegrzecznym chłopcem, w każdym tego słowa znaczeniu. Mamy razem córeczkę. Jest dla niej dobry, zabiera ją co weekend. Szczerze mówiąc, na razie podoba mi się ta samotność, znacznie mniej zachodu. Chociaż ma też swoje wady. :-\* :-\* :-\*”

„Doskonale Cię rozumiem. Dlaczego się rozstaliście? :-\* :-\* :-\*”

„Zdradził mnie. A jak to wygląda u Ciebie? :-\* :-\* :-\*”

Docieramy do punktu krytycznego.

„Zalewasz!!!!!! Taka ostra laska, a on Ciebie zdradził? Chyba oszalał! U mnie w porządku. Nic szczególnego. Bez fajerwerków czy trzęsień ziemi, jeśli wiesz, o czym mówię? :-\* :-\* :-\*”

Zaczynam czuć się odrobinę nieswojo. Ten facet mnie w ogóle nie zna. Moje zdjęcia są fałszywe, mój profil jest fałszywy, wszystko, co mówię, również jest fałszywe – a mimo to w ciągu jednego wieczoru on zwierza mi się ze swojego życia. Prerażające, naprawdę prerażające! No cóż, będę to ciągnąć. Właśnie takich rzeczy mamy się dowiadywać.

„Chyba wiem, ale nie krępuj się. Tak, zdradził... i to nieraz. Jeśli o mnie chodzi, na swój sposób wyświadczył mi tylko przysługę. :-\* :-\* :-\*”

Wraca do tematu swojej dziewczyny.

„Po prostu nuda. W zasadzie to się ze sobą bardziej przyjaźnimy niż cokolwiek innego. To raczej nie jest związek na długo i szczęśliwie, jeśli mam być szczery. Ciągłe rozglądam się za kimś, kto doda mojemu życiu trochę pieprzu ;) :-\* :-\* :-\*”

Och, jak ja współczuję biednej Jenny.

„A jaki pieprz dokładnie masz na myśli? ;-) :-\* :-\* :-\*”.

Facet nie owija w bawełnę!

„No wiesz, trochę zabawy, emocji. Seksowne laseczki, takie jak Ty! :-\* :-\* :-\*”.

Czy to już to? Mogę zakończyć sprawę? Nie, chyba lepiej będzie, jeśli wybadam, czy posunie się dalej.

„A co z tymi laseczkami? No dalej, wykrztuś to!!! :-\* :-\* :-\*”.

Przychodzi odpowiedź.

„Okej. Wykrztuszę. Mam ochotę Cię zerznąć. :-\* :-\* :-\*”.

Prawie spadłam z krzesła! Zasłaniam dłonią rozdziawione usta. Jeśli wcześniej byłam zażenowana, to co dopiero teraz! No dalej, Rebecca, odpisz!

„Dobrze wiedzieć! W takim razie kiedy??? :-\* :-\* :-\*”.

Dobrze wiedzieć? D o b r z e w i e d z i e ć! Brzmię jak kompletna cnotka! Dobrze... dobrze... Przez dziesięć minut psioczę na samą siebie. Kręcę się na krześle i wtedy to do mnie dociera. O Boże, przecież on nie odpisuje! Pomału w moim żołądku zaczyna kielkować panika. Schrzałam sprawę? A jeśli schrzałam? Och, na litość boską.

Mija trzydzieści minut. Cisza. Idę na dół zrobić sobie kawę. Z powrotem do komputera – nic. Odpisuję na maile, rozmawiam z matką, robię zakupy w sklepie internetowym. Wracam do Facebooka – bez zmian. Może po prostu jest zajęty. Idę położyć Paris. Czytam jej bajkę, nie mam pojęcia o czym. Słowa wydobywają się z moich ust, ale żadne z nich nie dociera do mózgu. Całujemy się na dobranoc, a potem wracam do biura i zerkam do komputera, jakby przedłużając suspens. Nic. Zatrzaszukuję laptopa! Przez następne pół godziny dyskutuję sama z sobą, czy powinnam już opowiedzieć wszystko Jenny, i dochodzę do wniosku, że jeszcze nie. Zostawię to do rana. Jeśli jej narzeczony do tego czasu nie odpisze, wtedy się z nią skontaktuję. Nigdy nie przesyłam klientom sprawozdań późnym wieczorem, bo jeśli odbiorą maila, mogą potem nie zasnąć. Rano lepiej to znoszą.

Pozostała część wieczoru upływa strasznie wolno. Próbuję zjeść kolację, ale po tym, co zrobiłam, trochę mnie mdli. Czy ten facet wdałby się we flirt, gdybym sama nie zaczęła? Jestem pewna, że tak. Bez żadnych wątpliwości. Ale czy to znaczy, że naprawdę by zdradził? Czy to wystarczy, żeby zakończyć związek? Próbuję oglądać seriale, lecz uświadamiam sobie, że nic do mnie nie dociera. Co się ze mną dzieje? Taki suspens jest jeszcze bardziej stresujący niż obserwacja. Zastanawiam się, czy to dlatego, że już prawie dopięłam celu, kiedy w ostatniej chwili zwycięstwo przeszło mi koło nosa. Dręczące mnie na początku emocjonalne poruszenie i poczucie winy stopniowo ucichły i raz jeszcze zwyciężył profesjonalizm. Naprawdę chcę wykonać to zlecenie. To, co napisał narzeczony Jenny, mocno go obciąża. Gdyby Ben zachował się podobnie, nie zniosłabym tego. Myślam wracam do Jenny i jej córki, która tak bardzo przypomina Paris. Tak, pora znowu wziąć się w garść!

Idę do łóżka. O drugiej czternaście nad ranem po raz ostatni sprawdzam komputer – nic.

Rano moja matka odprowadza Paris do przedszkola, żebym mogła się wyspać.

Najwyraźniej jej zdaniem wyglądam kiepsko. Wspaniale. W moim śnie, który powraca, kiedy żyję w napięciu, kłębią się pająki i węże. Czasami, gdy jestem wyjątkowo zestresowana, widzę je wyraźnie i z wrzaskiem wyskakuję z łóżka. Na szczęście do tego stanu jeszcze mi daleko.

Pierwsze, co robię po przebudzeniu, to w koszuli nocnej idę do biura i uruchamiam komputer. Siedzę wpatrzona w ekran, po czym loguję się na Facebooka. Nawet nie czekam, aż umilkną odgłosy nadchodzących maili, przez co komputer się obraża i działa jeszcze wolniej. Nigdy nie nauczę się cierpliwości.

Facebook uruchomiony – nic. Podnoszę się z krzesła i tupię nogą ze złości. Zadzwońię do

klientki i przekażę, co wczoraj napisał jej narzeczony, ale najpierw robię sobie kawę. Po chwili wracam na piętro, biorę telefon i wybieram numer Jenny.

– Cóż, nie dysponuję bezsprzecznymi dowodami, mam za to pewną niepokojącą korespondencję – mówię, ze wszystkich sił próbując zamaskować podenerwowanie.

– Serio? – pyta Jenny. W jej głosie nie słyszę ani smutku, ani radości, ani ulgi. Dziwne.

– Serio. Nie wygląda to dobrze i na pani miejscu nie byłabym zadowolona. Powiedział, że chciałby się ze mną przespać, choć ujął to bardziej dosadnie.

– Och, doprawdy! – Teraz sprawia wrażenie urażonej.

– Niestety. W tej chwili przesyłam pani zapis rozmowy.

– Dzięki. Na czym skończyliście? – Właśnie tego pytania nie chciałam usłyszeć.

– Szczerze mówiąc, oznajmił, co chciałby ze mną zrobić, a ja zapytałam kiedy. Od tamtej pory milczy.

– Ciekawe. O której to było?

Wciąż jest bardzo opanowana i kiedy podaję godzinę, mówi:

– O tej porze powinien być w pracy! Dziwne. Powiedział coś jeszcze?

– Niezbyt wiele, ale wspomniał, że obecnie jesteście dla siebie przyjaciółmi.

– No proszę!

– Muszę przyznać, że jest pani niesamowicie spokojna.

– Wie pani co? Nie obchodzi mnie, co on ma do powiedzenia. Po prostu chcę się uwolnić. Nie jestem zaskoczona, ale też nie czuję gniewu, smutku ani nic. Czy to dziwne?

Och, Jenny jest cudowna. Myśli trzeźwo, za co ją uwielbiam! Bardzo mi tym ułatwia życie.

– Nie ma w tym nic dziwnego. To normalne, jeśli jest pani zła. To normalne, jeśli jest pani smutna. A jeśli ma to pani gdzieś... cóż, to również jest normalne!

Mówiłam z własnego doświadczenia, bo czułam to samo, kiedy James mnie zdradził – to i jeszcze więcej.

Jenny się śmieje.

– Chyba ma pani rację.

– Za parę dni może się pani poczuć zupełnie inaczej, na razie wolno pani wszystko. – Próbuję podnieść ją na duchu, poza tym to prawda. Kiedy w grę wchodzi ludzka reakcja na niepowodzenia natury emocjonalnej, kategoria „normalności” nie istnieje.

– Wielkie dzięki. Rozmowa z panią naprawdę mi pomogła. Przeczytałem, co pani napisał, a potem się odezwę. Co się teraz stanie?

– Zaczekam, aż odpowie. Może tego nie zrobić przez następnych kilka dni... Wówczas wyślę mu kolejną wiadomość, jeśli po lekturze jego wynurzeń nie uzna pani, że ma już dość.

Żegnam się i rozłączam.

Mija parę godzin. Sprawdzalam Facebooka co trzydzieści sekund, a teraz już co trzydzieści minut. W końcu, o dwudziestej, facet odpowiada na moje pytanie, kiedy chciałby się spotkać.

„Wszystko w swoim czasie, skarbie, wszystko w swoim czasie! :-\* :-\* :-\*”.

Jeszcze czego! Tak długo trzymał mnie w niepewności, gotową zakończyć tę zabawę, a teraz jedyne, co ma mi do powiedzenia, to „wszystko w swoim czasie”. Co za palant!

„O nie, zapomnij. Nie możesz mówić czegoś takiego, a potem próbować mnie spławić. «Wszystko w swoim czasie» mnie nie zadowala. :-\* :-\* :-\*”.

Prawdopodobnie po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła się ta konwersacja, napisałam coś szczerze.

„LOL. Podobno na tych, którzy są cierpliwi, czeka najlepsza nagroda? :-\* :-\* :-\*”.

Jest przy komputerze. Świetnie! Pograżmy go w takim razie i zakończmy ten cyrk raz na zawsze.

„Może i tak. Z drugiej strony ja nie mam za grosz cierpliwości i chcę swoją nagrodę, od razu! :-\* :-\* :-\*”

„Och, panna apodyktyczna, tak? W łóżku też taka jesteś? :-\* :-\* :-\*”

„Lubię tak o sobie myśleć. Zręcznie unikasz odpowiedzi!!! :-( :-\* :-\* :-\*”

„Wcale nie unikam. Dobrze wiem, co będzie. Po prostu chciałbym się z Tobą jeszcze trochę podroczyć. Podnieca Cię to? :-\* :-\* :-\*”

O rany, ten znowu swoje. Właśnie w takich momentach zapominam języka w gębie! Moje alter ego musi natychmiast wkroczyć do akcji. Na szczęście zjawia się w samą porę.

„No pewnie. Ale kiepsko sobie radzę z ludźmi, którzy mieli ozorem, zamiast zabrać się do roboty! :-\* :-\* :-\*”

„A jaką robotę miałabyś dla mojego ozora? :-\* :-\* :-\*”

Szlag!!!... I co ja mam mu teraz odpisać? Już całkiem straciłam głowę, to dla mnie zbyt odrażające. Krzywię się, wachluję twarz dłońmi, żeby ochłonać. Staram się przy tym nie dotykać klawiatury, bo jeszcze mnie oparzy.

„Zależy, co chciałbyś z nim zrobić. :-\* :-\* :-\*”

Unik! Ulga. Teraz w napięciu czekam na jego odpowiedź.

„Wszystko, czego nie powinienem! :-\* :-\* :-\*”

„Dlaczego nie powinieneś? :-\* :-\* :-\*”

„Bo moja druga połówka nie byłaby ze mnie zadowolona, ale nic na to nie poradzę. Cholernie Cię pragnę! :-\* :-\* :-\*”

Muszę sprawić, żeby umówił się ze mną na randkę, i wreszcie to zakończyć.

„Serio? Cóż, nie, pewnie nie byłaby zadowolona, że chcesz wskoczyć do łóżka innej kobiecie. Robiłeś to już wcześniej? :-\* :-\* :-\*”

To się nazywa przejście do sedna.

„Tylko parę razy, głównie jednorazowe numerki na nocnych imprezach. Ale z Tobą chciałbym się zabawić dłużej. :-\* :-\* :-\*”

Bingo! Jedną sprawę mogę odfajkować – facet przyznał się do zdrady. Pięknie dziękuję!

„Och, serio? A jak mam to rozumieć? Chcesz powiedzieć, że będziesz się ze mną jeszcze drażnił? :-\* :-\* :-\*”

„Mówiłaś, że lubisz niegrzecznych chłopców. Będę niegrzeczny w każdy możliwy sposób! I nie, nie będę się z Tobą dłużej drażnił. Chodziło mi o to, że będę Cię długo obracał. Pasuje? :-\* :-\* :-\*”

A niech mnie. Nie mogę się doczekać. Ale muszę wiedzieć, kiedy i gdzie to zrobimy. Za bardzo się podnieciłam, żeby dłużej czekać.

No dalej! Podaj jakiś dzień i miejsce! Dosłownie podskakuję na krześle, klaszcząc przy tym, gotowa zamknąć sprawę.

„Chcesz powiedzieć, że naprawdę oddasz mi swoją *punani*? :-\* :-\* :-\*”

Zmieszana gapię się na ekran. *Punani*? A to co za czort? Jestem zbyt zdezorientowana, żeby się wściekać za ten kolejny unik. Cholerny komediant, czy on nie rozumie, że miesza mi w głowie? Palant. Po kilku sekundach mgła znika i doznaję olśnienia. *Punani* to inaczej wagina! Wybucham śmiechem. Kompletny bałwan! Kto, do diabła, używa takiego określenia?

„No pewnie. Tak mnie nakręciłeś, że nie mogę dłużej czekać. Doprowadzasz mnie do szału tym ciągłym unikaniem odpowiedzi. Powiedz kiedy! :-\* :-\* :-\*”

Siedzę i w milczeniu kręcę głową. Kretyn.

„Jutro?”

Więcej mi nie potrzeba. Podrywam się i wykonuję wymyślny taniec – połączenie powłóczenia nogami z ruchami MC Hammera. Zawsze to robię, kiedy osiągnę sukces.

„Idę na to! Kiedy i gdzie? :-\* :-\* :-\*”.

„Powiedzmy: o trzeciej trzydzieści w Levens Hotel, na mieście? :-\* :-\* :-\*”.

To się nazywa konkret!

„Pewnie, już się nie mogę doczekać. :-\* :-\* :-\*”.

„Ja też! Przynieść jakieś zabawki? :-\* :-\* :-\*”.

Cccooo? Facetowi chyba odbiło. Co za pytanie!

„Przyniosę swoje ;-) :-\* :-\* :-\*. Muszę już lecieć, praca czeka. Mam dostęp do Facebooka w telefonie, więc w razie czego pisz. Nie chcę brać Twojego numeru przez wzgląd na Twoją dziewczynę i tak dalej... :-\* :-\* :-\*”.

„Dobry pomysł. Ja też nie mogę się już doczekać. W takim razie do zobaczenia. :-\* :-\* :-\*”.

Natychmiast puszczam cały zapis rozmowy mailem do naszej klientki. Wysyłam jej SMS-a, że mamy konkret i jeśli chce się ze mną skontaktować, to proszę bardzo. Robi to godzinę później. Jej numer wyświetla mi się na telefonie. Odbieram, ale nie bardzo wiem, jak Jenny zachowa się tym razem.

– I co, miała pani ubaw?

A to ci niespodzianka!

– Chodzi pani o to jego *punani*? – Spodziewałam się krzyczącej albo szlochającej kobiety po drugiej stronie i nie do końca wiem, jak zareagować.

– No. Co za palant, co nie?

– Och tak. Pomyślałam dokładnie to samo!

Zastanawiam się, czy zgrywa dzielną, czy naprawdę się nie przejęła.

– Nie mam pojęcia, co mam zrobić. Trzy razy przeczytałam waszą rozmowę od deski do deski i w ogóle mnie to nie rusza. Po prostu chcę się od niego uwolnić.

Współczuję jej, że musiała się w tym celu uciekać do podobnych metod. Próbuję wymyślić, jak zareagować na kolejną niespodziankę z jej strony.

– Wiem, że to zabrzmi naprawdę dziwnie, ale czy może pani pociągnąć jeszcze tę korespondencję? – Urywa na chwilę, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. – Jest cały w skowronkach, odkąd pisze z panią na Facebooku. Stał się zupełnie innym człowiekiem. Zupełnie jakby podniosła go pani na duchu, odwraca pani jego uwagę.

Pomału zaczynam rozumieć.

– Czyli chce pani, abyśmy podtrzymały kontakt? – pytam bardzo ostrożnie, tak na wszelki wypadek, gdybym źle zinterpretowała jej słowa.

– Właśnie. Proszę odwrócić jego uwagę, dopóki się nie wyniosę. Rozmawiając z panią, będzie szczęśliwy i nie zauważy, do czego się przymierzam. Planuję wynająć dom razem z bliską mi osobą, ale potrzebujemy na to jakichś dwóch tygodni. Nie chcę jeszcze zrzucić tej bomby.

Bardzo dziwne. Ta sprawa zaczyna przypominać najbardziej osobliwe z naszych przypadków, ale na swój pokręcony sposób rozumiem Jenny. Wiem dokładnie, o czym mówi. Przez następne dwa tygodnie Steph, Jess, Helen i ja ciągniemy przedstawienie. Wymyślamy wymówki, dlaczego nie możemy się z nim spotkać, a on robi się coraz bardziej niecierpliwy i dosadny. Dobrze, że Jenny udaje się przeprowadzić w założonym terminie, bo nie wiem, jak długo mogłybyśmy ciągnąć tę farsę.

Na koniec Jenny konfrontuje się z narzeczonym, po czym odchodzi. On najwyraźniej płacze całymi tygodniami, podczas gdy ona mieszka przeszczęśliwa razem z córeczką. Potem sprawy ponownie stają na głowie.

Półtora roku później znów rozmawiam z Jenny. Mówi mi, że rozstali się na kilka miesięcy, a potem znowu zesłi. Teraz ich związek jest lepszy niż kiedykolwiek i chcą się pobrać. Jenny wciąż uważa, że wtedy musiała nas zatrudnić i zastawić sidła. Wychodzi na to, że dzięki temu wreszcie przejrzał na oczy. I już nigdy nie spróbuje flirtu przez sieć.

Naprawdę lubię Jenny, jest urocza. Nie wiem, czy to przez podobieństwo naszych córek, czy może dlatego, że jesteśmy niemal rówieśniczkami, ale jej przypadek bardzo mnie poruszył. Naprawdę czuję, że łączy nas jakaś więź. Ta sprawa pozbawiła mnie zahamowań, zasad moralnych, wstrząsnęła mną i na koniec sprawiła, że wreszcie zrozumiałam. Naprawdę rozumiem Jenny! Raczej nie poleciłabym tej strategii innym klientom, chyba że dokładnie przemyśleli wszystkie konsekwencje i rozważyli, ile mają do stracenia. Ale w przypadku Jenny koniec końców sprawdziła się doskonale.

## Sidla, sidła

Mam kryzys! I nie mówię o kryzysie wieku średniego ani o załamaniu psychicznym. W zasadzie nie wiem, jaki dokładnie to kryzys, ale czuję, że go mam. Raczej Kocham swoją pracę, dręczą mnie jednak wątpliwości. Czy postępuję właściwie? Czy powinniśmy wtrącać się w cudze związki, tak jak to robimy? Czy nie wyrządzamy czasem więcej szkody niż pożytku? Jeśli między mną a Benem wypali, pewnie przyjdzie taki moment, kiedy on zacznie się uskarżać na moje godziny pracy i to, że nigdy nie mogę niczego z góry zaplanować. Przecież w każdej chwili może się zdarzyć, że będę musiała rzucić wszystko i śledzić kogoś na drugim końcu kraju.

Czy narzekałby, gdyby wiedział, jak flirtowałam na Facebooku z narzeczonym Jenny? A może zrozumiałby, że to część mojego zawodu? W ogóle nie rozmawiamy o pracy, ale nie mieści mi się w głowie, że mógłby podejść do tego nierozsądnie.

Dzisiaj jestem na całkowitym wygwizdowie. Nie potrafiłabym nawet opisać dokładnie punktu geograficznego, w którym się znajduję. Gdzieś w Krainie Jezior. Wczoraj doszłam do wniosku, że mam już tego wszystkiego dość. Ben i ja musimy spędzić trochę czasu tylko we dwoje, a ja potrzebuję przestrzeni, żeby przemyśleć swoje życie. Wskoczyłam więc do sieci. Oglądałam miejsca, które nie są ani za daleko, ani za blisko, i tym sposobem znaleźliśmy się w Krainie Jezior. Ben właśnie gra sam z sobą w pula. Cudownie.

Zatrzymaliśmy się w przepięknej georgiańskiej rezydencji, w której wydzielono kilka apartamentów. Nie widzimy jednak innych gości, dlatego czuję się jak pani na włościach. Nasz apartament zapiera dech w piersi: wszędzie dębowa boazeria, a do tego klimat rodem z powieści kryminalnej. Ironia losu. Tego akurat nie brałam pod uwagę, układając plan ucieczki przed pracą. Jedna dębowa ściana otwiera się i prowadzi do sypialni, a druga do kuchni. Przez ostatnią dobę nie robiliśmy zbyt wiele. Graliśmy w scrabble niezliczoną ilość razy. Nie mówcie nic Benowi, ale oszukiwałam w każdej rozgrywce. Podmieniałam płytki, kiedy nie patrzył. Skorzystałabym z internetowej aplikacji, która układa słowa z podanych liter, ale w georgiańskiej rezydencji na końcu świata nie mam połączenia z siecią. A niech to. Mimo wszystko wygrałam dziewięć rozgrywek, Ben zaś dwie i wciąż się zastanawia, skąd u mnie ten nagły atak błyskotliwości. Osobiście uważam, że sam jest sobie winien. Mógł przecież uważać.

Dwukrotnie odwiedziliśmy wioskę, w której znajdują się jedynie sklepik ogólnospożywczy i fabryka czekolady. Raz poszliśmy więc po bekon na śniadanie i raz na gorącą czekoladę.

Podczas gdy Ben gra w środku w pula, ja siedzę na schodach frontowych. Chociaż są nieco zbyt wielkie, żeby je tak nazywać – to raczej „ekstrawaganckie wejście wieńczące żwirowy podjazd”. Jest piękny dzień, słoneczny i ciepły. Po trawniku kicają zające, a ja zaczynam rozmyślać.

Nie potrafię sprecyzować, gdzie leży problem. Czy praca całkowicie wypaczyła moje poglądy na życie? Czy w końcu nie wytrzymałam i załamałam się pod ciężarem koszmarnych historii? Bardzo możliwe. Rozpocząłyśmy działalność, mając jasno określoną misję. Chciałam oferować nasze usługi za przystępną cenę ludziom, którzy nie mają do kogo się zwrócić o pomoc. Szczerze wierzyłam, że jest na to zapotrzebowanie. Głoszę te swoje poglądy na lewo i prawo, ale sama już nie wiem, czy nadal w nie wierzę. Być może powtarzam to, bo jestem osobą z natury nastawioną na defensywę. Potrafię do bladego świtu dyskutować z każdym o wszystkim. Kiedy ktoś pyta, czy mam swoje zdanie na jakiś temat, zawsze odpowiadam twierdząco. W oparach



poglądów na niezliczone tematy mój mózg dosłownie zmienia się w papkę. Prawdę mówiąc, nie potrafię już ocenić, który z tych poglądów jest prawdziwy, a który już nie.

A jeśli krytycy mają rację? Niektórzy twierdzą, że w tej branży chodzi o zarabianie na złamanym sercach i żerowanie na cudzej słabości. A jeśli to prawda? Skąd mam to wiedzieć? Może przez cały czas karmiłam się złudzeniami? Prawdopodobnie właśnie dlatego czuję potrzebę ucieczki przed światem i ukrycia się na tym wygwizdowie. Muszę sprawdzić, czy nie mam złudzeń.

Z kolei Benowi wszystko najwyraźniej pasuje. Tak naprawdę nie wypowiada się o mojej pracy. Nigdy nie docieka, nie zadaje żadnych pytań. Może martwi się, że jako policjant popadłby w konflikt interesów, gdybym zdradziła mu zbyt wiele na temat swoich wyczynów. Kiedy mówię, że pracuję, odpowiada po prostu: „Okej”. Tyle. I wcale nie dlatego, że moja praca go nie obchodzi, wiem o tym. Problem z nią zwykle mają tylko ludzie, którzy sami coś ukrywają. Ben nie ma, a dla mnie to dobry znak.

Klienci dzwonią i proszą o pomoc. Mówimy im, co możemy zrobić, i staramy się podsunąć jakąś radę. Zawsze stawiam sprawę jasno, nie mam co do tego wątpliwości. Nie jestem psychologiem, ale odwołuję się do własnego doświadczenia. A jeśli to błąd? Jeśli rację mają inni detektywi, niewzruszeni i chłodni? Może włączam tym ludziom do głów własne słowa i myśli? O mój Boże.

Zaczynam przypominać sobie ludzi, którym pomogłyśmy. Twierdzą, że dzięki nam mieli się do kogo zwrócić, kiedy nie został im już nikt inny. Sama miałam do czynienia z niewiernym partnerem i z pewnością byłabym wtedy wdzięczna za kogoś po drugiej stronie słuchawki, kogo obchodziłoby to, co mówię. Dlatego naprawdę się przejmuję, kiedy słucham ich opowieści. Po pewnym czasie wydaje mi się nawet, że ich znam, choć w rzeczywistości to obcy ludzie. Chyba jest w tym coś smutnego.

Nie zaliczam się do osób, które siedzą i załamują ręce. Z mojego punktu widzenia wyjścia są dwa. Pierwsze – mimo wszystko kontynuować. Robić dalej to, co robię, a osobiste poglądy zepchnąć na dalszy plan. Czyli postępować tak samo jak dotąd, od chwili gdy agencja rozpoczęła działalność. Od czasu do czasu pojawią się wątpliwości, ale wtedy po prostu ucieknę do jakiejś georgiańskiej rezydencji z fabryką czekolady za płotem. Czekolada rozwiązuje każdy problem, prawda?

Jest jeszcze wyjście numer dwa, o którym nie chcę myśleć: zamknąć teatrzyk. Zmienić numery telefonów, zlikwidować stronę internetową i żyć normalnie. Wydaje się proste, instynkt podpowiada mi jednak, że wcale tego nie chcę. Tak, sama w to nie wierzę – ale jeszcze bardziej nie potrafię znieść myśli, że miałabym zrezygnować z tego, co stworzyłam. Nie, nie dam się, będę pamiętała słowa taty, że „nigdy się nie mylę”... A potem zacznę się modlić, żeby to była prawda!

Po raz pierwszy od pewnego czasu mgła w mojej głowie pomału się rozprasza. Spoglądam w niebo i widok pięknego błękitu sprawia, że ta chwila wydaje się na wpół magiczna. Co ja wygaduję? Zwykle nie bujam aż tak wysoko w obłokach! Na litość boską, mięknię na starość. Potrząsam głową, spuszczać wzrok na telefon, który leży obok. Wyciszyłam go, ale wyświetlacz miga. Znajduję się na zupełnym odludziu i zasięg łapię tylko w tym miejscu – odbierając jednak, ryzykowałabym, że w połowie rozmowy połączenie nieprofesjonalnie się zerwie. Poza tym powinnam odpoczywać, a w środku czeka na mnie Ben. Dlaczego więc moja ręka już sięga po telefon?

– Słucham?

Ups!

– Cześć, czy to Damska Agencja Detektywistyczna? – Głos należy do mężczyzny

mówiącego z wyraźnym akcentem z Glasgow. Na szczęście ten jestem w stanie mniej więcej zrozumieć.

– Zgadza się.

Nabieram optymizmu. Uporawszy się z bzdurami, które zaprzętały mi głowę, jestem pełna świeżych sił.

– Świetnie. Chciałbym porozmawiać z panią na temat zastawienia sideł.

W okamgnieniu czuję, jak strach ściska mi żołądek. Boję się zastawiania sideł.

Oczywiście, robiłam to w wersji internetowej, co przyprowadziło mnie o zestaw moralnych dylematów wszelkiej maści, ale takie twarzą w twarz to zupełnie inna sprawa. Nie odrywając telefonu od ucha, chowam głowę w ramionach.

– Okej – mówię, żałując, że w ogóle odebrałam.

– Chciałbym je zastawić na faceta mojej siostry.

– Faceta siostry? – Próbuję choć trochę zamaskować zaskoczenie.

– Tak, zgadza się. Kompletny kretyn. Nie trawię gościa i wiem, że coś kombinuje na boku. Dziany przystojniaczek, nie przepuści żadnej kobiecie, która otworzy do niego usta. Bywałem z nim nocą na mieście i na sam jego widok robi mi się niedobrze.

– Cóż, okej, hm... Czy pańska siostra chce, żeby podjął pan tego rodzaju kroki?

– Nie, nie, nie mogę jej tego powiedzieć. Zamierzam ją zaskoczyć dowodami. Nigdy nie zdradzę, skąd je wziąłem. Niech po prostu myśli, że on coś zmalował, a ja przypadkiem mam zdjęcia. Nie chcę, by wiedziała, że zatrudniłem prywatnego detektywa i wystawiłem jej faceta. Czy możemy tak zrobić?

– Cóż, nigdy wcześniej nie miałyśmy takiego zlecenia, ale mnie już nic nie zaskoczy.

Jeśli o mnie chodzi, to nie ma sprawy.

– Świetnie. Potrzebuję zdjęć, po których siostra zerwie z nim bez żadnych pytań. Nawet jeśli na nic się nie złapie, wasze dziewczyny mają się na niego dosłownie rzucać. Po prostu musi zniknąć z naszej rodziny.

Czuję niepokój i pokusę, żeby podziękować za to zlecenie i polecić facetowi usługi kogoś innego.

– Nie możemy się na niego d o s ł o w n i e r z u c a ć. Będziemy zalotne, ale nie możemy go tak po prostu pocałować, jeśli nie zasygnalizuje, że tego chce. Nie posuniemy się tak daleko, przykro mi.

Staram się opierać tak grzecznie, jak tylko potrafię. Ale ten klient jest naprawdę uparty, sprawia wrażenie impertynta. Jeden z tych, którzy za nic nie przyjmują odmowy. Choć z jego strony padają dość niepokojące słowa, wypowiada je z całkowitą beztrąską. Ale w głębi ducha wiem, że mówi śmiertelnie poważnie. Tak, jestem zaniepokojona.

– Jeśli zechce pójść z którąś z nich do łóżka, to tym też się zajmiecie? – pyta.

Dlaczego jeszcze nie przerwałam tej rozmowy? Nie jestem pewna, czy facet mówi to żartem, ale chyba raczej nie. Zbywam go śmiechem i odpowiadam, że nie posuniemy się dalej niż zwykły pocałunek, po czym jak najszybciej się żegnam.

Tak, powiedziałam, że to zrobimy, ale naprawdę sądzę, że nie powinnyśmy. Natychmiast dzwonię do Steph i przekazuję, co usłyszałam. Jest równie zaniepokojona jak ja, ale gdzieś między słowami sugeruje, że kwestionowanie jego motywacji nie należy do nas. Powinnyśmy dać klientowi to, czego oczekuje. Nie możemy wybierać, które zlecenia bierzemy, a których nie, kierując się przy tym własną moralnością, bo wtedy nie przyjęłybyśmy żadnego. Zawsze znajdzie się coś, co wzbudzi nasze wątpliwości czy niechęć.

Koniec końców dochodzę do siebie i omawiamy szczegóły. Facet chce, żebyśmy przyjechały do Glasgow. Steph i ja postanawiamy zatrudnić na ten wieczór specjalistkę od

zastawiania sideł, abyśmy nie musiały robić tego same i przy okazji mogły się czegoś od niej nauczyć. Brakuje nam doświadczenia, a zlecenie może być trudne. Nigdy bym się tego nie podjęła, a już zwłaszcza nie teraz, gdy stopniowo buduję związek z Benem. To po prostu nie leży w mojej naturze. Już i tak będę się smażyć w piekle za dotychczasowe występki, naprawdę nie muszę wzbogacać swojej kartoteki!

Zgarniam Steph i jedziemy razem po Jess, która wysiada z samolotu z Benidormu. W pierwszej kolejności zwróciłam się o wsparcie dla nas dwóch do Helen, ale ona musi się zająć dzieckiem siostrzenicy. Siedząc w poczekalni na lotnisku, omawiamy szczegóły.

– Szczerze mówiąc, niezbyt mi się to podoba – stwierdza Steph tym swoim posępnym głosem.

– Mnie też nie. Wiesz, jak to jest, kiedy w niedzielę wieczorem czujesz się, jakby to był poniedziałek rano, i dostajesz dreszczy na samą myśl, że masz iść do pracy?

– Taaa.

– Cóż, właśnie tak się czuję! Zero podekscytowania, po prostu chcę to już mieć z głowy.

– Wiem, co masz na myśli. Nie zamierzamy sprawdzić, czy facet zdradzi tym razem ani czy zrobił to już wcześniej. Spróbujemy s p r a w i ć, żeby zdradził. Dziwne.

Chyba żadne inne zlecenie nie wzbudziło w nas tylu wątpliwości. W drzwiach staje Jess ze swoimi walizkami, sombrero i całą resztą.

– Siema! – woła superradosnym tonem i macha do nas energicznie. Bez większego zaangażowania machamy w odpowiedzi. – A wam co znowu dolega?

Strzaskała się na ciemny brąz, chociaż nie było jej zaledwie tydzień.

– Coś nas uwiera – wyjaśnia Steph.

– Dobrze się bawiłaś? – pytam.

– Wybornie. Skoro coś was uwiera w te wasze kościste tyłki, to się po prostu przesiądźcie, idiotki jedne. – Wygląda na zmieszaną.

– Nie chodzi o nasze tyłki, pączuszk, tylko o nowe zlecenie. Uwiera nas moralnie. – Steph przymierza sombrero, po czym w drodze na parking składa jej relację.

– Ooooooooooch! – Jess w końcu załapała. – No dobra, więc w czym problem?

– Dosłownie wystawimy faceta na cel. Zupełnie jakbyśmy zwabiały go w pułapkę.

Zawsze zgodnie stawialiśmy czoło przeciwnikom sideł, twierdziłyśmy, że bywają przydatne. W tym przypadku jednak tego nie widzę.

– Rozumiem, o co ci chodzi, ale zobowiązałaś się, tak? Nie możemy mu teraz powiedzieć, że nic z tego.

– Nie, to by nie było profesjonalne. Zobaczymy, co się wydarzy, i przy okazji się czegoś nauczymy.

Ruszamy do Glasgow, ja prowadzę auto. Otrzymałyśmy nazwy barów, które zwykle odwiedza nasz obiekt, dlatego po drodze Steph sprawdza je na Google Earth.

– Jak na mój gust łatwizna. Facet trzyma się głównie jednej części miasta i po prostu łązi od pubu do pubu. Jest punkt wyjścia i punkt dojścia. Powinnyśmy go znaleźć bez większego trudu. – Wygląda na zadowoloną z siebie. Jess chrapie na tylnym siedzeniu samochodu, z twarzą zasłoniętą sombrero. – Zamierzam je potem zwędzić – dodaje Steph, zerkając do tyłu.

Pomału dochodzimy do siebie po ataku wyrzutów sumienia i znowu jesteśmy sobą. Utwierdzam się w tym przekonaniu, kiedy godzinę później Jess się budzi i wspólnie ze Steph zdziera sobie gardło, śpiewając do wtóru z Bon Jovim.

Przez czekanie na lotnisku dojeżdżamy do Glasgow z półtoragodzinnym opóźnieniem. Dziewczyny przebierają się w samochodzie. Steph wciąga bardzo obcisłe spodnie z czarnej satyny i prostą czarną koszulkę, a Jess wybiera skąpą mini i bluzkę na ramiączkach. Potem biorą

się do makijażu. Świetnie się bawię, skręcając tak szybko, jak tylko potrafię, podczas gdy one nakładają tusz do rzęs! Zatrzymuję się nieopodal baru, w którym umówiliśmy się ze specjalistką od zastawiania sideł, po czym sama też zmieniam ubranie. Decyduję się na dość tradycyjny zestaw – obcisłą spódnicę ołówkową i błyszczący złoty top. W tym zawodzie człowiek zostaje ekspertem od przebierania się w dosłownie każdych warunkach!

Wchodzimy do baru, w którym powinna czekać specjalistka. Dzwoniłam do podanych przez nią w referencjach osób. Wszystko wskazuje na to, że jest dobra w swoim fachu. A podczas naszych rozmów przez telefon sprawiała wrażenie pełnej życia i wesołej, bardzo podobnej do nas.

Wystarczą nam sekundy, żeby ją dostrzec. I natychmiast zdaję sobie sprawę, że na zdjęciach wygląda o wiele bardziej oszałamiająco niż w rzeczywistości. W mojej głowie odzywa się dzwonek ostrzegawczy.

– Amy? – zagajam, a ona wstaje i ściska mnie na powitanie.

– Czeeeeeeeeeeść, złociutkie!

– Cześć, miło cię wreszcie poznać.

Steph i Jess przedstawiają się, podczas gdy ja mierzę Amy wzrokiem. Z jej charakterystyki wynikało, że jest po trzydziestce, ale ja obstawiam okolice czterdziestki. Włosy ma krótkie, ufarbowane na platynowy blond. Opalenizna z solarium – i to stwierdzam ja, przyzwyczajona do widoku mieszkańek Manchesteru, które oblewają się litrami samoopalacza i leżą na łóżkach do naświetlania! Ale ten odcień skóry przywodzi mi na myśl Oompa Loompy z fabryki Willy’ego Wonki. Poza tym cała reszta wygląda dobrze.

– Długo się tym zajmujesz? – pyta Jess.

– Jakież pięć lat. Jestem jedną z pionierek, złociutka. Teraz wiele osób wchodzi do tej branży, ale ja w niej robiłam, kiedy jeszcze nikt o tym nie słyszał.

– Przyjmiesz każde zlecenie? – pytam ze szczerym zainteresowaniem.

– Oczywiście. Nie obchodzi mnie, o kogo ani o co chodzi. Po prostu lubię te zarobki.

Opłaca się.

Odzwajemniam jej uśmiech, ale szybko staje się jasne, że zasady Amy bardzo się różnią od tych, którymi staramy się kierować w naszej pracy.

Steph rzuca mi spojrzenie, jakby chciała zapytać: „Skąd ty wytrzasnęłaś tę kobietę?”.

Jess zaczyna ją wprowadzać w sprawę.

– Tu są wszystkie dokumenty: maile od klienta i zdjęcia obiektu. Jak dobrze znasz Glasgow?

– Ach, jak własną kieszeń, złociutka. Tu się urodziłam. Rebecca podesłała mi już niektóre z tych maili. Ten wasz klient naprawdę chce przygwoździć gościa! – Podchodzi do zadania z takim entuzjazmem, że to aż niepokojące!

– Można tak powiedzieć.

Zaczynam pomału dochodzić do wniosku, że źle ją oceniłam. Osobowość ma w porządku, ale martwi mnie jej moralność i zapał do robienia ludzi w konia. Wciąż uderza mnie ta ironia losu. Zaledwie przed tygodniem siedziałam na stopniach rezydencji i rozmyślałam nad własną moralnością. Teraz tkwię po uszy w czymś, od czego robi mi się nieswojo. Zupełnie jakby ktoś rzucił na mnie okiem, po czym zaserwował najgorszy scenariusz, jaki kiedykolwiek mógł mi się przydarzyć. Choć jedno muszę przyznać: jeśli przetrwam ten wieczór, prawdopodobnie przetrwam już wszystko.

– A co dokładnie zamierzasz zrobić? Jak rozgrywasz taką sprawę? – pyta Steph.

– Co? Nigdy tego nie robiłyście, złociutkie?

Jess kręci przecząco głową. Amy zerka przez ramię, czy nikt nie podsłuchuje, i wtedy

Steph szepcze mi do ucha:

– Jak jeszcze raz nazwie mnie złociutką...

– Powiem wam: po prostu flirtuję, złociutkie. – Steph zaciska zęby, oczy ma szeroko otwarte. A ja uśmiecham się po raz pierwszy, odkąd się tu zjawiłyśmy. – A potem flirtuję jeszcze trochę i nie przestaję, dopóki facet się nie ugnie.

Zastanawiam się, jak by jej powiedzieć, że nie podoba mi się ten pomysł.

– Jak trafiłaś do tej branży? – pytam.

– Mój eks był totalnym dupkiem – odpowiada z wyraźnym tutejszym akcentem. – Bez przerwy mnie zdradzał. Na lewo, na prawo, śródeczkiem. Na cokolwiek byś wpadła, on to na bank zrobił. Ale potrzebowałam jakichś dowodów, co nie? Więc poprosiłam jedną koleżankę, żeby go zwabiła do siebie, i bum! Złapał przynętę. Przyszło mi wtedy do głowy, że mogłabym to robić zawodowo. No wiecie, dopadać tych zdradzieckich drani.

O mój Boże! Ta kobieta jest naszym całkowitym przeciwieństwem. Nie zrozumcie mnie źle, jest urocza i bardzo miła, ale rany! – pochodzi z zupełnie innej bajki niż my. Nie jesteśmy zgorzkniałe, nie wypowiedziałyśmy mężczyznom krwawej zemsty. Rozumiemy, że ludzie bywają niewierni, i po prostu szukamy prawdy. Z kolei Amy najwyraźniej ma swoje własne porachunki ze światem.

Jess idzie do baru i przynosi nam wszystkim napoje bezalkoholowe. Sęk w tym, że jej ma mlecznożółtą barwę, a do tego małeńką parasolkę i wisienkę. Unoszę znacząco brew, kiedy Jess pije przez słomkę. W odpowiedzi jej brew wędruje jeszcze wyżej.

– No cooo? Tylko jeden – marudzi swoim najbardziej jękliwym tonem.

Przewracam oczami, po czym skupiam się znowu na Amy.

– Mój były mąż też mnie zdradzał – mówię. – Próbowalam zatrudnić prywatnych detektywów, ale byli naprawdę niesympatyczni. Otworzyłyśmy naszą agencję, żeby ludzie mogli się zwrócić do kogoś, kogo obchodzi ich los. Dlatego kontaktują się z nami. Zastawianie sideł to jedna z usług, które oferujemy, ale nie czujemy się z tym najlepiej. Będę z tobą szczerą. Ty to uwielbiasz, podchodzisz do tego z pasją i jesteś bardzo miła. Po prostu nie chcę, abyś pomyślała, że brakuje nam entuzjazmu czy coś w tym rodzaju.

– Ach nie, rozumiem, złociutka. – Steph posyła mi kopniaka pod stołem. Zabolalo. – Nie każdy się do tego nadaje. Dobrze, że zwróciłyście się do mnie. Pomogę wam.

– Zbieramy się? – pyta Steph.

– Dobry pomysł. Amy, jesteś gotowa?

– Jasne, złociutka.

Steph znowu mnie kopie. I znowu zabolalo. Jess dopija swojego drinka w ekspresowym tempie.

– Jeśli skończysz na podłodze... – zaczynam.

– To był pierwszy i ostatni. Przysięgam. Tylko dla dodania sobie odwagi.

Wychodzimy z baru i kierujemy się do następnego. Steph i ja zostajemy z tyłu, podczas gdy Jess gawędzi z Amy.

– Prawdziwa modliszka z tej kobiety, nie ma co – mówi Steph.

– Tak, wiem. To chyba nie za dobrze, prawda? Zupełnie jakby tropiła zwierzynę bez względu na cenę. Po tym zleceniu musimy przygotować obszernie sprawozdanie, żebyśmy zrozumiały, dlaczego mamy tyle problemów z zastawianiem sideł. Osobiście jestem za wycofaniem tej usługi. Dla mnie to po prostu niewłaściwe.

Steph podziela moje zdanie.

– Mnie też się to nie podoba. Ale jedno ci mogę obiecać: za każdym razem, kiedy ta kobieta powie „złociutka”, kopnę cię. Tak dla czystej przyjemności!

Uśmiecham się do niej słodko.

– Złociutka, tego właśnie mi trzeba.

Obmyślamy sobie przykrywkę. Jesteśmy koleżankami ze studiów i dawno się nie widziałyśmy. Wszystkie uczęszczałyśmy na uniwersytet w Manchesterze, gdzie studiowałyśmy modę. Wciąż mieszkamy w tamtych stronach, lecz Amy pochodzi z Glasgow. Wpadłyśmy tu na weekend, żeby zbadać miasto i zobaczyć się z dawną znajomą.

– Czasami mówię ludziom, że zajmuję się aktorstwem, a nie zastawianiem sideł. Ciągłe gram i jeszcze mi za to płacą, więc dla mnie to bez różnicy.

Szczerze mówiąc, to chyba najbardziej rozsądne słowa, jakie przez cały wieczór padły z ust Amy.

Wchodzimy do baru wypełnionego ludźmi aż po same brzegi. Oglądałam zdjęcia naszego obiektu bodaj ze dwadzieścia razy, ale nie mam pojęcia, jak my go znajdziemy w takim tłumie. To jak szukanie igły w stogu siana.

W następnym barze rozdzielamy się w pary i zaczynamy polowanie. Ruch panuje tu spory, ale mniejszy niż w pierwszym lokalu.

Nasz obiekt powinien być już od dwóch godzin i właśnie nabierać rozpędu. Mamy również zdjęcia jego znajomych, ale nikogo z nich nie widzimy.

Później, po odwiedzeniu kolejnych pięciu barów i wypiciu hektolitrów napojów bezalkoholowych, dopadają nas wątpliwości. Prawie się do siebie nie odzywamy. Po tym poznajemy, że jest problem: kiedy wszystko się wali, milkniemy. Może w tym tygodniu Wszchemogący serwuje tylko porażki.

Właśnie tracę ochotę na ciągnięcie tego całego cyrku i dochodzę do wniosku, że to los wkroczył, abyśmy zostawiły zwierzynę w spokoju, kiedy Amy klepie mnie w ramię. Z szerokim uśmiechem na twarzy wskazuje kąt baru.

Wysyłam do Jess i Steph wiadomość. Zjawiamy się tam jednocześnie. To sekcja dla VIP-ów, oddzielona sznurkiem. Natychmiast dostrzegam obiekt w towarzystwie trzech znajomych, których zdjęcia otrzymałyśmy mailem. Otaczają ich kobiety. Zupełnie jakby byli piłkarzami – młode dziewczyny dosłownie padają im do nóg. Wiem, że tak naprawdę facet jest tylko programistą komputerowym z zamiłowaniem do luksusu, a przynajmniej tak opowiadał mi klient.

– Hm... Jak my się przedrzemy przez ten sznurek?

– Nie mam pojęcia. Może usiądziemy tam? – proponuję, wskazując wolny stolik z widokiem na sekcję dla VIP-ów. – Zaczekamy, aż się ruszą. Mamy całą noc. Jeśli nie dopadniemy ich tutaj, to spróbujemy w następnym barze. Albo jeszcze innym. Może do tego czasu któraś z tych kobiet bardziej się ośmieli i nie będziemy musiały się na niego rzucać. Tak przynajmniej wyszłoby naturalnie. Potrzebne są nam tylko dowody.

Zgadzamy się, że tak byłoby najlepiej. Przez następny kwadrans mam czyste sumienie.

– Całkiem niezła z niego sztuka – rzuca Amy.

– Do diabła, nic nie widzę! – piszczy Steph. – Siedzą za daleko.

Obydwie ze Steph potrzebujemy okularów, bez nich jesteśmy ślepe jak nietoperze, dlatego ja również wytyżam wzrok. Robię przy tym minę, za którą dziewczyny zawsze mnie sztorcują: mrużę oczy i podnoszę odrobinę głowę, a górna warga odsłania zęby, przez co wyglądam jak koń. Nie znoszą tego i mówią, że to moje „paskudne oblicze”.

– Co ty robisz? – pyta Amy.

– Przepraszam – odpowiadam, odzyskując kontrolę nad twarzą. – Dzięki temu lepiej widzę.

– Rzeczywiście, niezłe z niego ciacho! – wtrąca Jess. Raz jeszcze wyciągam telefon

i oglądałam zdjęcia. Steph zagląda mi przez ramię.

– No, może być – przytakuje.

– Chciałabyś go usidlić? – pytam, unosząc brew.

– Hm. Może i bym chciała.

– Oooooo... – mruczy Jess.

– No, jestem sama i nie miałabym nic przeciwko pogawędce z kimś przystojnym. Tak dla odmiany – mówi Steph, a ja doskonale wiem, skąd ten sarkazm.

Parę miesięcy temu zlecono nam zastawienie sideł. Uważałam, że Steph – która od pewnego czasu była singielką i ogólnie zalicza się do oszałamiających kobiet – jest wprost idealną kandydatką do tego zadania. Tyle że na widok zdjęcia Steph wyraziła wprost przeciwną opinię. Nasz obiekt ważył około stu kilogramów – i nie były to kilogramy mięśni. Prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, po czterdziestce. Do tego miał farbowane na blond włosy z czarnymi odrostami i, co najważniejsze, jedną nogę! Odrzuciłam zlecenie, argumentując, że w wykonaniu Steph nie byłoby to zastawianie sideł, tylko zwykła prowokacja. Nigdy by nie uwierzył, że zainteresowała się nim filigranowa, oszałamiająca blondynka. Steph kręciła nosem, że w ogóle składałam jej taką propozycję, i za nic w świecie nie wzięłaby w tym udziału. Właśnie stąd wziął się teraz jej przytyk.

– Te kobiety lgną do niego jak muchy do miodu – stwierdza ze zdumieniem Jess.

– Złociutkie, jeśli ten facet nie skacze z kwiatka na kwiatek – szykuję się na kopniaka od Steph, ale nic z tego – to już sama nie wiem, co robi – stwierdza Amy.

Kopniak. Za szybko się odprężyłam.

– Będziemy miały szczęście, jeśli spróbuje czegoś z jedną z tych kobiet, i będziemy mogły się związać do domu – mówię.

– Zostajecie na noc w mieście?

– Mamy rezerwację. Teraz marzą mi się tylko filiżanka herbaty i łóżko – odpowiadam.

– Mnie też – przytakuje Steph.

– To może ty lubisz imprezować? – zwraca się do Jess.

– Robię co w mojej mocy, ale one mi nie pozwalają.

– W tej branży trzeba się niekiedy zabawić. Po pewnym czasie w głowie zaczyna się człowiekowi mącić od tego wszystkiego – odpowiada Amy, wlewając w siebie trzeci kieliszek wina. Jeśli się szybko nie uwiniemy, niedługo będzie zbyt pijana, żeby zrobić swoje.

– Właśnie na tym polega problem z tymi dwiema. Czasami bawią się aż za dobrze – mówię.

Steph grzebie w torbie. Gdy znów na nią zerkam, w ręce trzyma parę naprawdę małych okularów, żeby rzucić okiem na mężczyznę.

– Stephanie! Co ty wyprawiasz, kretynko? – pytam zaniepokojona.

– Do diabła, mówiłam ci, że nic nie widzę. Chcę tylko zerknąć! Rzeczywiście niezły. Nie zwała z nóg, ale może być. – Chowa okulary z powrotem do torby.

– Wy naprawdę jesteście zwykłymi detektywami, co nie? – Amy dochodzi do oczywistych wniosków.

Po dwudziestu minutach obiekt i jego kumple zbierają się do następnego baru, ciągnąc za sobą grono wielbicielek. Łącznie śledzimy już piętnaście osób: obiekt, jego znajomych i zgrają dziewczyn w wieku około osiemnastu, dwudziestu lat. Jeśli mam być szczerą, nie wygląda to zbyt obiecująco.

W kolejnym barze znów zajmują sekcję dla VIP-ów, za to nam udaje się usiąść bliżej. Tym razem Steph i ja widzimy bez problemu, co się dzieje.

Następne pół godziny upływa nam na czekaniu. W końcu jeden z kumpli idzie do

łazienki.

– Śledź go – syczę do Steph, a ta wykonuje polecenie.

Po kwadransie zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie wróciła. Rozglądam się, ale nigdzie jej nie widzę. Panika ściska mój żołądek. Już sięgam do torebki po telefon, kiedy dostrzegam przyjaciółkę kątem oka. Siedzi przy barze i pije drinka z kumplem naszego obiektu.

– Jak ona to zrobiła? – pytam Jess i Amy.

– Zdolna bestia. W tym fachu może zrobić karierę. – Amy patrzy na nią z aprobatą.

– Szlag, idzie tutaj. Zachowujcie się normalnie! – mówi Jess.

– Przecież się zachowujemy! – syczę, ale ona już się miota, szukając czegoś w torebce.

I co się stało ze mną, spokojną, opanowaną detektyw?

– Dziewczyny, to jest Charles. – Steph staje przy stoliku i przedstawia nam swojego nowego znajomego.

– Cześć, Charles. – Macham do niego jak ostatnia kretyńka.

– Witaj, Charles – mówi Jess z wytwornym akcentem. Wariatka!

– Cześć, Charles. Jestem Amy. – Mężczyzna ujmuje wyciągniętą dłoń i z wdziękiem składa na niej pocałunek. A niech mnie.

– Drogie panie, Stephanie bardzo mnie zaintrygowała. Czy zechciałybyście napić się szampana przy naszym stoliku? – Zaprasza nas.

– Z chęcią, skarbie! – odpowiada Amy.

Wstajemy i podążamy za nim.

– Panowie, to jest Stephanie. Przepraszam, chyba nie dosłyszałem waszych imion. – Patrzy na nas w poszukiwaniu podpowiedzi.

Steph wrywa się przed szeregiem.

– To jest Amy, Fiona (wskazuje ręką na Jess) i Tanya (wskazuje na mnie).

Czy ona mówi poważnie? Nie mogła nam wymyślić jakichś fajnych imion? Zapamiętanie ich to dopiero będzie zabawa!

Witamy się i siadamy razem z mężczyznami, a tuż obok czają się ich wielbiciele. Po raz pierwszy mogę przyjrzeć się naszemu obiektowi z bliska. Przystojny facet, typ dżentelmena. Nie byłabym zdumiona, gdybyśmy natknęły się na niego w sercu Chelsea. Ma doskonale przystrzyżone krótkie ciemne włosy i kilkuniedniowy zarost, a do tego mocno brązowe oczy. Przypomina bliskowschodniego księcia. Jego przyjaciele wyglądają podobnie. Nietrudno zrozumieć, jakim sposobem przyciągnęli tak duże grono wielbicieli – pomijając to, że popijają szampana i proponują go każdemu, kto poświęci im dziesięć sekund zainteresowania.

Dwadzieścia minut później znamy ich wszystkich. Wiemy, że nasz obiekt jest programistą komputerowym, ale podaje się za właściciela firmy komunikacyjnej. Cóż, najwyraźniej nie my jedne łżemy tego wieczoru jak z nut. Ponieważ prowadzę auto, nawet nie tykam szampana, którego nam ciągle proponują, Steph też nie. Mamy za słabe głowy, żeby pić w trakcie pracy. Za to Amy nie odmawia, podobnie jak nasza kochana Jess – która ku mojemu niezadowoleniu nie wylewa za kołnierz.

Kumple twierdzą, że są przedsiębiorcami i dyrektorami. Cóż, w to mi graj, bo tego wieczoru występuję jako zaopatrzeniowiec jednej z największych brytyjskich stron o modzie z najwyższej półki. Steph z kolei jest projektantką mody zatrudnioną w firmie internetowej, a Jess prowadzi własny butik w Manchesterze. Z jakiej choinki się urwałyśmy?

Amy jest po prostu sobą i przebija nas wszystkie. Porzuciła studia, żeby rozpocząć karierę jako aktorka. Opowiada, że była statystką w filmie z Bradem Pittem, a ostatni rok spędziła w Nowym Jorku, gdzie „spełniała swoje marzenia”. Wszystkie wiemy, że to same kłamstwa, ale przynajmniej Amy poprzestała na rozdmuchaniu swojej kariery „aktorskiej” – a nie tej drugiej.



Wielbicielki nie rezygnują. Modlę się, żeby jedna z nich zrobiła coś z naszym obiektem. Dwie rzeczywiście się na nim wieszają, a on w odpowiedzi flirtuje z nimi. Z pewnością sprawia wrażenie człowieka, jakiego opisywał nasz klient. Jest przystojny i można go nazwać aroganckim. Zdaniem klienta, jeśli tylko się na niego rzucimy, za żadne skarby nie odtrąci naszych zalotów.

Mija godzina z hakiem. Jess i Amy kończą butelkę darmowego szampana. Jeden z panów pyta, czy chciałybyśmy pojechać na prywatną imprezę przy basenie. Jess mówi, że nie mamy strojów kąpielowych, na co on precyzuje, że jest to impreza bez strojów. E, nie, dzięki. Kiedy przyjdzie co do czego, znajdziemy wymówkę.

Amy nachyla się i szepcze do mnie:

– A teraz trochę podkręcę tempo.

Kiwam głową i odchylam się na krześle, biorąc się w garść, jakbym była przypięta do siedzenia w samolocie i szykowałam się do startu.

Amy zajmuje miejsce obok naszego obiektu i kładzie mu dłoń na udzie. Robi mi się niedobrze. Ale czekam w gotowości – tego wieczoru filmuję wszystko kamerą w telefonie i drugą, maleńką, wszytą w torebkę. Na stoliku, na uboczu, położyłam pióro, za pomocą którego nagrywam dźwięk, chociaż tak naprawdę zależy nam na obrazie.

Amy śmieje się i żartuje, pakując się facetowi na kolana. Robi mi się jeszcze gorzej. Steph z przerażeniem wpatruje się w Amy. Ciągłe zerka na mnie, bo wyczuwa moje skrepowanie.

Amy wypytuje go o wszystko: skąd jest, czym się zajmuje, czy ma dziewczynę. Facet odpowiada zgodnie z prawdą – cóż, nie licząc drobnego szczegółu w postaci zawodu. Opowiada Amy o swojej dziewczynie. Amy mówi, że nic jej nie powie, jeśli chciałby do niej wpaść. Facet śmieje się, choć w rzeczywistości grzecznie odmawia. Amy pyta, czy wybiera się na imprezę przy basenie. Nie, to nie w jego guście, poza tym uważa, że takie rozrywki upokarzają wszystkich uczestników. Amy wyznaje, że ona też ma chłopaka, ale odrobina seksualnej przygody jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Krzywię się, jakby te słowa sprawiały mi prawdziwy ból. Facet znowu się śmieje, ale odpowiada, że jej (fikcyjny) chłopak nie byłby zadowolony, gdyby to słyszał. Amy na to, że jej (fikcyjny) chłopak ciągle ją zdradza, przekonany, że ona o niczym nie wie. Nasz obiekt mówi, że to musi być przykre, i sprawia wrażenie szczerze zasmuconego. Amy wyznaje, że zamierza zakończyć swój (fikcyjny) związek, na to on rzuca, że chce się ożenić ze swoją dziewczyną.

Sprawy zaszły za daleko. Amy beczelnie flirtuje, a facet odpiera każdy jej atak. Ich rozmowa pochłonęła Jess i Steph równie mocno jak mnie, ale musimy już kończyć. Facet jest wierny. Przez całą noc nie zrobił nic, co świadczyłoby na jego niekorzyść. Wielbicielki łąsiły się do niego, kumple rozmawiali o nagiej imprezie, lecz on ma to gdzieś. Nie sprowokował nikogo ani jednym słowem. I nie zdradza. Wiem to. Czuję. Ten facet to dżentelmen, który spędza noc na mieście.

– Dobra, Amy, zbieramy się – oznajmiam, wstając z miejsca. – Panowie, było nam bardzo miło. Dziękujemy za waszą gościnność.

– I bawcie się dobrze na imprezie – dodaje Jess, razem ze mną i Steph opuszczając sekcję dla VIP-ów.

– No nie, dziewczyny, ja się dopiero rozkręcam – protestuje Amy, która najwyraźniej nie załapała.

– Zmieniamy bar – mówię do niej. Tym razem na pewno zrozumie, że ma już odpuścić.

– Nie wpadłyśmy na to, żeby ustalić jakiś sygnał, co? – mruczy Jess, szurając stopą i gapiąc się w podłogę.

– Chodźcie – zwracam się do nich, po czym ruszam w kierunku wyjścia. Amy i nasz obiekt wciąż są w zasięgu wzroku. Patrzymy, jak przerzuca nad nim nogę, po czym ujmuje jego twarz i całuje.

– To są chyba jakieś jaja – mówię, wściekła jak wszyscy diabli.

– O mój Boże! – Steph zakrywa usta dłonią. – To jest po prostu obrzydliwe. Nie ma mowy, żeby ten facet na nią leciał. Ani na którąkolwiek z nas, prawdę mówiąc.

Patrzymy, jak nasz obiekt zrzuca z siebie Amy, zrywa się na równe nogi i wychodzi wzburzony.

– Tak! – woła Jess. – Porządny chłop!

Idzie wściekły w stronę wyjścia za naszymi plecami.

– Wasza koleżanka to jakaś wariatka – warczy, mijając nas, po czym znika na zewnątrz.

My tymczasem obserwujemy, jak Amy odzyskuje panowanie nad sobą.

– Chrzańć ją – decyduję i wychodzę w ślad za facetem. Steph i Jess ruszają za mną.

– Co robimy? – pyta Jess, biegnąc tak szybko, jak tylko pozwalają jej szpilki.

– Zwijamy się – odpowiadam. Od dawna nie miałam tak paskudnego humoru.

– A co z Amy? – pyta Steph.

– Jeśli o mnie chodzi, może iść do diabła.

Wsiadamy do samochodu i odjeżdżamy spod baru. Amy stoi na zewnątrz i nas szuka, ale mam to w nosie. Zapłaciłyśmy jej z góry, więc jesteśmy kwita. Zostawiamy ją na chodniku. Tam gdzie jej miejsce.

Kilka dni później spotykamy się u mnie i omawiamy ostatnie wydarzenia.

– Nigdy więcej nie zrobimy czegoś podobnego – oświadczam.

– Co powiedziałaś klientowi? – pyta Jess.

– Przesłałam mu pełny zapis rozmowy naszego obiektu z Amy i poinformowałam, że starałyśmy się, ale facet zwyczajnie nie był zainteresowany i odrzucał wszelkie zaloty.

– Cóż, trudno to nazwać kłamstwem – stwierdza Steph.

– Bo to całkowita prawda. Klient chciał, żebyśmy wystawiły faceta do odstrzału, ale nie na tym polega zastawianie sideł. A przynajmniej nie na tym powinno polegać.

– Co masz na myśli?

– Od tej pory nie bierzemy udziału w czymś takim. Wymyśliłam coś. – Wręczam każdej z nich kartkę papieru z wytycznymi. – Tak pokrótce: opracowałam zasady etycznego zastawiania sideł. Ta usługa ma na celu sprawdzić, czy ktoś jest wierny, czy nie. Nic ponadto. Przede wszystkim zatrudniamy do tego wyłącznie osoby, które są odpowiednią partią dla naszego obiektu. Nie ma mowy o żadnych modelkach zaginających parol na sześćdziesięciolatka. To musi być osoba, z którą nasz obiekt związałby się w sposób naturalny, gdyby byli prawdziwą parą, zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru.

– Uczciwe podejście.

– Żadnego całowania czy innego kontaktu fizycznego. Jakiegokolwiek. Nasi pracownicy mogą flirtować i sugerować, że są zainteresowani obiektem, ale na tym koniec.

– Dobry pomysł. – Obydwie zgodnie kiwają głowami.

– Podczas pierwszego spotkania z obiektem staramy się uzyskać numer telefonu, adres mailowy albo kontakt na portalach społecznościowych. Pocałunek w barze po pijaku to żaden dowód. Chcemy wydobyć od obiektu jak najwięcej informacji. Na koniec, po kilku tygodniach nawiązywania relacji za pośrednictwem sieci, umawiamy się na randkę. Możemy zasugerować, że chcemy pójść z obiektem do łóżka, kiedy ustalimy datę. Jeśli obiekt się zgodzi i stawi w wyznaczonym miejscu i czasie, będziemy na niego czekać, zbierając dowody w postaci zdjęć i nagrań wideo. Z tego już nikt się nie wywinie. Takie dowody będą świadczyć ponad wszelką

wątpliwość, że obiekt zamierzał zdradzić.

– Ty tu rządzisz – śmieje się Jess.

– Brzmi rozsądnie – zgadza się Steph.

– Tradycyjne zastawianie sideł to zwykła prowokacja, nie będziemy brać w tym udziału.

Mamy w naszej pracy zbyt wiele zasad, żeby coś podobnego stawało nam na drodze. Nazwiemy naszą wersję etycznym zastawianiem sideł.

Dręczący mnie od paru tygodni dylemat w końcu znalazł rozwiązanie. W tej pracy przyjdzie mi zmierzyć się z problemami i sytuacjami, które nie przypadną mi do gustu. Przez nie od czasu do czasu zwątpię w cały ten fach i w samą siebie. Ale najważniejsze, że będziemy nad nimi pracować i znajdziemy rozwiązanie. Dzięki temu nie poczujemy się znowu skrępowane – nigdy więcej nie chcę się znaleźć w podobnej sytuacji jak w zeszłym tygodniu. Mam nadzieję, że jeśli zaczniemy po prostu rozmawiać o problemach i szukać rozwiązania, wreszcie wszystko dobrze się ułoży.

# Transseksualiści są wśród nas...

## Boże, dopomóż!

Jadę autostradą, śpiewając na całe gardło razem ze Spice Girls. Co za ożywcza chwila! Ogólnie za nimi nie przepadam, chociaż brałam udział w zbiorowym obłędzie, jaki zapanował na całym świecie, kiedy rozstały się po raz pierwszy. Od tamtej pory właściwie ich nie słuchałam, ale teraz, na autostradzie M6, w drodze do Krainy Jezior, nie oszczędzam gardła. Telefon spoczywa na stojaku. Przechodzi mi przez myśl, że milczy już drugi dzień, kiedy rozlega się melodia przewodnia z *Napisała: Morderstwo*. Jess Fletcher to mój ulubiony telewizyjny szpieg! Spice Girls milkną, a ponieważ telefon jest przestawiony na tryb głośnomówiący (tym razem wyjątkowo przestrzegam prawa), odbieram.

– Słucham – mówię śpiewnym tonem, wciąż pod wpływem Spice Girls. Ups.

– Cześć. Eee, mam problem, o którym muszę z kimś pogadać. – Facet, sądząc po zmartwieniu w jego głosie, to najwyraźniej potencjalny klient.

– Cóż, w takim razie może pan pogadać ze mną. – Staram się nie tracić optymizmu. Zawsze uważam, że jeśli człowiek go zachowa, to będzie miał lepszy start, niż gdyby zaczął przygnębiony.

– Dobrze, cóż, od pewnego czasu próbuję sfinalizować rozwód z mężem. – Czyżby to był mój pierwszy klient gej? Wszystko na to wskazuje! – To bardzo przebiegły mężczyzna, bardzo przebiegły. – Mam ochotę wtrącić: „Jak oni wszyscy”, ale się powstrzymuję. – Ukrywa przede mną majątek, chociaż nie potrafimy mu tego w żaden sposób udowodnić. Moja adwokat od dwóch lat próbuje go namierzyć, ale bezskutecznie.

– W porządku, to żaden problem. Będę potrzebowała więcej danych, ale poda mi je pan później. – Mam nadzieję, że zanoszą się na bardzo łatwe zlecenie.

– Zgarnął tysiące funtów z konta bankowego, zabrał samochód i inne rzeczy, o których nie będę teraz mówić. Jeśli go znajdziemy, mam szansę odzyskać sporą kwotę. Tyle że nie mogę już dłużej czekać. Jestem naprawdę pod kreską, a usługi mojej adwokat kosztują fortunę. Muszę to szybko załatwić. Mieszkamy w szkockich Highlands, dlatego nie tak łatwo nam go znaleźć.

– Na pewno da się coś zrobić. Zawsze staramy się oferować przystępne ceny. Gdzie pana zdaniem może przebywać pański były mąż?

– Pochodzi z Londynu, ale ostatnio podobno jest w Sydney.

Nagle w mojej głowie pojawia się wizja zlecenia idealnego. Piaszczyste plaże, surfing i sączenie koktajli przed budynkiem opery. Polecę do Sydney, żeby dorwać dziada!

– Mam jednak niemal stuprocentową pewność, że z tym Sydney to kant. – To było zbyt piękne, żeby mogło trwać! – Będzie w Londynie, ale nie wiem gdzie dokładnie.

– Żaden problem. W jaki sposób pańska adwokat próbowała go namierzyć?

– Wiem, że przeprowadziła wiele legalnych kontroli. Sprawdziła jego konta bankowe, ale nie było na nich żadnych środków. On wynajmuje mieszkanie, nie znaleźliśmy jednak żadnej umowy. W całej Wielkiej Brytanii nie ma po nim śladu. Nie posiada tu żadnego majątku i nie widnieje w spisie wyborców.

– Sądzi pan, że mógł ponownie wstąpić w związek małżeński? – Dopadłabym go z łatwością, gdybym znalazła nowy akt małżeństwa.

– Rzeczywiście, zastanawiam się, czy przypadkiem tego nie zrobił, ale prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Jeśli znowu wziął ślub, równie dobrze może mieć żonę albo męża. Słyszałem,

że w Sydney miał chłopaka, ale kilka miesięcy temu go rzucił. Od tamtej pory żyje z kimś innym.

Najwyraźniej dlatego pomieszkiwał w Sydney.

– Teraz ma to nieco więcej sensu. – Nie wiem, jak my znajdziemy tego gościa. Brakuje dobrego punktu zaczepienia. – Jak bardzo jest zaangażowany w środowisko gejowskie? – pytam.

– Och, uwielbia je. Swego czasu był niewiarygodnie męski, ale teraz zrobił się absurdalnie kobiecy.

Ciekawe! Znosi się na dobrą zabawę, jeśli uda nam się znaleźć faceta.

– Dobrze, proszę to zostawić mnie. Policzę panu jednorazową opłatę za tydzień pracy dochodzeniowej. Zaledwie kilkaset funtów, ponieważ istnieje spore ryzyko, że nic nie znajdziemy. Niestety wtedy nie odzyska pan swoich pieniędzy. Ale tak czy owak, wyjdzie tanio. Przemyślę to sobie, omówię z koleżankami i jeśli natrafimy na choćby najmniejszy ślad, albo chociaż przyjdzie nam do głowy, jak można go znaleźć, skontaktuję się z panem. Będzie pan mógł poprosić innych ludzi, żeby doprowadzili sprawę do końca. Nie chcę brać od pana pieniędzy bez żadnej szansy, że go w ogóle znajdziemy.

W głębi ducha martwię się, że to beznadziejna sprawa, widzę jednak słabe światełko w tunelu. Instykt mi podpowiada, że mogę coś zziałać.

– Oczywiście, układ wydaje się uczciwy.

– Świetnie. Zadzwoń do pana wieczorem, jeśli pan pozwoli?

Pozwała.

Pod koniec naszej pogawędki zatrzymuję się przed swoim domem w Wielkiej Poczekalni Boga. Dzisiaj mieszkańcy wylegli tłumnie do ogrodów i pielęgnują rabaty. W otoczeniu starszych osób czuję się osobiście zadomowiona i szczęśliwa. Może w poprzednim wcieleniu opiekowałam się nimi albo coś w tym rodzaju. Ucinam sobie pogawędkę przy krzaczku z najbliższym sąsiadem. Jak zwykle o pogodzie, o niczym więcej. Z telefonem i laptopem pod pachą uśmiecham się grzecznie, po czym wchodzę do domu. Włączam czajnik i siadam przy biurku z widokiem na ogród.

Potem dzwonię do Jess. Muszę jej przedstawić sytuację i zapytać, co o tym sądzi.

W głowie mam wielki mętlik. Nigdzie nie widzę żadnego punktu zaczepienia, ale wiem, że gdzieś tam jest. Streszczam Jess całą historię, a ona wpada na pewien pomysł.

– Dzisiaj mamy piątek. W przyszłym tygodniu będziemy w Londynie w związku ze zleceniem. Więc może wybierzmy się tam i zacznijmy ciut wcześniej!

Celujemy w Soho, ulubioną przez gejów dzielnicę Londynu, ponieważ nasz klient wspomniał o paru tamtejszych barach, do których może chadzać jego były mąż. Strzał w ciemno, ale co innego mamy do roboty pod koniec dnia? Równie dobrze możemy spróbować, a nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej spędzimy miło noc na mieście! Żadnej z nas nie trzeba dłużej przekonywać do imprezy pod pretekstem pracy.

Umawiam się z Jess, że podjadę po nią o osiemnastej, i dzwonię do klienta, który, nawiasem mówiąc, ma na imię Timothy. Albo Timmy, jak sam woli.

– Timmy. Pewnie zabrmi to dziwnie, ale wybieramy się dziś wieczorem do Londynu.

Jeśli pański były mocno angażuje się w środowisko gejowskie, to kto wie... – Bardziej próbuje przekonać jego czy siebie? – Zrobię to bez żadnych opłat, po prostu może się uda namierzyć jakiś ślad.

– Dobrze, to bardzo miło z waszej strony. Dziękuję.

Chyba jest pod wrażeniem, choć osobiście uważam, że zachowujemy się bardzo nieprofesjonalnie, strzelając tak na oślep.

– Czy mógłby pan tylko wysłać mi jego zdjęcie mailem? – Timmy się zgadza. Czekaając, aż mój komputer puści bąka, nurkuję do garderoby i znajduję bajecznie połyskliwy strój

z cekinami. W sam raz na dzisiejszy wieczór!

Ubrana jak spod igły i uzbrojona w zdjęcie podjeżdżam po Jess. Zdążyła już otworzyć wino i teraz wsiada do samochodu z butelką i kieliszkiem. Tylko jej pozwałam pić w trakcie pracy. Głównie dlatego, że jest ze mną od samego początku. Co więcej, nie bierze za tę wyprawę żadnego wynagrodzenia. Jess nie jest zwykłym pracownikiem – to moja przyjaciółka, a ja ufam, że zachowa profesjonalizm!

– *Buongiorno!* – Jess wpada do samochodu, rozlewając wino, wystrojona w cekiny.

– Jak sądzisz, ludzie pomyślą, że jesteśmy kochankami? – pytam.

– Bardzo możliwe. Będę twoją kochanką na jedną noc.

Ależ jej humor dopisuje!

Docieramy na dworzec kolejowy, po czym spędzamy całą wieczność na głupotach i prawie spóźniamy się na pociąg. Zazwyczaj biorę „głupoty” pod uwagę, kiedy układam harmonogram, tym razem jednak zapomniałam. W końcu po dwóch godzinach (i butelce wina – w przypadku Jess) docieramy do stolicy. Jesteśmy gotowe do akcji.

Odbieramy samochód z wypożyczalni i jedziemy do Soho, gdzie odkrywamy, że to piekło dla parkujących. Ostatecznie postanawiam zostawić samochód w niedozwolonym miejscu. Jakkolwiek by patrzeć, kolekcja mandatów za parkowanie należy do moich ulubionych, poza tym nie zamierzamy zabawić tu na tyle długo, żeby zdążyli nas odholować!

Kroczyliśmy ulicą, błyszczące, całe w cekinach, na niebotycznych szpilkach, przez które ciągle chwiejemy się na wszystkie strony. Od wizerunku stereotypowego detektywa dzielą nas lata świetlne. Przyprawiamy o zawrót głowy zarówno innych, jak i same siebie!

Zaczynamy od baru, nowego w tej branży, jak się dowiadujemy. Nowoczesny, trochę pokręcony, fajny, choć na pograniczu tandety, i pełen facetów!

Zjawiamy się dość wcześnie, głównie dlatego że w ten sposób łatwiej będzie nam się zaaklimatyzować. Poza tym możemy się też zaprzyjaźnić z obsługą i uzyskać od niej kilka informacji. Spędzamy w środku mniej więcej godzinę, obserwując klientów. Powinnyśmy wkrótce się stąd zbierać i sprawdzić inne lokale. Dzięki temu będziemy miały wrażenie, że robimy coś więcej, a nie tylko przesiadujemy w barze. Nie widzimy nikogo, kto pasowałby do opisu naszego obiektu. Musiałybyśmy mieć niewiarygodne szczęście. Z informacji od Timmy’ego wynika, że facet jest dość niski. Ma trochę ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, bardzo szerokie, męskie bary, ciemne włosy do ramion i permanentną sztuczną opaleniznę (najwidoczniej korzysta z solarium), a do tego zmarszczki (pewnie zasługa solarium).

Siedzę na końcu baru, brodę opieram na pięści. Mrużę oczy, bo jak zwykle nie mam teraz okularów i ledwo widzę twarze ludzi po przeciwnej stronie. Jess gawędzi z barmanem, śmiejąc się i chichocząc, a w dłoni trzyma jakiś szalony koktajl. Jest już pijana. Czuję lekkie poirytowanie, bo sprawy nie układają się po mojej myśli. Wstaję i podchodzę do przyjaciółki, po drodze przybierając „radosne oblicze”.

– Bec – mówi Jess – poznaj... eee... Jak ty masz na imię? Surgio?

– Ser-gio! – poprawia z uśmiechem barman.

– Ser-gio! – powtarza. – Ach tak, Surgio to ta surykatka z telewizji!

– Cześć, Sergio – witam się, ściskając jego dłoń. – Czy ona ci się narzuca?

– Nie, nie, toczyliśmy fascynującą rozmowę. Jess świetnie zna się na piłce nożnej. –

Patrzy na nią z szerokim uśmiechem. Moja przyjaciółka kiwa głową, wyszczerzona od ucha do ucha, po czym bierze kolejny łyk drinka. Sergio jest chyba po części Włochem, ale mówi z idealnym angielskim akcentem. Chętnie zapytałabym, jak to możliwe, nie wolno mi jednak się rozpraszać.

– Co dwie heteroseksualne dziewczyny robią tutaj w taki piękny wieczór? – pyta,

najwyraźniej pod wpływem uroku Jess.

– A dlaczego sądzisz, że jesteśmy hetero? – Śmieję się.

– To moja dziewczyna – dodaje Jess.

– Dobrze, dobrze, no to co tutaj tak naprawdę robicie? – Przewraca oczami. Najwyraźniej aktorstwo kiepsko nam dzisiaj wychodzi.

– Próbuję odnaleźć zaginionego brata mojej mamy – wyjaśniam.

– Serio? Tutaj? – Sprawia wrażenie zaskoczonego.

– Tak, parę lat temu ujawnił swoją orientację. Prawdę mówiąc, szukamy trochę na oślep, ale dla mamy zrobię dosłownie wszystko. A w jej wieku noc w barach Soho to nie najlepszy pomysł.

Teraz wygląda na pełnego współczucia.

– Ach, to naprawdę słodkie – mówi z lekkim uśmiechem, przechylając głowę.

Przechylona głowa zawsze oznacza współczucie. Sergio ulega naszemu urokowi. Może gramy lepiej, niż sądziłam.

– Pokaż mi zdjęcie! – podsuwa Jess. – Może go zna!

– Och tak! Dobry pomysł. – Wyciągam fotkę z torebki.

– No proszę – mówi Sergio, dziwnie mu się przyglądając.

– Znasz go? – pytam z nadzieją.

– Wiesz co, rzeczywiście wygląda znajomo, ale jeśli to jest ten, o którym myślę, to jego już nie ma.

Jess i ja patrzymy po sobie bardzo zmieszane.

– Co masz na myśli?

– Cóż, mogę się mylić, ale poznaję tę opaleniznę i zmarszczki. – Sergio wpatruje się w zdjęcie.

– Och, no dalej, powiedz. Potrzebujemy jakiegoś punktu zaczepienia. Warto sprawdzić. – Prawie go błagam.

– Bardzo przypomina pewnego transseksualistę, który ciągle tu przychodzi. Znaczący, trzy razy w tygodniu. Jeden ze stałych klientów.

Jestem odrobinę wstrząśnięta i gdzieś w głębi ducha myślę sobie: „wykluczone”. Ale moja praca zdążyła mnie nauczyć jednej rzeczy – zawsze bądź przygotowana na niespodzianki.

– Mów dalej... – Jess najwyraźniej przytkało.

– Zjawia się tu od paru miesięcy. Wcześniej mieszkał w Sydney, jego chłopak jest stamtąd, zawsze przychodzą razem.

O mój Boże! Czy to on?

– Co jeszcze wiesz? – Próbuję ukryć desperację, ale wszystko wydaje się pasować.

– Nie chciałbym nic mówić, jeśli to naprawdę brat twojej matki. Jak już wspominałem, mogę się mylić. Ale im dłużej patrzę na to zdjęcie, tym bardziej mam wrażenie, że to on. – Spogląda na nas ze współczuciem. Jess nie może zebrać szczęki z podłogi!

– Zaufaj mi, mama wie, jaki on jest. Ale i tak go kocha. Nie martw się, bardzo nam pomogłeś – mówię z uśmiechem, jednocześnie trąc Jess stopą. Zamyka usta i przetyka ślinę.

– Krąży plotka, ale to tylko plotka, nic więcej, że facet pracuje jako transseksualna prostytutka.

ŁAŁ! Tego się nie spodziewałam.

– Tak, to w jego stylu. – Kiwam głową. Nie mam pojęcia, czy to na pewno nasz facet, ale pobyt w Sydney na to wskazuje. Równie dobrze możemy pójść tym tropem i sprawdzić, czego się dowiemy.

– Serio? Och, to dobrze, cieszę się w takim razie, że mogłem pomóc! – mówi Sergio,

wyraźnie zadowolony z siebie.

– I to jak. Naprawdę. Byłeś cudowny – mówię.

Jess zbiera swoje rzeczy, szykujemy się do wyjścia.

– Jeszcze coś mi przyszło do głowy – zwracam się do Sergia. – Skoro jest teraz kobietą, to pewnie nie posługuje się już imieniem Jack, prawda?

– Nie, nie. Nosi teraz imię Jackie. Chyba niezły wybór, co nie? Jackie zamiast Jacka. – Sergio uważa, że to zabawne.

– Och, z pewnością – chichoczę. Żegnamy się i wychodzimy. Sergio nie ma nawet pojęcia, jak bardzo nam pomógł.

Nocne powietrze jest zimne, nas jednak rozgrzewa radość. Bierzymy się pod ramię i przytulamy do siebie, ciężkim krokiem ruszając w drogę powrotną. Kręcimy się jeszcze chwilę po okolicy w nadziei, że gdzieś go wypatrzymy, ale nic z tego. Nieszczególnie się tym przejmuję – mamy od czego zacząć. Wracamy truchtem do samochodu. Jess jest pijana, zawożę ją do hotelu.

Gdy już siedzę w naszym pokoju, włączam laptopa i wstukuję w Google „Jackie Vernon”. Vernon to jego poprzednie nazwisko. Nic. Wpisuję więc: „transseksualiści Londyn”. Wyskakuje mnóstwo stron, których przejrzenie zajmuje mi całe wieki – ale nie znajduję go na żadnej z nich. Wyciągam się na łóżku, wciąż w połyskującym stroju i szpilkach. Gapię się w sufit i liczę na jakieś olśnienie. Mam trop, ale nic więcej. Czuję osobliwy spokój i z wolna pogrążam się w głębokim śnie, z laptopem na kolanach...

Jest dziesiąta rano, kiedy nagle się budzę – wcale nie dlatego, że Jess na łóżku obok chrapie jak lokomotywa. Mam!

Jakbym w ogóle nie spała, kładę laptopa z powrotem na kolanach i wstukuję w Google: „Jackie transseksualista Londyn”. Pojawia się strona internetowa. „Ta strona zawiera treści przeznaczone wyłącznie dla osób dorosłych. Naciśnij «Dalej», jeśli masz co najmniej osiemnaście lat”. Szybko klikam i zamykam oczy. Boję się. Po części tego, co zobaczę, a po części tego, że to nie będzie on. Nie wiem, co wtedy zrobimy.

Strona główna prezentuje nadmiernie napompowane (zastrzykami z kolagenu) usta zaciśnięte na męskich genitaliach. Ogarniają mnie przytłaczające mdłości, ale jakoś wytrzymuję. Potem klikam stronę „O Jackie”... To on! Laptop ląduje na podłodze, bo zrywam się z okrzykiem i tańczę szaleńczo po całym pokoju. Jess zaczyna się wiercić. Wiruję boso w sukience ze złotych cekinów (szpilki musiały mi spaść, kiedy spałam).

– To on, to on, to on! – śpiewam, kręcąc się i wirując. – Ach! – krzyczę, zaciskając pięści, po czym wracam na łóżko i łapię za laptopa, gotowa dowiedzieć się czegoś więcej.

– On?! Gdzie? – Jess siedzi wyprostowana na łóżku i rozgląda się, jakby sądziła, że facet wszedł do naszego pokoju.

– Nie, głuptasie, tu, w komputerze. Zobacz. – Przekręcam laptopa na kolanach, żeby też widziała. Wydaje z siebie okrzyk ni to przerażenia, ni to radości, po czym opada z powrotem na poduszkę, trzymając się za głowę.

Czytam wszystkie informacje na temat Jackie, który nazywa siebie transgenderowcem. Zasadniczo chodzi o to, że zachowuje się i żyje jak kobieta, ale wciąż ma męskie narządy. Mieszka w Londynie – oczywiście jeszcze nie znalazłam adresu. Na stronie widnieje jednak opis jego okolicy, z którego wynika, że to niedaleko Soho. Zerkam na foty w galerii, lecz po paru sekundach pędzę do łazienki i dostaję autentycznych mdłości. To już zbyt wiele. Jackie uprawia na nich seks z mężczyznami – wieloma mężczyznami – i to w ekstremalnym wydaniu. Przedstawiają Jackie w całej okazałości. Istotnie, jest niski i bardzo męski, ma za to olbrzymie piersi i „zastygłą” twarz. Ewidentnie robota kiepskiego chirurga. Usta wyglądają absurdalnie –



pewnie kupuje kolagen w ilościach hurtowych. Zafundował sobie przedłużenie włosów aż do pasa, ale gołym okiem widać, gdzie kończą się prawdziwe – tuż poniżej uszu. Nigdy w życiu nie widziałam podobnej tandety, a to o czymś świadczy... Na litość boską, jestem przecież z Manchesteru!

Najwyraźniej wciąż przepada za solarium, bo ma koszmarnie zmarszczki. Skoro nie żałuje sobie kolagenu, można by sądzić, że nie powinien też oszczędzać na botoksie! Jego skóra jest cienka jak papier. To najbardziej sztuczna kobieta pod słońcem, chociaż z daleka widać, że ma się do czynienia z facetem, co potwierdzają zdjęcia męskich genitaliów i sztucznych piersi – ukazanych w pełnej krasie. Chyba żyłam pod kłosem. Czasem się słyszy o takich ludziach, ale mało kto wierzy, że oni naprawdę istnieją.

Chwytam za telefon i przekazuję Timmy'emu, czego się dowiedziałyśmy.

– Och, to rzeczywiście w jego stylu. Co za wstyd. Nie mogę uwierzyć, że był moim mężem. Jak pani sądzi, czy teraz uda wam się go namierzyć?

– Tak. Przed nami wciąż daleka droga, ale właśnie takiego tropu było mi trzeba. Na pewno go znajdziemy. Choć to raczej nie będzie zwykła detektywistyczna robota.

Timmy jest szczęśliwy. Płaci kartą przez telefon, a ja dzwonię do Steph, żeby jej opowiedzieć, co zaszło.

Potem pokazuję Jess zdjęcia Jackie/Jacka w całej jej/jego krasie. Chyba będę o nim mówić Jackie; tak należy robić. Jess jest tak samo poruszona jak ja, ale szybko bierzemy się do roboty. (Wreszcie udało mi się wziąć prysznic i przebrać).

Klikam w zakładkę „Kontakt” i wysyłam maila, w którym piszę, że moim zdaniem jest naprawdę seksowna i chciałabym się spotkać. Faj! Potem zaczynam szukać informacji na temat Jackie, ale bez rezultatu. Siedzimy we dwie i gapimy się na zdjęcia. Jess ma teraz na sobie czarne ubranie. Czekam, aż wyciągnie okulary przeciwsłoneczne, chociaż przebywamy w pomieszczeniu. Trzeba przyznać, że chwilowo nie powala wyglądem.

– Jeśli będziemy się naprawdę mocno wpatrywać, w końcu nas olśni – mówię.

– Na pewno... – przytakuje Jess, ale nie wiem, czy odzywa się do mnie, czy do swoich myśli. Obie wciąż próbujemy odnaleźć się w tej nowej sytuacji.

– Mam pewien pomysł, chociaż strzelam w ciemno. Popatrz na te zdjęcia. Wszystkie zrobiono na terenie tej samej nieruchomości. Jeśli się nie mylę, chodzi o zaadaptowany budynek szkoły czy coś w tym rodzaju. Na dachu jest taras z widokiem na nowoczesny biurowiec. Stoi obok budowli w stylu georgiańskim, nad brzegiem rzeki. To na pewno Tamiza. Pomieszczenia mają wysokie sufity, a w jednym z nich znajduje się oryginalna spiralna klatka schodowa. Podejrzewam, że musieli ją zachować ze względów planistycznych. Siedziska pod oknami wyglądają jak ławki kościelne.

– Więc my naprawdę oficjalnie rozpoczynamy poszukiwania igły w stogu siana? – pyta Jess, nie odrywając wzroku od komputera.

– Możliwe, ale zamierzam zaryzykować.

Odzyskuję kontrolę nad laptopem i zaczynam przeglądać strony agencji, szukając nietypowych nadrzecznych nieruchomości na sprzedaż. Ponad dwieście pięćdziesiąt! Jess wychodzi na chwilę, a ja sprawdzam listę za listą. Zdaję sobie sprawę, że powinnam bardziej sprecyzować kryteria. Muszę znaleźć nieruchomość, która może być starą szkołą, składem albo fabryką nad brzegiem Tamizy. Szybko zawężam krąg poszukiwań do czterech kamienic. To może być gdzieś tam.

Dzwonię do agentów obsługujących ten rejon, po jednym na kamienicę, i z każdym z nich umawiam się na następny dzień. Możliwe, że w okolicy są jeszcze inne budynki, w których nie ma mieszkań na sprzedaż, ale zaryzykuję. Udawanie potencjalnego nabywcy to jedyny sposób,

żeby tam powęszyć. Poza tym tylko takie rozwiązanie wchodzi w grę, jako że Jackie bardzo niegrzecznie zignorował mojego maila. Resztę dnia spędzam na zwiedzaniu, Jess tymczasem dochodzi do siebie po nocy. Całym sercem postanawiam, że to był ostatni raz, kiedy pozwoliłam jej pić w trakcie pracy. Potulne zachowanie przyjaciółki sugeruje, że już się tego domyśla.

Następnego ranka idziemy oglądać lokale. Spotkania umówiłam w kilkunastu godzinnych odstępach, dlatego możemy sprawdzić każdą kamienicę z należytą uwagą. Spóźnimy się, jak zwykle! Zajeżdżam pod budynek i widzę, że agent zamierza już odejść. Jess wyskakuje z samochodu, chociaż nie zdążyłam się jeszcze zatrzymać.

– Proszę zaczekać! – krzyczy, uśmiechając się błagalnie. – Przepraszamy za spóźnienie.

Dżentelmen ma około dwudziestu pięciu lat, jest wysoki, dość przystojny i nie potrafi się oprzeć czarowi Jess. Ja również szybko opuszczam samochód, parkując w niedozwolonym miejscu. Nie mam czasu szukać innego.

Poinstruiowałam Jess, żeby zapamiętała kod, który agent wprowadzi przy drzwiach wejściowych. Dzięki temu będziemy mogły wrócić. Jeśli skorzysta z klucza, to po nas. Całe szczęście, wpisuje kod na naszych oczach, nawet nie próbując się przed nami kryć. Łatwizna – bardzo dziękujemy! Jadąc na górę windą, pytamy, czy budynek jest bezpieczny. Zauważyliśmy kamery na zewnątrz i mówimy, że trochę to nas niepokoi. Jacy są tutejsi mieszkańcy?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Sprzedajemy tu dużo mieszkań, ale nic nam nie wiadomo o żadnych problemach.

Bezużyteczny agent, jak zwykle.

– Wspaniale. Wie pan, ile tu jest łącznie lokali? – pytam.

– Chyba około trzydziestu. Kupujecie panie dla siebie?

– Nie, na wynajem. Uważamy, że to mieszkanie będzie świetną inwestycją, skoro leży tak blisko centrum – odpowiada Jess.

– Rzeczywiście, będzie. Jesteśmy – mówi i wpuszcza nas do środka.

Snujemy się po wnętrzu, zadając zwyczajowe, bezsensowne pytania. Facet, który obecnie tu mieszka, jest w domu, ale też do niczego się nam nie przydaje. Wypytujemy go o sąsiadów, na co on stwierdza, że pilnuje własnego nosa i tyle. Nuda. Dziękujemy agentowi za poświęcony nam czas i się zegnamy. Czekamy za rogiem i patrzymy, jak odjeżdża. Na szczęście nie dostałyśmy mandatu i teraz, kiedy mamy nieco więcej czasu, przestawiam samochód. Agent znika za horyzontem i możemy wrócić do środka. Dopiero wtedy spostrzegam georgiański budynek, który sąsiaduje z mieszkaniem Jackie. To może być ten sam! Na szczęście ktoś właśnie wychodzi i przytrzymuje nam drzwi, nie musimy więc korzystać z kodu (co, jak podejrzewam, może być sprzeczne z prawem...).

Poruszamy się tak szybko, jak tylko pozwalają nam na to szpilki, próbując znaleźć skrzynki na listy. Mieszkałam już w podobnych kamienicach i wiem, że do takiej skrzynki zazwyczaj da się wsunąć dłoń. Nie chcemy kraść poczty, rzecz jasna, tylko zobaczyć adresata. Znajdujemy je, ale odkrywamy, że to najbardziej bezpieczne skrzynki pocztowe na świecie! W szczelinie z trudem mieści się cokolwiek grubszego niż list. Sztuczka z dłonią odpada!

– No to mamy pierwszy sukces – prycha Jess z sarkazmem.

– Cicho. Będziemy pukać do drzwi. Zaczniemy od samej góry, po jednym mieszkaniu na każdym piętrze. Jeśli to nic nie da, jutro wrócimy i wybierzemy inne.

Działamy na oślep, ale musimy spróbować. Wkładamy w to mnóstwo czasu i wysiłku, instynkt podpowiada mi jednak, że może nas spotkać nagroda.

– Dobry plan – stwierdza Jess. Jesteśmy na najwyższym piętrze. – No to wybierz jakieś.

Tutejsze drzwi nie wyglądają zbyt normalnie. Niektóre są pomalowane na różowo, inne całe w brokacie. Czy to wskazuje, że w środku mieszkają geje? Albo małe dzieci?

– Niech będą te.  
Podchodzę do drzwi ozdobionych srebrnymi drobinkami.  
Jess puka.  
– Dzień dobry. Przyszliśmy zobaczyć mieszkanie – zwraca się do kobiety, która nam otwiera.  
– Przykro mi, chyba pomyliły panie numery.  
– Och, naprawdę? Czy to mieszkanie numer czterdzieści? – pytam.  
– Nie, numer sześćdziesiąt. Czterdzieści jest piętro niżej.  
– Och, rzeczywiście – chichoczę i wskazuję numer na drzwiach.  
– Przepraszamy, jesteśmy takie zakręcone! – dodaje Jess.  
Żegnamy się i zjeżdżamy windą piętro niżej.  
Stuk-puk. Tym razem drzwi wyglądają normalnie. Otwiera nam facet w wieku mniej więcej dwudziestu lat, w szlafroku, rozchylonym powyżej pasa.  
– Och, dzień doobry – wita się bardzo kobiecym głosem, ściągając poły szlafroka.  
– Przepraszamy, przyszliśmy obejrzeć mieszkanie – mówię.  
– Że jak? Ojej, to dzisiaj? – Marszczy czoło.  
– Eee, tak. Przyszliśmy nie w porę? – wtrąca Jess.  
– Nie, nie, w porządku, złociutkie. – Biedaczek.  
– Pan jest z Premier Estates, prawda? – pytam.  
– Tak! – To się nazywa pech! Wybrałyśmy mieszkanie, które jest na sprzedaż, obsługiwane przez agencję, której nazwa jako pierwsza wpadła mi do głowy.  
– Och, proszę się nie martwić, przyjdziemy później – mówi Jess.  
– Nie, naprawdę, wejdźcie. To moja wina. Właśnie nastawiam wodę. Napijcie się czegoś? – Oddała się, zostawiając nam otwarte drzwi. Spoglądamy po sobie. Robię minę wyrażającą coś pomiędzy „o szlag” a „i co teraz?”. Wchodzimy do środka i oglądamy mieszkanie chłopaka. Mówimy, że jest bardzo ładne i później skontaktujemy się z agencją. Ups.  
Wychodzimy i czym prędzej gnamy do windy. Już bezpieczne, kręcimy głowami.  
– Co my wyprawiamy? – pyta Jess.  
– Nie mam pojęcia, ale zrobmy to jeszcze raz!  
Kolejne piętro. Wybieram drzwi pomalowane na wściekły róż, z liliową wycieraczką. Bardzo dziwne. A jeszcze dziwniejsze wydają się aż trzy zamki, dwie kamery ochrony i wizjer. Najwyraźniej ten osobliwy mieszkaniec ma coś do ukrycia. Pukamy.  
– Kto tam? – odzywa się szorstki głos.  
– Dzień dobry. Przyszliśmy obejrzeć mieszkanie.  
– Dzieeeeeeeń dobryyyyyy! – mówi mężczyzna niespodziewanie wysokim głosem i otwiera drzwi na oścież.  
Stajemy twarzą w twarz z... Jackie!  
– Cześć!!! – mówię wniebowzięta.  
– Obawiam się, serdeńka, że moje mieszkanie nie jest na sprzedaż.  
Patrzę na Jess, która stoi obok mnie z promiennym uśmiechem.  
– Słucham? O mój Boże. Strasznie przepraszamy – zwracam się do Jackie, wciąż emanując absolutnym szczęściem. Jest z niego bardzo wesoły transseksualista. – Musiałyśmy się pomylić.  
– Ale jestem otwarta na propozycje – odpowiada radośnie i bardzo dwuznacznie!  
Wybuchamy wszyscy śmiechem i przyglądamy się sobie.  
– Ależ ty jesteś zakręcona – mówi Jess, patrząc na mnie z udawanym poirytowaniem.  
– To prawda – przyznaję. – Strasznie przepraszamy za kłopot!

– Do usług, serdecznie, do usług – odpowiada Jackie, zamykając drzwi. Odwracamy się, bardzo zadowolone z siebie, i wracamy do windy, gdzie wykonujemy osobliwy taniec krasnali, tym razem w duecie, wirując i płasząc na bardzo małej przestrzeni.

Wsiadamy do samochodu i jedziemy do centrum na lunch. Poszło nam jak z płatka.

Gdy już siedzimy w uroczej włoskiej restauracji, dzwonię do Timmy’ego i przekazuję mu dobre wieści. Jest nimi podekscytowany. To wspaniałe uczucie, kiedy wszystko układa się po naszej myśli – zwłaszcza gdy szanse na powodzenie są niewielkie.

Kilka godzin później jesteśmy z powrotem w hotelu. Zaczynam znowu sprawdzać Jackie. Teraz kiedy mamy jego adres, otwiera się przed nami morze nowych możliwości. Po tym długim dniu ciężkiej pracy wiemy już, że to istotnie bardzo, bardzo wieloznaczna postać.

Założył firmę samochodową, w której stanowisko dyrektora piastuje jego przyjaciel. Mieszkanie zarejestrowano na nią jako biuro, dlatego Jackie sądzi, że jest nie do ruszenia. Gdyby zostało zapisane na jego nazwisko, eksmąż mógłby zabrać część, jeśli nie całość. Jackie posiada również kilka innych nieruchomości w całym kraju, które wynajmuje. Latem spędza trzy miesiące w Sydney – po co, tego nikt nie wie. Składamy sprawozdanie Timmy’emu, który przesyła je z kolei swojej adwokatce, aby sprawdziła, czy jakąś część majątku Jackie dałoby się przejąć.

– Ostatnia sprawa – mówi Timmy, kiedy już przedstawiłam mu zdobyte informacje. – Jackie uwielbia piękne samochody. Czymkolwiek teraz jeździ, z pewnością sporo za to dał. Czy mogłybyście się dowiedzieć, jakie ma auto?

Rzeczywiście, kiedy oglądaliśmy pierwsze mieszkanie, agent pokazywał nam też garaż w piwnicy. Znajdowało się tam zaledwie około dziesięciu samochodów, spośród których wyróżniał się aston martin. Coś mnie wtedy tknęło. Zrobiliśmy zdjęcia i spisałyśmy numer rejestracyjny, ale urząd komunikacji nie ujawni danych właściciela komuś, kto nie przedłoży orzeczenia sądowego przeciwko osobie, do której samochód może należeć. Na razie Timmy takiego orzeczenia nie ma.

Umawiamy się ponownie na oglądanie mieszkania i tym razem idziemy tam z agentem i właścicielką, po czym znów wspinamy się na wyżyny aktorstwa, zadając jeszcze głębsze pytania niż za pierwszym razem. Schodzimy do piwnicy i stajemy przed astonem martinem.

– Łał, co za boski samochód! – mówię, patrząc na auto pożądliwie.

– Tak, jest piękny, prawda? – przytakuje właścicielka.

– Wie pani, czyj to wóz?

– Tak, Jacka. Czy raczej Jackie. Zależy, którą wersję preferuje w tym tygodniu – wyjaśnia z lekką dezaprobatą.

– Co ma pani na myśli? – pyta Jess niewinnym głosem.

– Cóż, to nie jest ani mężczyzna, ani kobieta! No wiecie, transseksualista.

Obydwie z Jess zgodnie wzdychamy: „Aaaaaaaach”, a potem odwracamy wzrok, ukradkiem uśmiechając się do siebie i zmierzając w stronę windy.

– Zbieramy się? – spoglądam na Jess.

– Jasne! – odpowiada z szerokim uśmiechem.

Jackie podwinęła się noga: zarejestrował astona martina na swoje nazwisko, dlatego na żądanie adwokatki Timmy’ego musiał go ujawnić. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, Timmy wciąż walczył o pozostałą część majątku i miał nadzieję, że odzyska swój samochód. Zanosilo się na bardzo długi proces.

Adwokatka Timmy’ego przez dwa lata usiłowała znaleźć Jackie. Nam wystarczyło pięć dni i nędzne wynagrodzenie. Kocham różnoraki sprzęt i Internet, dzięki któremu nasze życie jest takie proste, ale tę sprawę rozwiązałyśmy dzięki zwykłej intuicji. Sprawdziły się stare, dobre

metody detektywistyczne. Miałam wielkie poczucie zwycięstwa. Irytuje mnie jednak, że Jackie nigdy nie odpisał na mojego maila. Podając się za innych ludzi, zazwyczaj jestem bardzo przekonująca, ale może tym razem nie udało mi się wczuć w rolę osoby poszukującej usług transseksualnej prostytutki. Nie mam w tej kwestii zbyt wielkiego doświadczenia.

Jackie jest osobą sympatyczną, o bardzo radosnym usposobieniu. Można powiedzieć, że miło się przebywa w jego towarzystwie. Ale większość ludzi, którzy mają z nim styczność, nie wie nic na temat jego podwójnego życia, szokującej strony internetowej ani tego, jak wykiwał własnego męża. Wyciągnęłam z tej lekcji nauczkę – kiedy człowiek już sądzi, że widział wszystko i nic więcej go nie zdziwi, na jaw wychodzi jeszcze bardziej szalona i dziwna niespodzianka.

Tyle dobrego, że tę sprawę możemy uznać za zamkniętą!

## Pożegnanie z przeszłością

Houston, mamy problem. Pewnie większość ludzi uzna, że mój kłopot jest wzięty z sufitu, ale oto on... Jestem zbyt szczęśliwa. Któregoś dnia rozmawiałam o tym z koleżanką. Bardzo jasno dała mi do zrozumienia, że jestem idiotką. Wielu chciałoby znaleźć się na moim miejscu i być osobą „zbyt szczęśliwą”, ale ja się boję.

Chodzi o Bena. Nie mogę mu dosłownie nic zarzucić. Odkąd zaczęliśmy się spotykać, czyli już od trzech miesięcy, nie ma między nami nawet najmniejszych nieporozumień. Kiedy jesteśmy osobno, usycham z tęsknoty za nim. Nigdy się nie kłócimy, nawet nie sprzeczamy. Ben nie zgłasza żadnych zastrzeżeń do tego, co mówię, i w pełni mnie wspiera. Nie zrozumcie mnie źle. Nie jest mięczakiem; to prawdziwy facet. Świetnie do siebie pasujemy i myślę, że kiedy w końcu dojdzie między nami do starcia, eksplozja będzie potężna.

Zawsze miałam problem z porządными facetami. Jestem typową dziewczyną, która szuka niegrzecznego chłopca. Całym sercem wierzę, że mamy to wpisane w naturę. Spójrzmy choćby na taką Paris. Ma dopiero kilka lat, a całą jej wiedzę na temat świata można streścić w sposób następujący: Świnka Peppa rządzi, dziadek to najlepszy kumpel, słodczyce pomagają na wszystko, a rysowanie po ścianach jest zabawniejsze niż rysowanie na kartce papieru! Czysta niewinność, wciąż nieskażona w żaden sposób przez społeczeństwo... Więc... oto dowód na moją teorię. Przez cały zeszły rok codziennie słyszałam, że Tom i James to są „ci niegrzeczni” w grupie. Naprawdę niegrzeczni – Paris bardzo się na nich wkurza. Chłapią wszystkich wodą, Tom ciągle wykopuje rośliny z rabatek, a James nigdy nie słucha pani. Wyobraźcie sobie moje przerażenie, kiedy przed paroma dniami Paris wyszła z przedszkola i oznajmiła:

– Postanowiłam, że kocham Toma!

Oto DOWÓD. To leży w naturze wszystkich kobiet: kochamy niegrzecznych chłopców! Nie chodzi o wybór życiowej drogi, po prostu takie już jesteśmy! A ja nie stanowią wyjątku.

Ben jest za dobry, a ja jestem przerażona. Usiłuję to ubrać w słowa. Wiem, że sprawy w pewnym momencie przyjmą zły obrót; ten związek na dłuższą metę po prostu nie wypali. Zakochałam się po same uszy, ale nie mogę ryzykować, że znowu zostanę zraniona. W głębi duszy boję się też, że nie jestem dobrym człowiekiem. Skrzywdzę Bena, a nie chcę mu tego robić.

Chyba już nigdy nikomu nie zaufam. Zresztą nie chodzi tylko o mnie – chodzi także o Paris. Jej tato odszedł, kiedy była jeszcze za mała, żeby zrozumieć, dlaczego to zrobił. W końcu doszła do siebie, ale nie było jej łatwo. Teraz ma prawie cztery lata i jest o wiele bardziej świadoma otaczającego ją świata. Jeśli przedstawię jej Bena, Paris przywiąże się do niego, a kiedy on odejdzie, żadna z nas nie zniesie tego zbyt dobrze.

Stopniowo wszystkie demony w mojej głowie zaczynają dawać o sobie znać. Mój niepokój powoli narasta. Myślę o tym, jak zachowywał się James, i o bólu, którego mi w ten sposób przysporzył. Wiem, że Ben by tak nie postąpił – martwię się raczej o siebie. Za plecami Jamesa wdałam się w długie romansy. Już raz uległam pokusie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym zrobiła to samo Benowi, gdyby on musiał przechodzić przez to cierpienie. Nie zasługuję na takiego dobrego faceta. Cały nasz związek jest zbyt piękny, żeby był prawdziwy. Gdyby Ben znał moją prawdziwą naturę, na pewno chciałby ze mną zerwać. Spotykając się z nim nadal, postąpiłabym nieuczciwie, dlatego muszę z tym skończyć.

Ben wie, że coś jest ze mną nie tak. Od pewnego czasu odsuwam się od niego. Przystawiłam w sobie jakiś pstryczek i zmieniałam się w zimne, wyrachowane babsko. Uznałam,

że jeśli wystarczająco mocno zagram mu na nerwach, rozstanie będzie mniej bolesne.

– Pójdiesz ze mną na ten koncert, o którym rozmawialiśmy latem?

– Wtedy nie będziemy już razem – odpowiadam bez litości. Ben najpierw się wzdryga, a potem próbuje zbyć moje słowa śmiechem, ale ja nie jestem w nastroju do żartów.

– Co cię dzisiaj ugryzło? – pyta w końcu.

I właśnie wtedy daję upust wszystkim wątpliwościom i zmartwieniom. Wyznaję mu, co czuję, i mówię, że nie zniosę kolejnego rozstania. Zna mnie co prawda od niedawna, ale już na tyle dobrze, żeby przejrzeć mój plan. Domyśla się, że jestem dla niego zimna i oschła, bo chcę sprowokować rozstanie.

– Nie jestem dobrym człowiekiem – tłumaczę mu raz za razem. – Nie zasługuję na ciebie.

Opowiadam Benowi o romansie z Johnem i o tym, jak się zakończył. To chyba powinno mu uświadomić, że ma do czynienia z emocjonalną kaleką.

Tyle że Ben tego nie kupuje. Ciągłe powtarza, że ma to gdzieś. Wiedział już wcześniej o moim romansie, ale twierdzi, że mnie nie osądza. Rozumie, dlaczego to zrobiłam, i uważa, że w głębi serca dobry ze mnie człowiek. Gdyby mój mąż był tym, kim powinien, nigdy bym tak nie postąpiła.

Litości! Trudno mi nazwać świętą, która niechcący zbłądziła. Jak to możliwe, że Ben widzi we mnie tyle dobra?

Potem mówi, że ciągle umniejszam swoje dokonania i zgrywam głupią, chociaż tak naprawdę nie zna nikogo mądrzejszego. Przejrzał wszystkie moje sztuczki.

Odebrało mi mowę. Siedzimy na kanapie, a ja po prostu wpatruję się w jego piękną twarz. On odwzajemnia to spojrzenie, aż chce mi się płakać. Nie zasługuję na to wszystko. Ben utrudnia mi sprawę o wiele bardziej, niż sądziłam.

Naraz podrywam się i pędzę na górę po laptopa. Otwieram stronę internetową, na której prowadzę anonimowego bloga. Założyłam go podczas rozstania z Jamesem, żeby dać ujście swojemu cierpieniu. Przelewałam tam wszystko, co się wtedy działo, co myślałam i czułam, bez żadnych zahamowań. W swej ekspresji i szczerości mogłam posunąć się tak daleko, jak tylko chciałam, więc tak też robiłam. Opisywałam życie bardzo realistycznie. Dobre chwile, złe chwile i koszmary pomiędzy nimi. Gdzieś w sieci krążą teraz moje najgłębiej skrywane, najmroczniejsze przemyślenia. Nie należę do osób, które spisują coś na papierze, a potem puszczają z dymem. Moje działania musiały mieć cel i sens, a to właśnie dawał mi blog. Ben musi go zobaczyć. Wcale nie jestem świętą, która zgubiła drogę. Ten blog udowodni mu, że tak naprawdę jestem okropnym człowiekiem i z nim mogę postąpić równie brutalnie.

Wracam na dół i podaję mu laptopa.

– Zobacz sobie! – Po czym idę zaparzyć herbatę. Przeczytanie wszystkich wpisów zajmuje Benowi ponad dwie godziny. Przez cały ten czas nie odzywa się, jest całkowicie zaabsorbowany lekturą. Zerkając co chwila przez drzwi, uznają to raczej za zły znak.

Skończywszy, Ben zamyka laptopa i podchodzi do mnie.

– Chcesz odejść? – pytam.

– Jeśli choć przez sekundę sądziłaś, że to mnie odstraszy, to byłaś w błędzie. Cieszę się, że przeczytałem twojego bloga, i dziękuję, że się nim ze mną podzieliłaś. – Przytula mnie i z wysokości blisko dwóch metrów spogląda prosto w moje oczy, które wypełniają się łzami. – Popelniałaś błędy, jak my wszyscy. Już się mnie nie pozbędziesz, bez względu na to, co powiesz czy zrobisz. Wiem, na czym polega twój problem. Boisz się szczęścia, dręczy cię uczucie, że nie zasługujesz na to, co masz. To niezwykle – ale ty jesteś niezwykle osobą. Nie obchodzi mnie, kim byłaś w przeszłości. Wiem tylko, kim jesteś teraz, i właśnie taką cię kocham. Zrobiłaś ze mnie najszcześliwszego faceta pod słońcem, a to przecież dopiero początek. Nigdzie się nie

wybieram, nawet sobie tego nie wyobrażam. Więc przestań pleść bzdury. Rozumiem twój strach. Kiedy zaczniesz się bać, po prostu powiedz mi o tym i razem się z tym uporamy. Po to tu jestem. Niczego bym w tobie nie zmienił.

Łał. Rozumie wszystko i zostaje? Ponownie zapominam języka w gębie.

Aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, w jak wielki strach wpędzały mnie własne doświadczenia. Trudno znaleźć kogoś, kto nigdy nie zdradził. Niewierność mnie przeraża. Żyję w ciągłym lęku przed nią. Boję się, że zdradzę Bena, boję się, że Ben zdradzi mnie. Ironia losu, biorąc pod uwagę zawód, jaki uprawiam. Chociaż może właśnie to mnie w nim skusiło: chciałam się dowiedzieć, dlaczego ludzie zdradzają, i zyskać odrobinę kontroli nad sytuacją, doskonaląc swoje umiejętności detektywistyczne.

Większość mężczyzn wiałaby, gdzie pieprz rośnie, gdyby przyszło im stanąć twarzą w twarz z rozhisteryzowaną kobietą, która pokazuje im szczerą twarz bólu i próbuje z nimi zerwać, bo są dla niej „zbyt dobrzy”. Ben tymczasem podchodzi do tego spokojnie. Czym sobie na to zasłużyłam? Nie mam pojęcia.



# Wieczór kawalerski

Mój telefon odzywa się melodią przewodnią z *Napisala: Morderstwo*, a potem śpiewnym głosem z walijskim akcentem:

- Ach, dzieeeń dobry!
- Eee, dzień dobry! W czym mogę pomóc? – pytam, wpadając w lekką panikę.
- Szukam kogoś, kto mógłby śledzić mojiigo męża. Kciałabym wiedzieć, czy się tego podejmiecie i jile to bendzie kosztować.

Jedną dłonią ze wszystkich sił przyciskam telefon do ucha, drugą zaś pocieram skroń. Zabrzmi to dziwnie, ale na razie nie miałyśmy żadnych klientów z Walii, i boję się, że spartaczę zlecenie, jeśli coś źle zrozumiem. Ale z kolei prosić rozmówcę, żeby powtórzył ze sto razy, o co mu uchodzi, a potem i tak wszystko pomieszać, to byłoby żenujące. Na szczęście zaczynam rozumieć.

– Żaden problem. Podstawowa obserwacja kosztuje czterdzieści funtów za godzinę. A czego pani od nas oczekuje?

- Monż wybiera się na wieczór kawalerski w Brighton i kcę wiedzieć, co tem bendzie robił – odpowiada bardzo śpiewnie.
- Wieczór kowalski? – pytam, autentycznie zmieszana.
- Nieee, wieczór kowalerski. K o w a l e r s k i. Wie pani, taki przede ślubem.
- Bardzo przepraszam. Kiepsko sobie radzę z akcentami – przyznaję, decydując się na szczerłość.

Szczęśliwym trafem kobieta jest naprawdę miła, więc tylko się śmieje. Przez następne dziesięć minut próbujemy się dogadać. Na całe szczęście Karen, bo tak ma na imię, proponuje, że prześle mi informacje mailem. Kamień z serca, delikatnie mówiąc.

Po przeczytaniu, zrozumieniu i przemyśleniu treści maila nasze zadanie w końcu staje się jasne. Podejrzewany o niewierność mąż wybiera się do Brighton na wieczór kawalerski. Karen jest przekonana, że przy tej okazji ją zdradzi. Musimy go śledzić. Proste.

Przynajmniej zanosি się na przyjemną robotę. Nigdy nie byłam w Brighton. Postanawiam, że do tego zlecenia namówię Steph. W otoczeniu rzeszy mężczyzn, nad morzem, będzie w swoim żywiole. Kiedy dzwonię do niej, przyjmuje moją propozycję, wrzeszcząc z podekscytowania. Mówię, że wyruszamy za trzy dni. Zostało dość czasu, żeby mogła pójść na zakupy i zaplanować swoją garderobę – alleluja!

W bardzo słoneczny poranek przyjeżdżam po Steph, po czym ruszamy na południe. Czeka nas długa jazda, ale lepsze to niż podróż trzema pociągami i na koniec wynajmowanie samochodu. Ta opcja wydawała się nam bezsensowna i stresująca, a prawdopodobnie podróż zajęłaby nam tyle samo czasu. Potrzebujemy łącznie pięciu i pół godziny, czterech postojów na siusiu, sześciu sesji narzekania na temat facetów (głównie w wykonaniu Steph, chociaż i ja wtrącam słowo czy dwa o byłym mężu i utracie domu), trzech postojów na kawę, dwóch drzemek, jednej przerwy na lunch i jednej na poszukiwanie ładowarki samochodowej do laptopa, gdyż pod żadnym pozorem nie możemy przegapić kolejnego odcinka *Gotowych na wszystko*, w przeciwnym razie Steph znów zacznie narzekać na facetów.

Dojeżdżamy do zimnego, deszczowego Brighton – kto powiedział, że na południu jest słonecznie?

- Czy to nie miała być przypadkiem angielska riwiera? – pyta Steph z twarzą przyciśniętą do szyby, kiedy przejeżdżamy wzdłuż nabrzeżnej promenady i patrzymy na miasto skąpane

w deszczu.

– To nie Brighton, tylko Torquay, głupia! – mówię, na co ona się dąsa.

Tak jak nam doradziła obsługa hotelu, zostawiamy samochód na parking. Stamtąd, w strugach wody, musimy jakoś dotrzeć do celu. Nie mamy pojęcia, dokąd iść.

– Czekaj, sprawdzę w nawigacji. – Steph sięga do kieszeni po telefon. – W tamtą stronę.

Ciągnie za sobą walizkę w leopardzie cętki, tak wielką, jakby zamierzała spędzić tu trzy tygodnie, a nie trzy dni.

Opuszczamy parking. Leje teraz jak z cebra. Nie licząc nas dwóch, ulice świecą pustkami. Krople deszczu odbijają się od chodnika, ze sklepowych markiz przed nami pryska kaskada, a my wyglądamy jak po spływie kajakowym. Po czterominutowym spacerze dosłownie przemokliśmy do suchej nitki. Skręcamy w lewo i wtedy mina Steph sugeruje mi, że coś tu jest nie tak.

– Eee, poszłam w złą stronę – przyznaje potulnie, zawracając koło mnie z tą swoją walizką i ruszając w kierunku, z którego właśnie przyszliśmy. Jako ściśle kierownictwo firmy, postanawiam się nie odzywać, bo to, co w tej chwili ciśnię mi się na usta, trudno nazwać konstruktywną uwagą.

Zabłądziwszy jeszcze dwa razy, wyglądamy jak zmokłe kury, za to stoimy przed pięknym wiktoriańskim budynkiem przy nadmorskim bulwarze. Wchodząc do środka, czuję się zażenowana jak nigdy. Recepcja jest nieprawdopodobnie elegancka, wszędzie marmurowe podłogi i skórzane siedziska. Recepcjonistka patrzy na nas jak na kloszardów. Wcale jej się nie dziwię.

– Dzień dobry, chciałybyśmy się zameldować.

– Nazwisko proszę – odpowiada wyniośle. Gdyby kok na jej głowie był tylko minimalnie mocniej ściągnięty, odciałby jej zapewne dopływ tlenu do mózgu.

– Natalie Martin. – Przy meldunku nigdy nie podaję naszych prawdziwych nazwisk, na wypadek gdyby nasz klient w przypiływie szaleństwa zdradził swojej drugiej połówce, że wynajął prywatnych detektywów. Często się tego obawiam. Mówimy klientowi coś, co mu się nie podoba, on nas demaskuje, a nasz obiekt przychodzi, żeby nas zamordować. Dla własnego bezpieczeństwa posługujemy się więc fałszywymi nazwiskami. Dzięki temu przynajmniej nikt się nie dowie, który pokój jest nasz.

– Bec, co ty wyprawiasz? – szepcze do mnie rozbawiona Steph i wcale nie ma na myśli fałszywego nazwiska.

– Żebym to ja wiedziała. Chyba moja podświadomość uznała, że muszę nas dowartościować wytwornym akcentem – wyjaśniłam, kiwając w stronę Panny Sztyniary.

Sztyniara nie spuszcza nas z oka, drukując dokumenty meldunkowe. Steph próbuje rozmiękczyć ją uśmiechem, ale recepcjonistka odwzajemnia jedynie spojrzenie. Bez uśmiechu. Zastanawiam się, jakim cudem dostała tę pracę. Przecież powinna być miła dla gości. Zapłaciłyśmy – czy raczej nasza klientka zapłaciła – prawie dwieście funtów za dobę pobytu w tym hotelu. To z pewnością nie jest tania sieciówka!

– Pierwsze piętro, z windy korytarzem w prawo. Pokój numer dwieście piętnaście – recytuje Sztyniara, podając Steph dwie plastikowe karty magnetyczne.

– Och, dziękujemy, była pani TAKA pomocna – mówi Steph z naprawdę przesadnym uśmiechem. Obraca się na pięcie, łapie za leopardzią walizkę i drobnym kroczeniem rusza do windy. Idę za nią, chichocząc pod nosem.

– Nadęta krowa! – rzuca Steph, wciskając guzik.

Nasz pokój jest przepiękny. Osobliwy wybór na wieczór kawalerski. Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że wylądujemy w jakimś tanim pensjonacie ze śniadaniem w cenie. Zamiast

tego mamy piękny pokój z widokiem na morze. Ściany są wyłożone drewnem, które jest zwykle zarezerwowane dla podłóg. Z jakiegoś powodu tutaj trafiło na ściany i wygląda świetnie. Bogu dzięki, mamy podwójne łóżka, z szeleszczącą pościelą i skórzanymi zagłówkami.

– No, może być – stwierdza Steph, zakładając biały szlafrok i kaptcie do kompletu, po czym rzuca się na posłanie.

Jest tu mnóstwo miłych dodatków, w tym darmowy minibar i filmy na żądanie. Na zewnątrz leje deszcz, poza tym mamy za sobą jakiś milion kilometrów, więc postanawiamy zostać w pokoju. Rano czeka nas wczesna pobudka, a karta dań serwowanych do pokoju wygląda obiecująco.

Tego wieczoru jemy u siebie trzydaniową kolację przy stoliku z widokiem na morze. Ja zamawiam wędzonego łososa z przybraniem, pieczeń jagnięcą z pieczonymi ziemniakami, a na deser suflet czekoladowy. Kiedy ludzie opowiadają, jaka to prestiżowa jest praca prywatnego detektywa, my przewracamy oczami i zaprzeczamy uparcie. To chyba jedna z takich chwil, które mają wtedy na myśli. Tak, z pewnością robi wrażenie.

Po cudownej nocy budzik wyrywa nas ze snu o szóstej rano. Musimy być na nogach bardzo wcześnie, na wypadek gdyby panowie zrobili nam niespodziankę i chcieli się zmyć o świcie.

– A tak w zasadzie co się dzisiaj będzie działo? – pyta Steph, walcząc z prostownicą do włosów.

– Nie jestem pewna... Wiem tylko, że zaplanowali na dzisiaj jakieś zajęcia.

– I tyle?

Słyszę niepokój w jej głosie. Nigdy nie możemy założyć, co się wydarzy podczas zlecenia. Większość detektywów twierdzi, że trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność, ale to w rzeczywistości niewykonalne. Klientka nie potrafiła powiedzieć, co mężczyźni będą dzisiaj robić, więc skąd my mamy to wiedzieć?

– No wiem, kiepska sprawa, ale musimy płynąć z prądem.

Dwadzieścia minut później jesteśmy już gotowe. To bardzo ważne, abyśmy na tak wczesnym etapie naszej trzydniowej misji nie zostały zauważone przez obiekt. W hotelu to mniej istotne. Kiedy człowiek w nim mieszka, pod koniec dnia bez przerwy na kogoś wpada. Ale jeśli w mieście natyka się wciąż na te same osoby, zaczyna nabierać podejrzeń. Tego ranka staniemy na głowie, żeby nie wyróżniać się spośród gości, potem jednak musimy się dobrze zamaskować. Dlatego zabrałam z nami Narnię – czyli bagażnik pełen maskujących cudów.

Schodzimy do holu i stwierdzamy, że możemy siedzieć w jednym z dwóch miejsc – nasz obiekt chcąc nie chcąc będzie musiał nas minąć, zanim opuści budynek. Innej drogi nie znajdzie. Najlepiej będzie, jeśli ja obstawię jedno miejsce, a Steph drugie.

Steph zostaje w holu, a ja idę po samochód, żeby zaparkować go na zewnątrz, na wypadek gdyby panowie postanowili skorzystać z taksówki. Sęk w tym, że przed hotelem nie ma parkingu, dlatego znów porzucam auto w niedozwolonym miejscu, licząc na to, że miejscowa drogówka nie jest zbyt czujna. Potem siadam w recepcji w pobliżu głównych drzwi. Nagle słyszę brzęczenie mojej komórki.

„STEPH: Właśnie idą na ŚNIADANIE! Jestem głooooooodnaaaaaaaa!!!”.

Podnoszę głowę. Cała dziesiątka mija mnie właśnie w drodze do restauracji. Nasz obiekt idzie z tyłu razem z kumplem. Steph trzyma się kawałek za nimi i gestem daje mi znać, żebym poszła za nią. Przyznaję – więcej mi nie trzeba.

Zajmujemy stolik za kolumną, gdzie żaden z nich nas nie zobaczy. Obydwie zamawiamy pełne angielskie śniadanie – w tej branży nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy przytrafi się kolejna okazja, żeby wrzucić coś na ząb. Po kwadransie posiłek stoi już przed nami, ale pięć minut

później nasz obiekt zaczyna się przemieszczać.

– Niech to szlag – mamrocze Steph z ustami pełnymi bekonu, kielbasek i sosu pomidorowego. Ciska sztućce na stół i wstaje. Ja nic nie mówię, porzucam jednak swój cudowny, ledwo tknięty posiłek i natychmiast wychodzę bocznymi drzwiami, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego z obiektem. Odwracam się jeszcze i widzę, jak Steph zawija kielbaski w serwetkę, po czym rusza za mężczyznami.

Siedzę w samochodzie z włączonym silnikiem. Grupa zbiera się przed hotelem. Domyślam się, że czekają na taksówkę. Steph jak gdyby nigdy nic przechodzi przez jezdnię, otwiera drzwiczki i siada z tyłu.

– Zamówili taksówkę – stwierdza.

– Cóż za dedukcja, Sherlocku. – W tej samej chwili podjeżdża minibus, wszyscy do niego wsiadają i ruszamy w drogę.

– Kielbasę? – proponuje Steph, podtykając mi jedną.

– Chyba podziękuję.

– Twoja strata.

Minibus zatrzymuje się przed wysokim budynkiem. Nigdzie nie widać żadnego szyldu, dlatego nie wiemy, co to za miejsce.

– Hm, ciekawe – zauważa Steph. – Ma z piętnaście pięter. Jak myślisz, co tu jest?

Odpowiadam, że nie mam bladego pojęcia, ale zaraz się tego dowiemy. Obiekt wchodzi do środka, pozostaje zatem tylko ruszyć za nim. Gdyby to był film, w tym momencie w tle zaczęłaby lecieć jakaś głupawa melodia. Obiekt idzie, my czekamy, biegniemy, patrzymy, czekamy, biegniemy, patrzymy. Chowamy się za rogiem, za drzwiami, za czymkolwiek. Dowolnemu obserwatorowi (oby się żaden nie trafił) nasze zachowanie zapewne wydaje się absurdalne – ale jak mus, to mus.

Panowie mijają pierwsze podwójne drzwi, potem drugie i trzecie, ostatnie. Zanim się orientujemy, jesteśmy już w pomieszczeniu, które przypomina nieczynną fabrykę na tyłach budynku.

– Gokarty! – stwierdza Steph i kiwa przy tym głową, jakby wiedziała to od samego początku.

– Dziewczyny! Chcecie do nas dołączyć? – zagaduje nas bardzo miły człowiek. Stoi za kontuarem, za którym znajdują się kombinezony. Najwyraźniej tutaj pracuje. Ma na sobie wymyślny uniform.

– Czy my wyglądamy na wielbicielki gokartów? – pytam, unosząc przy tym brew i nachylając się nad ladą.

Zanim cokolwiek odpowie, odwracam się i widzę, że obiekt i jego kumple zmierzają w naszą stronę. Patrzą w lewo, w prawo – nie mamy dokąd uciec. Steph odwraca się do faceta w uniformie.

– Niech pan da dwa kaski, w te pędy!!!

Mężczyzna widzi, że to nie żarty, i niemal je nam rzuca. W ekspresowym tempie wciskamy je na głowę i stoimy tak, patrząc na siebie.

– Wyglądam jak łyżka – stwierdza Steph.

– Ja też.

Mijając nasz obiekt, przechodzimy na drugą stronę toru gokartowego. Znajdujemy sobie miejsce, gdzie możemy usiąść, i spędzamy tam następne dwie godziny, patrząc, jak obserwowany mężczyzna śmiga po torze w tę i z powrotem. Na wszelki wypadek nie zdejmujemy kasków.

Grupa przechodzi do baru, gdzie siedzi przez trzy godziny. Łącznie spędzamy w centrum

gokartowym sześć godzin. I to wszystko.

Raz jeszcze panowie wychodzą na zewnątrz i znikają w minibusie, który czekał na nich przez cały ten czas. Jedziemy za nimi z powrotem do miasta, gdzie też nie robią zbyt wiele. Prawdę mówiąc, wracają do hotelu, przebierają się i schodzą do baru.

My siedzimy przed restauracją. Dzięki przeszklonej ścianie możemy ich obserwować, a oni nie zdają sobie z tego sprawy. Mijają kolejne dwie godziny. Idę do samochodu i odkrywam, że za wycieraczką czekają aż trzy mandaty za nieprawidłowe parkowanie. Ryzyko zawodowe, ale i tak boli! Muszę pamiętać, żeby w przyszłości doliczać je, co najmniej dwa, do każdego zlecenia.

Steph właśnie zaczyna przysypiać, kiedy panowie najwyraźniej zbierają się do wyjścia. Obiekt bardzo szybko opróżnia swój kufel z piwem. Rozpoznaję ten sygnał, dlatego czym prędzej lecę do wyjścia.

Kiedy wychodzą głównymi drzwiami, siedzę już w aucie i rozmawiam przez telefon ze Steph, która czai się w jednym z korytarzy.

– Wygląda na to, że wybierają się gdzieś pieszo. Skręcili w lewo, w alejkę obok hotelu.  
– Niech to diabli – rzuca, gdy wyszedłszy na zewnątrz, zdaje sobie sprawę, co znajduje się na końcu alejki, którą maszerują. To około stu stopni prowadzących do pasażu w centrum miasta. – Widzisz, Rebecca, właśnie dlatego powinnaś opłacić nam karnet na siłownię. Nie mam kondycji na taką wspinaczkę.

Schody są wąskie, a nasz klient i jego kumple już w połowie drogi. Steph musi się spieszyć, bo możemy ich zgubić. Niestety, nie mogę iść z nią, ponieważ jedna z nas musi podjechać tam, dokąd dotrą. Po kolejnym postoju mogą wsiąść do taksówki, bez samochodu miałybyśmy związane ręce. Ludziom się zdaje, że to powszechne zjawisko, ale naprawdę nie zawsze można tak po prostu złapać taryfę i krzyknąć: „Za tym samochodem!”.

Steph pokonała już około trzydziestu stopni.

– Nienawidzę cię teraz, świnio.

– Dalej, Steph. Dasz radę.

– CHOLERNA PROTEKCJONALNA KROWA. – Nie jest szczęśliwa.

Cel zniknął jej z oczu, więc musi się spieszyć.

– Dalej, Steph!

– Mam tak kiepską kondycję, że to aż śmieszne.

Obserwując ją z dołu, widzę, jak zbiera wszystkie siły i rusza niczym armia przypuszczająca szturm.

– Świetnie, już tylko kawałek – dodaję jej otuchy.

Steph spogląda na mnie i w wymownym geście unosi środkowy palec.

– Jeśli się zaraz nie zamkniesz, to zleżę po tych schodach, bo to o wiele łatwiejsze niż wspinanie się dalej, i wsadzę ci ten telefon w gardło. Odwal się i sprawdź, dokąd prowadzą te cholerne schody.

– Okej, ale całą tę energię, którą właśnie zmarnowałaś, ciskając na mnie gromy, mogłaś spożytkować na dalszą wspinaczkę.

Rozłącza się, ignorując moje słowa. Nie będę kłamać – bardzo się cieszę, że padło na nią, a nie na mnie.

Mijam hotel i jadę dalej jednokierunkową ulicą. Zawsze uważałam, że jednokierunkowe ulice to koszmar. W dziewięciu przypadkach na dziesięć człowiek najchętniej pojechałby pod prąd – rozgląda się i widzi, gdzie chce dotrzeć, ale nie może, musi jechać dokoła, po czym potrzebuje dwudziestu minut, żeby znaleźć drogę powrotną do punktu, z którego wyruszył. A jeśli na dodatek nie zna miasta, to niech Bóg ma go w swojej opiece.

Na szczęście tym razem nie jest zbyt trudno. Jedyny problem polega na tym, że Steph zaraz trafi do strefy otwartej tylko dla ruchu pieszego. W żaden sposób nie mogę jej pomóc. Teraz jest zdana wyłącznie na siebie.

Dziesięć minut później dzwoni telefon.

– Zgubiłaś ich? – pytam.

– Nie.

– Gdzie jesteś?

– Nie mam pojęcia.

– Super. Co tam widzisz?

– Puby.

– No dalej, podsuń mi jakiś trop. Co jeszcze?

– Jeszcze więcej pubów.

– Okej, nieważne. Zaraz cię znajdę.

Ten problem powtarza się dość często, kiedy jesteśmy w mieście, którego w ogóle nie znamy. Dlatego zainstalowałyśmy w komórkach lokalizator. I kłopot z głowy. Szkoda, że nie możemy zrobić tego samego z telefonami klientów!

Odpalam laptopa i dokładnie namierzam pub, w którym przebywa Steph. Dotarcie na miejsce zajmuje mi sześć minut. Steph chowa się za rośliną doniczkową, przestępując z nogi na nogę.

– A tobie co?

– Muszę siuuusiuuu.

Pewnego dnia wynajdę urządzenie toaletowe dla prywatnych detektywów. Ciągłe sobie obiecuję, że się tym zajmę. Tymczasem obiekt w towarzystwie dwóch kumpli siedzi przy stoliku przed innym pubem.

Swobodnie wchodzimy do pubu, znikając obiektowi z pola widzenia. Gdy już jesteśmy za drzwiami, Steph pędzi do łazienki, a ja siadam w pobliżu frontowego okna. W knajpie jest tak ciemno, że obiekt mnie nie zobaczy. Wyciągam najmniejszą z naszych kamer i rejestruję parę ujęć. Radosna Steph wraca z toalety.

– Lepiej?

– O wiele, dziękuję!

Zanim się obejrzałyśmy, przy naszym stoliku siedzi pięciu mężczyzn. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że w pubie aż roi się od ludzi. Tyle że cała piątka jest przebrana za członków Village People w teledysku do *YMCA*.

– Możemy się dosiąść?

– Jasne, złotko. – Każda przykrywka jest dobra, chociaż w tym przypadku zamiast lepiej wtopić się w tłum, równie dobrze możemy ściągnąć na siebie uwagę.

Trzy godziny później nasz klient wciąż siedzi w tym samym pubie, ale przeniósł się do środka. Ekipa z *YMCA* to teraz nasi najlepsi kumple. Przyjechali z Glasgow na wieczór kawalerski. Dowiedziałyśmy się, że: przyszły mężuś przygruchał sobie jednak jakąś brzydką pannę i stracili go z oczu (zapamiętać: przesłać jego przyszłej małżonce naszą wizytówkę!), budowlaniec bardzo kocha swoją mamusię, wszyscy z wyjątkiem jednego są zajęci, nienawidzą Brighton, ich ulubiony trunek to guinness, żalują, że nie pojechali do Irlandii, mieszkają w hostelu, nie cierpią hostelu, chcą wkręcić się bez zaproszenia do naszego hotelu (trochę się martwię, że naprawdę to zrobią)... Zanim przechodzą do bardziej intymnych zwierzeń, nie bez ulgi stwierdzam, że nasz obiekt znowu się przemieszcza. Trącam Steph.

– Chłopcy, było byczo – mówi, kiedy się podnosimy.

– Chwila, a wy dokąd? – pyta gliniarz (Tony).

- Jeszcze nie wiemy. – Steph dopija drinka.
- W takim razie idziemy z waaamiii! – oznajmiają radośnie, bardzo zadowoleni z siebie.
- Suuupeeer.

Czeka nas długa wyprawa w ślad za obiektem aż do... pubu obok!

Mijają kolejne godziny. Jest już ciemno. Nic tylko siedzimy i patrzymy, jak facet pije.

Budowlaniec rozkleja się i wywnętrza przede mną bełkotliwie:

– Po śmierci taty moja mamusia była prawdziwym aniołem. Niezwykła kobieta. Ja kiepsko sobie radziłem. To było takie smutne, straciłem najlepszego przyjaciela... Ale mamusia świetnie mi go zastępuje.

Postawili nam cztery kolejki, z których nie wypiął ani jednej. Nie byli w stanie pojąć, że prowadzę, dlatego pierwszą podlałam roślinkę za swoimi plecami, dwie wypiął za mnie Steph, ostatnia zaś wciąż stoi przede mną.

Bohater wieczoru kawalerskiego w końcu się znajduje. Zwierza nam się ze swoich wyczynów z brzydulą. Poszli do hostelu – to się nazywa klasa. Facet zaczyna opowiadać Steph o zbliżającym się małżeństwie. Nie jest do końca pewien, czy dobrze robi. Czuje się do niego zmuszany.

Ciągle próbują z nas wyciągnąć, czym się zajmujemy, a my wciąż unikamy odpowiedzi.

Obiekt po raz kolejny się przemieszcza... Wstajemy, a mężczyźni znowu chcą wiedzieć, dokąd się wybieramy, lecz tym razem Steph wyciąga z torebki jedną z naszych ulotek.

– Chcecie wiedzieć, czym się zajmujemy? Proszę bardzo. – I kładzie kartkę na stole.

Ich miny są bezcenne.

– O mój Boże – rzuca jeden z nich.

– Rozpracowywałyście mnie? – Przyszły pan młody jest zaniepokojony i głęboko wstrząśnięty.

– Nie, skarbie. Gdybyśmy rozpracowywały ciebie, nawet byś nas nie zauważył. Nie masz tyle szczęścia.

Steph wychodzi.

– Chociaż na twoim miejscu nie mówiłabym nikomu, co wyprawiasz za plecami narzeczonej – dodaję. – My ciebie nie śledziłyśmy, ale nigdy nie wiesz, czy nie robi tego jakaś inna przypadkowa dziewczyna, z którą właśnie sobie miło gawędzisz. – Uśmiecham się szeroko i szczypię go w policzek.

Steph wykonała ryzykowny, ale przekomiczny numer. Powinnam się wściec i w innej sytuacji bym to pewnie zrobiła. Uważam jednak, że przysłemu panu młodemu przyda się taka nauczka, poza tym nie groziło nam żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej, Steph obiecuje, że więcej tego nie robi.

Znowu wędrujemy za naszym obiektem od pubu do pubu i od pubu do klubu. Piją już od jakichś szesnastu czy siedemnastu godzin. W głowie mi się nie mieści, jakim cudem jeszcze stoją o własnych siłach. Z nudów zaczynamy głupieć. Jestem pewna, że złamałyśmy jakiś europejski przepis, pracując zbyt długo bez przerwy. Kolejnym problemem podczas obserwacji jest jedzenie. Cóż, w każdym razie to dobre. Łapiemy wszystko, co możemy i kiedy możemy. Do tej pory udało mi się pochłonąć trzy paczki chipsów i czekoladowy batonik, a nic nie wskazuje na to, żeby imprezowa grupa, za którą podążamy, planowała zjeść coś porządnego! Nienawidzę takich dni. Kiedy żywię się samymi śmieciami, czuję w ustach paskudny smak. Ale nic nie możemy na to poradzić.

O piątej nad ranem nasz obiekt stoi na tarasie klubu nocnego. Jest tak pijany, że nie widzi dalej niż czubek własnego nosa. Sprowadziłam samochód i stanęłam w niedozwolonym miejscu przed pubem. Steph wsiada do środka i śledzi obiekt przez lornetkę. Ochrona przy drzwiach

obserwuje nas niczym jastrzębie. Nasz samochód rzuca się w oczy – sportowa bryka z najwyższej półki, z przyciemnionymi szybami. I chociaż narażam się przez to na złośliwe komentarze, wychodzę z założenia, że podczas rozpracowywania nieznanej jednostki możemy potrzebować szybkiego samochodu z silnikiem o dużej mocy. Na jego widok niejeden unosi brew, ale moim zdaniem gra jest warta świeczki.

Bramkarze rozmawiają z policją, wskazując na nas. Cudownie. Nie mogę odjechać, bo to by wyglądało naprawdę podejrzanie. Poza tym przy pierwszej sposobności i tak by nas zatrzymali.

Podchodzi do nas gliniarz.

– Dobry wieczór paniom.

– Dobry wieczór, panie władzo – odpowiada zalotnie Steph. Gromię ją wzrokiem. Nie pora na takie numery.

– Dlaczego parkujecie tu tak długo, w dodatku w niedozwolonym miejscu? – pyta, zresztą całkiem słusznie.

– Wyjaśnię panu, jeśli obieca pan, że nikomu nie powie – mówię, licząc, że sprawy zmierzają w dobrym kierunku.

– Zależy, co takiego usłyszę.

Wyciągam naszą ulotkę i wizytówkę.

– Prywatni detektywi? – Najwyraźniej go to rozbawiło.

– Obawiam się, że przyłapał nas pan na gorącym uczynku. Nasz klient przebywa tam. –

Wskazuję ogródek piwny.

– A niech mnie. Co przeszkrobał?

– Jest podejrzany o niewierność małżeńską – odpowiadam ze śmiertelną powagą.

– Wywinął coś?

– Nic a nic, a śledzimy go od siedemnastu godzin! – skarżę się, licząc na współczucie.

– Więc jeśli każe wam teraz odjechać, położę wam całe śledztwo?

– Coś w tym stylu – przyznaję. Steph trzepocze rzęsami.

– Cóż, w takim razie nie mogę chyba narażać waszego śledztwa na szwank, prawda?

Postarajcie się tylko nie parkować w niedozwolonych miejscach. Nie pomogę wam, jeśli zjawi się drogówka.

Co za ulga!

– Och, dziękujemy, panie władzo. To bardzo miło z pańskiej strony – mówi Steph.

– Mogę zatrzymać wizytówkę?

– Oczywiście.

Kłania się nam na pożegnanie, po czym wraca do bramkarzy. Najwyraźniej mówi im o nas, bo wszyscy odwracają się w naszą stronę i wybuchają śmiechem, unosząc kciuki.

Godzinę później... wciąż tkwimy w miejscu. Nie tak dawno widziałam w telewizji ciekawą reklamę. Na podjeździe jakiegoś domu stało auto znanej firmy. Nagle z domu wybiegł chłopiec przebrany za Dartha Vadera z *Gwiezdných wojen*. Wyskoczył przed maskę, po czym wskazał na światła. Dokładnie w tej samej chwili jego ojciec odpalił samochód pilotem. Dzieciak odskoczył zdumiony, jakby to była prawdziwa magia!... No to proszę, siedzimy sobie teraz przed ogródkiem piwnym, gdy naraz przed naszą maską wyskakuje dorosły facet w przebraniu Dartha Vadera i wskazuje na światła. Migam. Odskakuje, a wszyscy w ogródku piwnym biją brawo. Co prawda nie potrzebujemy tego rodzaju uwagi, ale przynajmniej było wesoło.

Te dwa drobne incydenty to jedyne zabawne przerywniki podczas wielu godzin bardzo nudnej obserwacji. Na szczęście niedługo potem spomiędzy bramkarzy chwiejnym krokiem wyłania się nasz obiekt. Jest sam, słania się na nogach i potyka. Ku naszemu zdumieniu po tyłu



godzinach wlewania w siebie alkoholu wciąż jeszcze jako tako trzyma pion. Ja wylądowałabym już w szpitalu!

Steph wysiada z samochodu. Przebrała się na tylnym siedzeniu – ma teraz na sobie czarny strój pasujący do butów na płaskim obcasie. Takie obuwie zawsze sygnalizuje, że noc dobiegła już końca, a my mamy serdecznie dość, marzymy tylko o łóżku i nic nas nie obchodzi, jak wyglądamy. Od czterech godzin nie poprawiałyśmy makijażu!

Obiekt idzie – nie, zatacza się – skręca w boczną alejkę, wraca znowu na główną drogę, opiera się o mur i wymiotuje, przechodzi alejką, znowu mija bar, w którym już był, skręca w inną boczną alejkę... A Steph przez cały czas depcze mu po piętach.

Wysłała mi wiadomość:

„Nie możemy go po prostu wrzucić do bagażnika? On się ewidentnie zgubił!”.

„Nie! Za nim!”

To moja jedyna odpowiedź. Jestem poirytowana. Minęło już czterdzieści minut, odkąd wyszedł z baru! Ostatecznie trafia jednak do hotelu, a nas ogarnia bezbrzeżna ulga. Wraca do swojego pokoju, a my do swojego. Po długim, nudnym i irytującym dniu padamy i zasypiamy w ciągu kilku minut.

Następny wygląda mniej więcej tak samo. Nic interesującego. Bawiłybyśmy się o wiele lepiej, gdybyśmy śledziły grupę kobiet! Zjadłybyśmy wtedy coś porządnego, odwiedziły spa, zaliczyły kurs pieczenia babeczek... Och, co za ogrom możliwości! Zamiast tego łazimy za tym gościem!

Panowie aż do południa nie wyściubiają nosa z hotelu, ale my musimy być gotowe do akcji już o dziewiątej trzydzieści. Tak, spałyśmy niewiele ponad trzy godziny, a teraz czeka nas cały długi dzień pracy. Spędzamy go, raz jeszcze wędrując od pubu do pubu. Steph zastanawia się, czy nie zabrać ze sobą robótki ręcznej! Nasz obiekt wytacza się z ostatniej knajpy o trzeciej nad ranem, po czym raz jeszcze przez czterdzieści pięć minut próbuje znaleźć drogę do hotelu.

Następnego dnia wstajemy o ósmej. Wiemy, że panowie wracają dzisiaj do domu, ale nie znamy dokładnej godziny. Musimy być gotowe na każdą ewentualność!

Teraz możemy już sobie darować dyskrecję. Siedzimy na przeciwnych krańcach dużego stołu nieopodal recepcji, dwa wydrenowane z energii zombie, niezdolne nawet do rozmowy. W okularach przeciwsłonecznych pijemy bardzo mocną kawę. Na szczęście słońce wpada do środka przez okno, dlatego nie robimy z siebie aż takich idiotek. Nawet nie nałożyłyśmy makijażu, co najlepiej świadczy o powadze sytuacji. Wyglądamy koszmarnie. Poprzestałam jedynie na bardzo cienkiej warstwie samoopalacza i korektorze rozświetlającym. I tyle! Odkąd skończyłam jedenaście lat, nigdy nie wyszłam z domu bez pełnego makijażu. No, tylko raz, kiedy miałam trzynaście lat i poszłam do szkoły z potężnym bólem brzucha i okropną gorączką. Dwa dni później leżałam w szpitalu, gdzie usunięto mi wyrostek. Niewiele brakowało, żeby pękł. Ale tamta sytuacja była ekstremalna, co tłumaczyło brak makijażu. To samo teraz. Z ostatnich pięćdziesięciu godzin przespałyśmy zaledwie sześć i pół, a teraz stoimy przed perspektywą kolejnego dnia wytężonej pracy. To jakaś kpina!

– Nigdy więcej nie biorę się do takiej roboty bez większego zespołu, Bec! – mamrocze Steph.

– Pełna zgoda.

Nie przyszło nam do głowy, że będzie tak ciężko. Kilka dni poza domem, kilka nocy na mieście – sądziłyśmy, że na tym koniec. Ale ci panowie wlewają w siebie alkohol z prawdziwym oddaniem. Zaczynają rano i nie przestają, dopóki nie padną bez życia.

Zjawiają się wszyscy jednocześnie. Steph delikatnie zsuwa na nos okulary, chcąc się upewnić, że naprawdę widzimy to, co nam się wydaje, a potem przystępujemy do wymiany

SMS-ów.

STEPH: „To oni!”

JA: „Wiem, głupia”

STEPH: „Siedzą koło mnie”

JA: „Widzę. Nie śpię przecież. Słyszysz coś?”

STEPH: „Bramkarze złamasy. Nie wpuścili ich wczoraj do klubu”

JA: „Bo byli nawaleni”

STEPH: „Jeden z nich wdał się w jakąś bójkę”

JA: „Ziew”

STEPH: „Za dziesięć minut zaczyna się Sky Sports”

JA: „Podwójny ziew”

STEPH: „David uderzał do jakiejś sikorki”

JA: „Serio? Wszyscy są zajęci”

STEPH: „Olała go”

JA: „To jakiś absurd. Wysyłamy sobie SMS-y, chociaż siedzimy przy jednym stole”

STEPH: „Zgadzam się. Teraz w telewizji będzie jakaś drużyna piłkarska”

JA: „Nie chcę patrzeć, jak oglądają cały mecz, nie wytrzymam tego”

STEPH: „Teraz gadają o pracy”

JA: „Idę do samochodu”

STEPH: „Jeden z nich powiedział, że podobają mu się twoje włosy”

JA: „Kretyn”

STEPH: „Zbierają się! Lotnisko!”

JA: „Samochód! Natychmiast!”

Wsiadamy do auta i czekamy. Opuszczają hotel z bagażami. Jeden z nich, niski, przysadzisty koleś, podchodzi do nas.

– Urocze panie! Czy jesteście naszą taryfą?

– Przykro mi, ale nie.

– A czy mimo wszystko mogłybyście zabrać mnie i mojego przyjaciela? Byłybyście najpiękniejszymi taksówkarzami w naszym życiu.

– Ooo. Niestety, nic z tego. Czekamy na koleżankę – odpowiadam z uśmiechem.

Dziękuję i się zmywa. Podjeżdża minibus, a my śledzimy ich aż na lotnisko. Zlecenie wykonane.

Już w domu rozmyślały nad całą sytuacją. Nasza klientka była przekonana, że mąż ją zdradzi. My chyba też. Historia stara jak świat. Ludzie boją się, że podczas nocy na mieście partnerzy nie dochowują im wierności. Wieczór kawalerski wzbudza szczególny niepokój, bo ma być „ostatnim wieczorem wolności”. W teorii oznacza to, że wszystko może się zdarzyć. Podejrzewam, że niejeden mężczyzna zbacza z drogi cnoty w trakcie swojego wieczoru kawalerskiego. Ale prawdą jest, że podczas takich nocnych wypraw rzadko dochodzi do zdrady, a wszystko to z powodu spożywanego alkoholu. Jednorazowe skoki w bok prawdopodobnie należą do rzadkości, poza tym największy problem zaczyna się wtedy, kiedy między ludźmi tworzy się więź i przeradza w romans.

Ci faceci zrobili sobie wolne z dala od wszelkich znajomych i mogli kierować się tą samą filozofią co gwiazdy rocka: „Co dzieje się w trasie, zostaje w trasie”. W razie czego kryliby się nawzajem. Mieli wolną rękę.

A mimo to nie zrobili absolutnie nic, nie licząc picia, picia i jeszcze raz picia. Gdyby ryby przyjmowały tyle płynów, już dawno by się potopiły. Nie rozmawiali o niczym ciekawym, w ogóle nie zauważali przedstawicielek płci przeciwnej!

Może to my, kobiety, z góry posądzamy facetów o najgorsze? Uznajemy ich za winnych, zanim zdążą dowieść swojej niewinności? Chyba tak właśnie było w tym przypadku. Ja na pewno zmieniłam zdanie na temat wieczorów kawalerskich. Faceci po prostu świetnie się bawili. A skoro o tym mowa – ktoś powinien uciąć sobie z nimi pogawędkę na temat uzależnienia od alkoholu!

## Czyżby załamanie?

– Dzieeeeeeeeeń dobry, Bec! – po drugiej stronie słuchawki słyszę bardzo wesoły głos. Jest poniedziałek, godzina siódma rano, nic więc dziwnego, że nie skaczę pod sufit z radości. Rozmówczyni najwyraźniej mnie zna, bo zwraca się do mnie po imieniu. – Śpisz? – pyta.

– Tak – odpowiadam zrzędliwie.

– Nie jestem zaskoczona. – A zatem wcielona wesołość dobrze mnie zna. Hm.

– Przyjaciel mojej mamy potrzebuje pomocy i pomyślałam sobie, że nadasz się w sam raz. – Mgła pomału zaczyna się unosić i dociera do mnie, do kogo należy głos. Do Toni – pracowała z nami parę razy, przyjaźnimy się od kilku lat. Cudowna dziewczyna.

– Wybacz, skarbie. Z początku cię nie rozpoznałam. Wiesz, ja i ten mój sen!

– Oczywiście, bez obaw! Wracając do sprawy... Przyjaciel mojej mamy.

– Tak, tak. Opowiadaj, w czym rzecz.

– Cóż, nie jestem pewna, czy mi uwierzysz. To trochę dziwna historia.

– Szczerze? Nie sądzę, żeby cokolwiek zdołało mnie jeszcze zaskoczyć!

– Przyjaciel mojej mamy ma za żonę kobietę z Brazylii. Tak się złożyło, że przyleciała tutaj i mieszkali razem przez ostatnich parę lat. A teraz ona dała nogę... z ich zwierzakiem! I on chce ją znaleźć.

– Nie widzę w tym nic dziwnego! – mówię ze śmiechem, chociaż nie wiem, czy powinnam chichotać.

– Podesłać ci jego adres mailowy?

– Jasne, dawaj. Zobaczymy, czego oczekuje.

Kończymy rozmowę, a mnie wciąż jest wesoło. Wspomniany dżentelmen najwyraźniej ma na imię Phillip. Wysyłam mu maila, po czym przewracam się na drugi bok i zasypiam. Kiedy budzę się w końcu o przyzwoitej porze – około jedenastej – zastanawiam się, czy ta rozmowa przypadkiem mi się nie przyśniła. Mam na sobie koszulę nocną z Dzwoneczkiem, bo Paris ją uwielbia. Przecieram oczy i idę do komputera, po drodze wpadając na to i owo. Dźwięk, z jakim opadam na krzesło, daje mi do myślenia, czy przypadkiem nie powinnam przejść na dietę. Naprawdę, siadając, hałasuję niczym mały słoń.

Dostałam odpowiedź od Phillipa – a więc to na pewno nie był sen. Czytam ją i dochodzę do wniosku, że facet jest nieśmiały i nieco introwertyczny. Trochę mu współczuję. Otworzył przede mną serce, opowiedział mi o swoim związku i tym, co sprawiło, że znalazł się w takiej, a nie innej sytuacji. Zwierzył mi się z całego życia, ale w każdym jego słowie można dostrzec pewną nerwowość i niepewność. Phillip sprawia wrażenie człowieka o złożonej osobowości, który ma skomplikowany problem. A może po prostu ma złamane serce i nie potrafi tego ukryć?

Przez następne parę dni wymieniamy maile. Chce się z nami spotkać. Zwykle nie kontaktujemy się osobiście z klientami ze względów bezpieczeństwa. Phillip nie stanowi jednak zagrożenia, nie mam co do tego wątpliwości. A co najważniejsze, zna jedną z nas. Dlatego się zgadzam.

Trzy dni później czekam pod domem Steph.

– Dzień dobry, ptaszyno – mówi, pakując się do samochodu z trzema torebkami, dwoma swetrami, kilkoma sukienkami, parą legginsów, dwiema bluzkami, buteleczką lakieru do paznokci i kosmetyczką w dłoni.

– Steph, co ty wyprawiasz? – pytam, zdumiona ilością rzeczy, które rzuca na tylne siedzenie.

– Przypomnij mi, po co ja tu jestem?  
– Hm, bo jedziemy na spotkanie z klientem, którego zostawiła brazylijska żona.  
– Ooooooooooch. Racja.  
– A ty co myślałaś?  
– Cóż, szczerze mówiąc, to nic. Byłam pijana, kiedy zadzwoniłaś. Obudziłam się rano i zobaczyłam karteczkę z wiadomością: „REBECCA JEDENASTA PRACA!”. No to wstałam z łóżka i przygotowałam się na każdą ewentualność. Z tobą nigdy nie wiadomo, co będę robić albo czego potrzebować.

Muszę nieco usprawiedliwić Steph – nie jest alkoholiczką w ciągu, po prostu zadzwoniłam do niej w sobotę o dziesiątej wieczorem.

– Co prawda masz nierówno pod sufitem, ale zaimponowałaś mi tym przygotowaniem. – Sama nie muszę się tym martwić. W końcu mój bagażnik to Narnia.

– To gdzie jedziemy?

– Po Jess.

– I potem na spotkanie z Panem Brazylią?

– Tak.

– Cóż, to coś nowego. Dlaczego się z nim spotykamy? – Steph jest zaintrygowana.

– Jest niegroźny, zna Toni i chce nam o wszystkim opowiedzieć. Poza tym zanoszą się na cholernie skomplikowaną sprawę, dlatego musicie obydwie pilnie słuchać i notować. Ja na pewno połowy nie zapamiętam!

Zgarniamy Jess i jedziemy do Domku na Drzewie, naszego nowego, wspaniałego biura mieszczącego się na terenach rekreacyjnych. To faktycznie lokal na drzewie, do którego prowadzą drewniane schody. Wynajmujemy go, kiedy musimy się z kimś spotkać. W pobliżu jest nawet Starbucks, który nieźle na nas zarabia, jak zapewne łatwo się domyślić.

Ledwo zdążyliśmy usiąść z odtłuszczonym latte, rozłożyć notatki i laptopy, kiedy rozlega się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Proszę! – woła Jess.

– Dzień dobry. – Do środka, tak nerwowo, jak się tego spodziewałam, wchodzi bardzo szczupły dżentelmen, średniego wzrostu, o krótkich, ciemnych włosach i szarych, szklanych oczach. Wstaję, żeby go powitać.

– Dzień dobry. – Przywołuję na twarz swój najlepszy, radosny uśmiech i wyciągam dłoń. – Zapewne Phillip?

– Zgadza się. Pani Rebecca?

– Tak jest. To Stephanie, a to Jess. – Wskazuję kolejno dziewczyny. Steph przyssała się do latte, a Jess, z jedną ręką pod brodą, uśmiecha się i macha. – Miło wreszcie pana poznać. Napije się pan czegoś?

Staram się, jak mogę, żeby Phillip poczuł się swobodnie.

– Hm, tak, proszę. Może, hm, kawy? – Nawet tak błaha prośba wprawia go w nerwowość.

– Ja się tym zajmę. – Przygotowywanie gorących napojów nie wychodzi Steph najlepiej, ale woli to, niż iść po kawę aż do Starbucksa. Jeśli wyleje ją Phillipowi na kolana i go poparzy, to dopiero będzie miał powód do zdenerwowania!

– A zatem: pańska żona wygląda na nieźle ziółko! – Próbuję rozluźnić atmosferę.

– O tak, z pewnością.

Uśmiechnął się! To cud.

– Chce pan zacząć od początku? Wiem, że to niełatwe, ale z nami może pan być naprawdę szczerzy. Słyszałyśmy już chyba wszystko.

– To prawda – świergocze Jess, przewracając oczami.

– Żaden problem. Cóż, poznałem ją pięć lat temu podczas wakacji. Potem przez rok pisaliśmy do siebie maile, sprawiała wrażenie uroczej.

Jak one wszystkie.

– Ostatecznie poleciałem do Brazylii na parę miesięcy, a potem postanowiliśmy wziąć ślub.

– Okej, a gdzie go wzięliście? Tutaj czy w Brazylii? – pyta Jess, notując.

– Tak się składa, że podczas wypadu do Las Vegas.

– Przylecieliście tutaj i powtórzyliście ceremonię? – Zastanawiam się, czy taki ślub w ogóle jest u nas ważny.

– Nie, poprzestaliśmy na jednej.

Kiwamy głowami, a Phillip kontynuuje swój wywód. Steph tymczasem przynosi mu kawę; brązowe krople ściekają z kubka. No dalej, Steph, trzymam kciuki, żeby nie wylała mu jej na kolana.

– Proszę. Cukru? – pyta, stawiając bezpiecznie kubek na stole. Ufff.

– Nie, bardzo dziękuję.

Ulga. Znowu skupiam się na Phillipie.

– Nie zabawiliśmy długo w Brazylii. Miałem problemy ze znalezieniem pracy, a poza tym tak naprawdę nie chciałem tam zostać, dlatego przenieśliśmy się tutaj.

– To był pański wybór czy jej? – pyta Steph. Widać, że wszystkie bierzemy jego stronę, uznając żonę za wcielonego diabła, który go zwiódł. O rany, znowu zaczynamy osądzać z góry!

– Mój. Żona nie chciała zostawiać rodziny, zwłaszcza swojej mamy. Była z nimi bardzo związana.

– Jak ma na imię pańska żona? – pytam.

– Lais.

Proszę go, żeby przeliterował.

– Okej, czyli przenieśliście się tutaj i co dalej?

– Cóż, wszystko było w porządku. Nie zdawałem sobie sprawy z istnienia problemu, ale teraz myślę, że od początku to sobie zaplanowała. Po przeprowadzce Lais próbowała się dostosować. Tęskniła za mamą, nie miała tu przyjaciół. Bardzo jej współczułem. Chciałem, żeby była szczęśliwa, żeby się odnalazła. Ale w końcu zaprzyjaźniła się z Bisi.

– Jak ją poznała? – wtrąca Steph.

– To ja ją poznałem. – Phillip najwyraźniej jest z tego dumny. – Spotkałem ją w Tesco.

– Spotkał ją pan w Tesco? – powtarza Jess.

– Tak, w Tesco!

– Jak to się stało?

– Stała przy stoisku z rybami, kiedy kupowałem sardynki.

Kątem oka dostrzegam, jak Steph rzuca mi ukradkowe spojrzenie. Bisi od razu wzbudza nasze podejrzenia.

– Rozmawiała ze sprzedawczynią przy stoisku i nosowe brzmienie jej głosu od razu wpadło mi w ucho. Mówiła jak Brazylijka. Zagałem ją o to, a ona przytaknęła. Powiedziałem, że moja żona próbuje się odnaleźć w Anglii, nie ma tu żadnych przyjaciół i powinna kogoś poznać. Zaprosiłem ją do nas na herbatę, a ona z radością się zgodziła.

Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której jakiś facet zaczepia mnie w supermarkecie i zaprasza do siebie na herbatę, żebym poznała jego żonę, a ja na to przystaję. Bardzo dziwne. A może to jedna z tych uroczych rzeczy, które mężczyzna robi dla ukochanej kobiety? Nie potrafię powiedzieć.

– Co było potem? – pyta Jess.

– Naprawdę przypadły sobie do gustu. Wszyscy zresztą się polubiliśmy. Potem Bisi przedstawiła Lais swoim znajomym, samym Brazylijczykom. Spotykali się raz w miesiącu. To naprawdę jej pomagało. Bisi nadal jest moją dobrą przyjaciółką. Wciąż mi przekazuje, co planuje Lais. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, powiedziała, że Lais mieszka w Londynie z mężczyzną, którego poznała w sieci. Jest szczęśliwa i nie zamierza wracać.

– Ach, tak? Pańskim zdaniem Bisi jest teraz przyjaciółką pana czy Lais? – pytam.

– I moją, i jej. Oboje utrzymujemy z nią kontakt. Tak się składa, że po tym spotkaniu jestem z nią umówiony.

A to ciekawe. Bisi najwyraźniej stanowi klucz do problemu.

– Czyli Bisi zna dokładne miejsce pobytu pańskiej żony, tak?

– Och tak, wie, gdzie jest Lais. – Kiedy o tym mówi, sprawia wrażenie, jakby trochę zamykał się w sobie.

– Ale?

– Nie chcę jej stawiać w niezręcznej sytuacji. Nie sądzę, aby takie wypytywanie było na miejscu.

Chce się dowiedzieć, gdzie przebywa Lais, ale nie chce „wypytywać” Bisi. Bardzo dziwna sytuacja. To się nie trzyma kupy. Na razie dam sobie jednak spokój z dalszymi dociekaniem, w przeciwnym razie Phillip znowu zamknie się w sobie. Teraz mam wrażenie, że się trochę otworzył.

– Czy Lais pracowała? – zmieniam temat.

– Tak, w opiece społecznej. Dokładnie w zakładzie dla osób psychicznie chorych.

Zerkam na Steph, która wygląda na bardzo zmieszaną. Zastanawiam się, co myślą pozostałe dziewczyny, bo robi się coraz dziwniej i dziwniej.

– Zawsze pracowała w opiece społecznej?

– Nie, w Brazylii była bankierem. Miała naprawdę świetną posadę, to bardzo inteligentna kobieta. Ale tutaj nikt nie uznawał jej kwalifikacji i nie mogła znaleźć pracy. Jej angielski również pozostawia wiele do życzenia. Radzi sobie, ale mogłoby być lepiej.

– Lubiła opiekować się innymi?

– Nieszczęśliwie, ale cieszyła się, że ma okazję wyjść z domu. I być z dala ode mnie, jak sądzę.

Widać, że mówi poważnie. To smutne. Odrywam wzrok od notatek i widzę, że mężczyzna wpatruje się w podłogę. Biedak.

– Zaprzyjaźniła się z kimś z pracy? Z kimś, o kim mógłby nam pan coś powiedzieć? – Próbuję skierować rozmowę z powrotem na kwestie praktyczne.

– W zasadzie to nie. Trzymała się na uboczu, ale miała uroczą szefową. Rozmawiałem z nią potem, bardzo miła kobieta. Mówiła dokładnie to samo – że Lais była bardzo skryta i po prostu przychodziła zrobić swoje.

Chyba trzeba to sprawdzić. Ludzie spędzają w pracy mnóstwo czasu, nie ma mowy, żeby nikt nic o niej nie wiedział. Muszę porozmawiać z tą szefową.

– Kiedy zaczęło się między wami źle dziać? – pyta Jess.

– Lais była ciągle bardzo przygnębiona i czułem, że nie układa się nam najlepiej. Ale mam wrażenie, że wszystko sobie wyliczyła. Żeby ubiegać się o jakiekolwiek dodatkowe świadczenia, trzeba spędzić tu określony czas. Lais była w Anglii o tydzień dłużej. Rano jak zwykle wyszedłem do pracy, rozmawiałem z nią też w ciągu dnia. Wróciłem do domu, a jej nie było. Zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy i dwa tysiące funtów w gotówce, które odkładaliśmy na wakacje w Brazylii, no i naszą fretkę.

Z całych sił staram się zachować powagę.

– Jak pan myśli, dlaczego odeszła?

– Bo była nieszczęśliwa. I chyba poznała kogoś innego przez Internet. Tego mężczyznę, o którym mówiła mi Bisi. Kiedy Lais była w domu, nie odklejała się od komputera, dzień i noc. Korespondowała z mnóstwem osób.

Jess i Steph współczują Phillipowi, ale widzę, że im również coś tu nie gra.

– A niech mnie. Niespecjalnie cudowna historia, prawda? – Szczerze mi go żal. – Zakładam zatem, że chce pan znaleźć Lais i mężczyznę, z którym mieszka? A pieniądze? Chce je pan odzyskać czy powiadomić policję o kradzieży?

– Och, nie, nie, nie obchodzą mnie pieniądze. Ani ona. Chcę tylko odzyskać fretkę!

Steph prycha swoim latte, po czym próbuje zamaskować rozbawienie, symulując atak kaszlu.

– Przepraszam, fretkę? Pan chce tylko odnaleźć swoją fretkę? – Jess i ja jesteśmy tak samo rozbawione, ale z całych sił powstrzymujemy się od nieprofesjonalnej reakcji.

– Tak, tylko fretkę. Lais może robić, co tylko się jej podoba. Ja chcę moją fretkę. Wiem, że to dziwne, ale muszę ją odzyskać.

Gapię się na swoje notatki, bazgrołąc po nich jak szalona, byle tylko nie wybuchnąć śmiechem.

– Przepraszam, ale chyba sam pan przyzna, że to trochę zabawne. – Steph jest przekonana, że nazywanie rzeczy po imieniu rozwiązuje problem.

Ja również jestem zdania, że to najlepsze wyjście. Także Phillip dostrzega komizm tej sytuacji.

– Wiem. To niezbyt normalne, prawda? Ale raz była bliska śmierci – wydostała się z klatki i weszła do pralki. Niewiele brakowało, żeby umarła, jestem więc wobec niej bardzo opiekuńczy.

I wracamy do przygnębienia.

– Czyli to cudowna fretka – stwierdza Jess.

– Można tak powiedzieć. Lais jej nienawidziła. Nie rozumiem, dlaczego ją zabrała.

– Biedne zwierzątko. – W ciągu dwóch minut Steph przeszła od hamowania śmiechu do powstrzymywania łez! Spoglądam na nią, a potem znów na Phillipa.

– Jak nazywała się fretka? – pytam.

– Lais wołała na nią Woofels.

– Woofels? A jak nazywała się wcześniej?

– Furby.

– Dlaczego Lais zmieniła jej imię? – Zastanawiam się, czy coś mi nie umknęło.

– Cóż, bardzo chciała mieć psa, ale ja się temu sprzeciwiałem, póki Furby żyje.

Nie mogę uwierzyć, że dorośli toczą takie rozmowy. Ludzie często żartują, że jesteśmy żeńskimi odpowiednikami Sherlocka Holmesa (dopóki nie spędzą z nami dziesięciu minut i nie zorientują się, jakie z nas wariatki), ale chyba nikt jeszcze nie porównywał nas do Ace'a Ventury!

– Ile czasu minęło, odkąd odeszła pańska żona?

– Jakieś sześć tygodni. Od tamtej pory biję się z myślami, co zrobić. Jesteście moją ostatnią deską ratunku.

Biorę głęboki wdech.

– Dobrze, cóż, w takim razie zrobimy co w naszej mocy, żeby znaleźć pańską ukochaną.

Prosimy go o jeszcze parę szczegółowych informacji na temat fretki i jej wyglądu, a także Bisi i miejsca pracy Lais. Machamy mu na pożegnanie, kiedy schodzi po stopniach Domku na Drzewie, po czym wracamy na swoje miejsca.



– Czuję się jak po dwudziestu rundach z Mikiem Tysonem! – stwierdza Jess, wzdychając z nieskrywaną ulgą.

– Dobra, podsumujmy. Żona przylatuje z zagranicy i w gruncie rzeczy zamierza faceta okantować. Wykorzystuje go, żeby dostać wizę i ubezpieczenie. Poznaje kogoś innego, zwija żagle, kradnie mężowi pieniądze... A on chce tylko odzyskać fretkę? – mówi Steph, zmieszana i oszołomiona.

– Właśnie tak. Kompletnie bez sensu! Jak my ją znajdziemy? – Odchylam się na krześle.

– Nie mam pojęcia, z mojego mózgu oficjalnie została papka! – odpowiada Jess.

Patrzę przez okno. Na zewnątrz świeci słońce, a ja mam już dość siedzenia w Domku na Drzewie.

– Dobra. – Podnoszę się. – Jedziemy do tego zakładu pogadać z jej szefową.

– Za wcześnie na alkohol? – pyta Jess, zbierając notatki.

– Tak, Jess, za wcześnie. Żadnego picia w pracy!

Opuszczamy Domek na Drzewie i wsiadamy do samochodu. Wyznaczyłam Phillipowi zadanie. Poprosiłam, żeby sprawdził, czy Bisi zechce ze mną porozmawiać. Mam przeczucie, że to ona stanowi klucz do rozwiązania tej zagadki (i odnalezienia fretki). Zapewniłam go, że nasza agencja tak doskonale radzi sobie na rynku, bo nikomu nie szkodzimy. Nie jesteśmy typowymi prywatnymi detektywami, którzy biorą się do dzieła z impetem, za to bez żadnej litości. Może okazujemy czasem lekkie rozbawienie, głównie dlatego że sytuacja jest wprost kuriozalna – ale zależy nam na jego fretce! Odparł, że wpadnie do mnie później i da znać, czy Bisi zgadza się na rozmowę.

Zakład, w którym pracowała Lais, znajduje się kawałek od głównej szosy, co ma najwidoczniej zapobiegać ucieczkom pensjonariuszy, ale w pobliżu Domku na Drzewie. Prawie trzy kilometry telepiemy się drogą gruntową. Docieramy na miejsce, które przypomina dowolne wrzosowisko w kraju – całkowite odludzie, na dodatek upiorne.

– Wy dwie wchodzić? – pytam Steph i Jess, wysiadając z samochodu.

– Po moim trupie! – zakrzykuje Steph z tylnego siedzenia, gdzie chrupie jabłko. – Ty masz czarny pas w tych bajerach. Baw się dobrze.

Nie zawracam sobie głowy odpowiedzią. Zamiast tego wyglądam żakiet i przemierzam w szpilkach żwirowy podjazd. Trudne zadanie. Zapadają mi się obcasy i mam lekkie problemy z utrzymaniem równowagi, ale w końcu staję na kamiennym chodniku przed głównym wejściem. W tej samej chwili z budynku wylaniają się jacyś ludzie. Przytrzymują dla mnie drzwi i jestem już w środku. Łatwizna.

Nie ma tu recepcji; wchodzę bezpośrednio do dużej sali. Wokół stoi mnóstwo krzeseł z regulowanym oparciem, a na nich siedzą ludzie. Prawie nikt się nie odzywa. Parę osób wpatruje się tępo w telewizor. Jedna pani dzierga na drutach w kącie, podczas gdy jakiś pan kiwa się na swoim krześle. Uświadamiam sobie, że kręcę się bez celu. Próbuję znaleźć kogoś z obsługi.

Idąc na przeciwległy koniec sali, słyszę za sobą jakiś hałas. Ktoś bełkocze bez ładu i składu albo mówi w obcym języku. Odwracam się i widzę mężczyznę około siedemdziesiątki. Jest bardzo chudy i siwowłosy, a na sobie ma typowy dziadkowy sweter – rozpinany, gruby, kremowy, z brązowymi guzikami. Sunie po podłodze, poruszając przy tym rękami, jakby o coś bębnił.

– Ha buh mum bah. Ta vu sha. Hob ob fob fob.

Chyba najlepiej zrobię, jeśli go zignoruję i poszukam kogoś z obsługi. Tyle że on zaczyna za mną iść.

Docieram do pomieszczenia, które wygląda mi na jadalnię. Troje pensjonariuszy w ciszy spożywa posiłek. Mój towarzysz wciąż bełkocze za moimi plecami. Pasuję tu jak wół do karety,

ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Um bum ah ah bah. Far na nar.

Przechodzę do kolejnej sali. Sala świeci pustkami. Bełkotek wciąż za mną. Następne drzwi prowadzą na korytarz. Pusto. Zawracam i idę do pierwszej sali. Ciągłe nikogo z obsługi. Nie mogę w to uwierzyć. Wracam do jadalni. Znalazłam kogoś! Co za radość!

Bełkotek c i ą g l e człapie za moimi plecami.

– Dzień dobry, czy mogłabym porozmawiać z właścicielami? – zwracam się do dziewczyny, która nie ma więcej niż dwadzieścia lat.

– Jasne, chce pani zarezerwować dla kogoś miejsce?

Z całych sił powstrzymuję się przed palnięciem: „Tak, dla siebie”...

– Nie, chodzi o byłą pracownicę – wyjaśniam.

Bełkotek siada.

– HA bo bo ha mum ta...

– Nie ma sprawy, pójdę po Jenny. – Dziewczyna odchodzi.

– Oo oo way ka kam oo ta.

Siedzę z nim sam na sam przez jakieś dziesięć minut, aż w końcu zjawia się właścicielka zakładu. Sprawia wrażenie miłej (szeroki uśmiech), choć trochę niechlujnej.

– Cześć! Jestem Jenny! – przedstawia się, wyciągając do mnie rękę, którą ściskam.

– Cześć. Mam dość nietypową prośbę. – Sądziłam, że zaprowadzi mnie do jakiegoś biura, ale nie. Stoimy tak i rozmawiamy w towarzystwie Bełkotka. Staje się coraz głośniejszy, dlatego bardzo trudno mi się skupić. – Jestem prywatnym detektywem i tak się składa, że szukam zaginionej fretki. – Zastanawiam się, czy „zaginiona” to dobre słowo. Może powinnam raczej powiedzieć „skradziona”?

– Ach, rozumiem – mówi, równie zmieszana jak ja, kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę historię.

– Wiem, brzmi to dość dziwnie. Fretkę przywłaszczyła sobie pani była pracownica.

Brazylijka Lais. – Widzę po jej minie, że imię brzmi dla niej znajomo.

– Tak, znam Lais.

Chwilę później Bełkotek już nie siedzi, tylko stoi pięć centymetrów ode mnie, bełkocząc mi p r o s t o w t w a r z. Bardzo głośno.

– Bum tan tum al la la is o jej.

– Lais odeszła miesiąc temu. – Czy ona naprawdę zamierza tak po prostu ciągnąć tę rozmowę, jakby jego tu w ogóle nie było? – Była bardzo cicha, rzadko się odzywała. – Tak, Bełkotek najwyraźniej jej nie przeszkadza. Wciąż stoi blisko mojej twarzy. Muszę się postarać, żeby w ogóle widzieć Jenny. Czysty absurd. – Serena знаła ją najlepiej, ale dzisiaj nie ma jej w pracy.

– LAAAAAAAA HAAAAAAAA LAAAAAAAA... – Mężczyzna już prawie śpiewa.

– Jeśli pani chce, przekażę jej, żeby do pani zadzwoniła. Ja w ogóle nie znałam Lais, ale czasem gawędziła z Sereną – mówi Jenny.

– Świetnie. Mogę zostawić swój numer?

Na szczęście zgadza się i podchodzi do okna, gdzie leżą podkładka i kartka papieru. Co za ulga, wreszcie mogę się ruszyć z miejsca, w którym tkwiłam jak przyspawana przez całą rozmowę, podczas gdy człowiek nie do końca przy zdrowych zmysłach bełkotał głośno tuż przy mojej twarzy. Budzi we mnie smutek. To musi być okropne, stracić możliwość komunikowania się ze światem. Nie tego się spodziewałam, kiedy przyjmowałam to zlecenie.

Dziękuję Jenny za poświęcony mi czas i ruszam do wyjścia. Bełkotek nie odstępuje mnie na krok i nie wiem, co robić. Na szczęście ktoś z obsługi pędzi za nami, żeby go zatrzymać.

Odciągają go, jakby sądzili, że spróbuje wyrwać się na wolność, kiedy tylko otworzę drzwi. Bardzo niepokojący widok – jak i cała ta sytuacja, prawdę mówiąc.

Zamykam za sobą drzwi i sprawdzam je na wszelki wypadek. A potem biegnę – cóż, w każdym razie przemieszczam się tak szybko, jak tylko pozwalają mi na to szpilki – po żwirze, potykając się i zapadając o wiele częściej niż za pierwszym razem. Wskakuję do samochodu, zatrzasnąję drzwiczki i zamykam je na zamek.

– A tobie co się stało? – pyta Jess.

– Nawet nie pytaj!

Tak szybko, jak tylko mogę, odjeżdżam i wracam na główną drogę. Jeśli kiedykolwiek będę miała problem, na pewno nie chcę trafić do tego zakładu!

Odwiedzamy miejscowy pub, o którym zapewne mówi się „winiarnia” albo „gastro-pub”. To jedno z tych miejsc, do których się chodzi, żeby zasmakować nieco elegancji, chociaż w rzeczywistości nikt tutaj elegancki nie jest. Wszyscy udają milionerów i rozbijają się bentleyami, ale mieszkają w segmentach. Siedzę ze Steph i Jess przy lunchu. Próbujemy strawić „specjalne frytki” – są wąskie, tyle że posypane parmezanem – i domowe burgery. Niebo w gębie.

Sądziłyśmy, że ten posiłek dostarczy nam energii do następnego etapu śledztwa w sprawie zaginionej fretki. Tymczasem możemy jedynie cierpieć w milczeniu z przejedzenia, bo nie mamy pojęcia, co dalej robić.

– Phillip dzwonił do mnie wczoraj – oznajmiam. – Z raczej kiepską wiadomością. Nie pozwoli nam porozmawiać z Bisi. Twierdzi, że to ją postawi w trudnej sytuacji. Moim zdaniem Bisi wie, gdzie przebywa jego żona, i go zwodzi. Zdradził tylko tyle, że Lais prawdopodobnie mieszka w jakiejś wsi pod Edynburgiem. Wypłaciła tam gotówkę z bankomatu. Na koncie było dziesięć funtów, więc dokładnie tyle wyciągnęła. Lais wie jednak, że Phillip ma dostęp do jej konta przez Internet.

– Dziwne, że nie pozwala nam porozmawiać z Bisi – mówi Steph.

– Tak, zgadzam się, ale coś mi mówi, że pieniądze to tylko temat zastępczy.

– Dlaczego? – pyta Jess, próbując zdusić beknięcie.

– Bardzo ładnie, Jess! – rzucam, a ona mamrocze coś przepraszająco. – Bo to zbyt oczywiste. Ta kobieta planowała zwinąć żagle od wielu miesięcy i nie jest taka głupia, jak mogłoby się wydawać. Pracowała w banku. Nie jest głupia.

– Słuszne spostrzeżenie – przytakuje Steph. – Myślę, że zrobiła to specjalnie. Wybrała się na małą wycieczkę do Szkocji i wypłaciła pieniądze, żeby wyglądało, jakby tam mieszkała. Może liczy na to, że Phillip nie będzie jej szukał, jeśli uwierzy, że jego żona żyje gdzieś w okolicach Edynburga. A potem prosi Bisi, żeby mu przekazała coś innego, na przykład że jest w Londynie. I w ten sposób już całkiem mąci mu w głowie.

– Zgadza się – mówi Jess. – Zdaniem Sereny, jej koleżanki z zakładu, ten jej znajomy z Internetu, z którym rzekomo uciekła, jest z Manchesteru. Znalazłam jego profil w sieci. Nie dowiedziałam się z niego wiele, tylko tyle, że ma dzieci. Manchester leży niedaleko stąd. Mało prawdopodobne, żeby facet zostawił dzieci i przeniósł się do Londynu. Jeśli Lais mieszka rzut beretem od Londynu, to ma świadomość, że ktoś mógłby ją bez trudu znaleźć. Dlatego próbuje zmylić trop. – Rozsiada się na krześle, jakby właśnie rozwiązała zagadkę morderstwa. Aż chce mi się śmiać!

– Phillip przysłał mi wczoraj maila. Wygląda na to, że miesiąc temu Lais poleciała na dwa tygodnie do Brazylii, zobaczyć się z rodziną. Nie jestem do końca pewna, skąd on o tym wie. Ani czy to w ogóle prawda. Ale jeśli tak, to istnieje szansa, że oddała fretkę do czegoś w rodzaju schroniska – snuję domysły.

– Nie wydaje mi się, żeby miała na to pieniądze – zauważa słusznie Steph.

Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale zmierzamy prostą drogą do klęski. Czy to właśnie ta sprawa nas pokona? Nasza pierwsza oficjalna porażka na całej linii? Z powodu fretki?

Chwytamy się wszelkich sposobów. Najpierw dzwoniemy do Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, ale nikt nie oddawał im fretki. Potem do Phillipa – raz jeszcze prosimy o rozmowę z Bisi. Nadal jednak nie chce nas z nią skontaktować, choć to ostatni trop.

A potem Phillip przestaje oddzwaniać. Znika z radaru. Przyjmujemy to właściwie z ulgą, ponieważ ta sprawa nas przerosła. Nie udało nam się znaleźć ani brazylijskiej żony, ani fretki.

– Jak myślicie, co się naprawdę stało? – pyta Jess, kiedy siedzimy w Domku na Drzewie i dociekamy przyczyn naszej porażki. – Osobiście mam wrażenie, że Phillip nie mówił nam wszystkiego, dlatego od początku nie było szans, żebyśmy rozwiązały tę sprawę. Zastanawiałam się, dlaczego jego żona odeszła z fretką. Przyszło mi do głowy tylko jedno. Może ją bardzo lubiła, albo wręcz uważała za swoją własność?

– Albo chciała go zranić i uznała, że tak będzie najprościej – proponuje Steph.

– Myślicie, że naprawdę chciał znaleźć fretkę? – wtrącam się. – A może to była zwykła wymówka? I w głębi ducha liczył, że jeśli odszuka żonę, to zdoła ją namówić do powrotu? Chociaż nie jestem pewna, czy to by mu się udało. Zadała sobie sporo trudu, by się upewnić, że Phillip nigdy jej nie znajdzie.

– Rebecco, gdyby tylko pozwolił nam porozmawiać bezpośrednio z Bisi, na pewno zdołałybyśmy z niej wyciągnąć całą historię – odpowiada Jess.

– Albo mogłybyśmy ją śledzić, żeby sprawdzić, czy doprowadzi nas do żony...

– Hej! Może Phillip zerwał z nami kontakt, bo żona już do niego wróciła, a on nie chce, żeby się dowiedziała, że wysłał za nią prywatnych detektywów? – podsuwa Steph, wieczna optymistka.

Ponieważ Phillip przestał dzwonić, musiałyśmy zawiesić sprawę. Niechętnie przyznajemy się do porażki, ale nie zawsze wszystko musi się łatwo układać, niczym w zakończeniu odcinka *Napisala: Morderstwo*. W prawdziwym życiu niektóre zagadki nigdy nie znajdują rozwiązania. Mogłyśmy jedynie potraktować sprawę fretki jako jedną z nich.

# Pan ideał

Paris i Ben z miejsca się zaprzyjaźniają. Poznają się w moim rodzinnym domu. Dla Bena to również okazja do pierwszego spotkania z moimi rodzicami, co ani trochę go nie peszy. Większość mężczyzn drżałaby z przerażenia na myśl o tylu atrakcjach jednego dnia, ale nie on. Jest naprawdę podekscytowany.

Wchodzi do domu, a ja już na niego czekam. Za mną, w drzwiach do kuchni, stoi Paris. Próbuje dyskretnie zerkać w jego stronę, jednocześnie udając, że wcale nie jest zainteresowana.

Ben podchodzi i klęka, chcąc patrzeć jej w oczy.

– Cześć. Jestem Ben. A ty jesteś Paris?

– Cześć, Ben! – Mała naiwniaczka odpowiada mu z promiennym uśmiechem. Jeszcze dziesięć sekund temu zgrywała nieprzystępną górę lodową, a teraz lód się roztopił! – Mamusia mówi, że lubisz kreskówki.

– Bo lubię! I to bardzo. Masz jakieś?

– O tak! Mam *Świnkę Peppę* i *Fifi*, a w telewizji leci teraz *Dobranocny ogród!*

– Bardzo lubię *Dobranocny ogród*. Mogę obejrzeć razem z tobą? – pyta Ben.

Paris chyba zaraz pęknie z podekscytowania, że ktoś lubi te same bajki co ona! Kiwa głową jak miniaturowa postać z kreskówki i prowadzi Bena za rękę do salonu.

Kiedy mama i tato przychodzą się przywitać, Ben siedzi jak trusia na kanapie obok Paris. I niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli tylko spróbuje się stamtąd ruszyć!

Rodzice szybko wyrażają aprobatę i wracają do szykowania niedzielnej kolacji.

Słyszę, jak Paris pyta:

– Jesteś nowym przyjacielem mamusi?

– Tak, jestem. Nie masz nic przeciwko?

– Tylko jeśli będziesz ze mną oglądał dużo kreskówek.

Apodyktyczna młoda dama. Uśmiecham się pod nosem. Wydaje się bardzo zadowolona z obecności Bena. Kiedy przychodzę, żeby zawołać ich na kolację, są już w najlepszej komitywie. Paris wcina swoją porcję w takim tempie, że na pewno rozboli ją potem brzuch, po czym pędzi do pokoju po kilka zabawek. Muszę jej powiedzieć, żeby zaniósła je do salonu, i obiecać, że Ben zaraz do niej przyjdzie, jeśli najpierw pozwoli mu zjeść do końca.

Rodzice nie zadają zbyt wielu wścibskich pytań i wszyscy dobrze się dogadują. Zresztą z Benem chyba nie można inaczej. Z każdym znajdzie wspólny język. Nie dlatego, że kogoś udaje, po prostu jest miły w obejściu, swobodny i szczerze zainteresowany drugim człowiekiem.

Spędza z nami cały wieczór. Oglądamy razem telewizję, jak rodzina, a Paris pokazuje mi każdą zabawkę, którą trzyma u dziadków, jak również swój pokój, ogród, psy... i w zasadzie wszystko, co mogłoby go zaciekawić. Chociaż to dopiero jego pierwszy wspólny wieczór z mamą, tatą i Paris, Ben z miejsca się do nas dopasowuje. Zupełnie jakbyśmy wszyscy znali go od zawsze.

Niedługo potem Ben zabiera mnie na spotkanie do swoich bliskich. Kiedy moi rodzice dowiedzieli się o nim, ich pierwsze pytania krążyły wokół dwóch tematów: „Czy był żonaty?” i „Czy ma dzieci?”. Gdybym na którekolwiek udzieliła odpowiedzi twierdzącej, wpadliby w panikę. Na szczęście mogłam zaprzeczyć i wyczułam ulgę w ich głosach. Nie byłaby to przeszkoda nie do pokonania, rzecz jasna, ale pasierbowie i eksmałzonkowie komplikują każdy związek. Dlatego martwiłam się, że rodzice Bena dojdą do podobnego wniosku. Kto chciałby, żeby jego młody syn związał się z kobietą, która jeszcze nie skończyła trzydziestki, za to ma już

dziecko i rozwód na koncie? Dlaczego nie znalazł sobie kogoś bez takiego bagażu?

Jak się wkrótce okazuje, moje obawy były całkowicie bezpodstawne. Rodzice Bena z radością przyjmują wiadomość, że mam córeczkę, i nie mogą się już doczekać, kiedy ją poznają. Prawdę mówiąc, są tak bardzo podekscytowani, że zaraz pędzą do sklepów po zabawki! Każdy rodzic bardzo się martwi, jak jego dziecko zostanie przyjęte w nowej rodzinie.

Za pierwszym razem i przy paru następnych okazjach spotykamy się z rodzicami Bena bez Paris. Szybko jednak zaczynają się niecierpliwić. Nie mogą się doczekać, kiedy poznają moją małą księżniczkę.

Mama Bena proponuje, żebyśmy przenocowały u nich w domu. Jestem wzruszona, widząc, że kupiła nadmuchiwaną łóżko ze Świnką Peppą dla wniebowziętej tym przejawem sympatii Paris. Kiedy o dziewiątej wieczorem wchodzę do jej pokoju, mama Bena właśnie karmi ją lodami czekoladowymi i wspólnie oglądają film. Paris więcej do szczęścia nie trzeba. Od dawna nie widziałam na jej buzi równie szerokiego uśmiechu. Naprawdę czuję, że zostałyśmy przyjęte przez rodzinę Bena, jakby łączyło nas biologiczne pokrewieństwo.

Paris z radością akceptuje Bena jako nowego mężczyznę w naszym życiu. Jesienią, kiedy po raz pierwszy idzie do prawdziwej szkoły, zaczyna mówić do Bena „tatusiu”, jakby to było coś najnormalniejszego pod słońcem. Żadne z nas nie zadaje pytań ani nie robi z tego problemu. Skoro tak chce o nim myśleć, to proszę bardzo. Bez względu na to, co zajdzie między Benem a mną, wiem, że zawsze będzie traktował swoją rolę w życiu Paris ze stuprocentową powagą.

## Nowy poziom smutku

Steph i ja siedzimy przy boisku do krykieta gdzieś na północy Anglii.

– Bardzo możliwe, że to Devon – mówi Steph, myśląc najwyraźniej o naszej podróży samochodem, która ciągnęła się w nieskończoność.

– To nie jest Devon, głąbie kapuściany.

– Hm, może masz rację.

Pasujemy do otoczenia jak pięść do nosa. Za sprawą Bena już od pewnego czasu chadzam na mecze krykieta, ale chyba nigdy się do nich nie przekonam. Siedzimy na beli siana i jest nam niewygodnie. Steph zabrała się razem z nami i teraz wierci się nieustannie, przenosząc ciężar ciała z pośladka na pośladek. Fryzury mamy idealne. Obie założyłyśmy superwysokie szpilki, które wbijały się w murawę, kiedy przez nią kuśtykałyśmy. Steph ma na sobie krótką spódnicę. Ja wykazałam się odrobinę większym rozsądkiem, wybierając dzinsy. W każdym razie nie pasujemy tutaj. Mimo to całym sercem angażujemy się w rozgrywkę. Tłum klaszcze, my klaszczemy. Tłum wiwatuje, a my wraz z nim.

Po dwóch godzinach od naszego przyjazdu na mecz telefon znowu dzwoni. Chodzi o usługę po godzinach, czyli krótko mówiąc, odzywa się inny numer, zarezerwowany wyłącznie na wyjątkowe sytuacje. Ale przynajmniej wiem, co to oznacza: nowego klienta! W tym tygodniu porzuciłyśmy melodie przewodnie z seriali detektywistycznych na rzecz *Seksu w wielkim mieście*.

– Ty to załatw – mówię.

Mam takiego fioła na punkcie kontroli, że rzadko kiedy pozwalam dziewczynom odbierać telefon. Ale muszę się tego nauczyć, jeśli chcę rozwinąć firmę. Poza tym kontakt z klientami wyjdzie dziewczynom na dobre. Rzadko mają ku temu okazję, lecz Steph zwykle doskonale sobie wtedy radzi.

– *Ola*, Damska Agencja Detektywistyczna. – Nagle przypominam sobie, że wypiła przy lunchu kilka kieliszków wina. Muszę zapamiętać na przyszłość: nie pozwalać jej odbierać telefonu pod wpływem alkoholu. Na szczęście szybko odzyskuje panowanie nad sobą. – Tak, oczywiście... Jestem pewna, że możemy się tego dowiedzieć... Przykro mi to słyszeć... Och... O mój Boże, to straszne... Doprawdy... – Rozmowa najwyraźniej nie skończy się szybko, ruszam więc przez murawę, żeby znaleźć bar. I Bena.

Dwadzieścia minut później wyglądam z budynku klubu i widzę, że Steph wciąż siedzi na beli z telefonem przy uchu. Wygląda na pogrążoną w rozmowie. Znosi się na bardzo skomplikowaną sprawę.

Kuśtykam z powrotem na belę z różowym winem dla Steph w jednej dłoni i dietetyczną colą w drugiej. Ktoś musi przecież prowadzić auto. Kiedy docieram na miejsce, Steph wrywa mi wino i pociąga duży łyk, nie przerywając rozmowy. Otwieram szeroko oczy ze zdumienia. To mi wygląda na bardzo poważną rozmowę.

– Wiem... Rozumiem... Nie wyobrażam sobie, przez co musiała pani przejść... – I tak dalej przez czterdzieści minut. Steph ponad godzinę wisi na telefonie. Gdy się w końcu rozłącza, wydaje z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Cóż. To ciekawe.

– Dobre ciekawe czy złe ciekawe? – dopytuję.

– Dobre, chociaż smutne. Kobieta potrzebuje dowodu, że jej mąż ma romans. Wie, co się dzieje, ale nie wie, jak to udowodnić.

– To o co ten cały dramat?  
– O to, dlaczego jej mąż w ogóle wdał się w ten romans. Mieli córkę, która zmarła.  
– Co?! – Każdy rodzic zna ten najgorszy ze wszystkich lęków, że jego dziecko odejdzie przed nim. Mnie też nie jest obcy. Już czuję ból, gdzieś głęboko, i nie chcę nawet pytać o szczegóły.  
– Tak. Miała dopiero dwanaście lat. Zmarła wskutek powikłań po operacji dwa lata temu.  
– Nieeeeeeeee. – Sama nie wiem, czemu jeszcze nie zalałam się łzami.  
– Mąż przyznał, że ma kogoś innego, ale nie chce zdradzić nic więcej. Raz mówi, że ma, raz, że nie ma, i tak dalej.  
– Mamy do czynienia z sytuacją, kiedy facet przyznaje się, a potem zmienia zdanie, tak? Próbuje zatuszować ślady, na wypadek gdyby doszedł do wniosku, że chce jednak ratować swoje małżeństwo?

– Właśnie!  
– Ach tak, znam ten typ.  
Odkąd nasza agencja rozpoczęła działalność, nauczyłam się, że ludzkie zachowanie nie zawsze ma sens. Pakujemy się w schematy, a potem je powielamy, nawet przez chwilę nie zadając sobie pytania, dlaczego w ogóle to robimy. Żona tego faceta pewnie przechodzi teraz piekło. Nie wie, w którą wersję wierzyć, bo mąż próbuje ratować własny tyłek.  
– A chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim najbardziej niepokojące?  
– Mów.  
– Powiedział jej, że wdał się w romans przez to, co spotkało ich córkę. Jego zdaniem żona źle to zniosła. Nie poświęcała mu wystarczająco wiele uwagi i go odtrąciła.  
– Tak jej powiedział? – Jestem absolutnie przerażona.  
– Na to wygląda. Niepokojące, co? – Steph jest bardzo poruszona.  
– Łał. To po prostu straszne. Biedna kobieta. Na litość boską, jak można oczekiwać, że człowiek dobrze sobie poradzi ze śmiercią własnego dziecka? W życiu bym się po czymś takim nie otrząsnęła.

Nasz wesoły, radosny dzień przy krykiecie nagle się popsuł. Siedzimy na sianie i wyglądamy jak miejscowe zagłębienie depresji. Ben macha do nas, a my podejmujemy żalostną próbę odmachania mu. Wygląda na zmieszanego, ale nie przerywa gry.

Kilka dni później jesteśmy na farmie. Kolejne miejsce, do którego w żaden sposób nie pasujemy. Sprawdziłyśmy tę nieruchomości na Google Earth, ale program nie powiedział nam zbyt wiele. A musimy znaleźć wszystkie bramy, ponieważ zamierzamy śledzić pewnego mężczyznę. Na farmie znajduje się pięć budynków i są co najmniej trzy bramy, przez które może wyjechać samochód. Ze wszystkich kretyńskich sytuacji, w jakie udało nam się dotychczas wpakować, tej z pewnością nie ogarniamy. Steph ma propozycję.

– Włazimy na mur. Nie mamy innego wyjścia. Musimy zobaczyć, gdzie stoi auto.  
– A tobie się wydaje, że kim my jesteśmy? Dublerkami w filmie o Jamesie Bondzie?  
– Żadnych wymówek, Rebecca. Włazimy.

Zastanawiam się, w którym dokładnie momencie straciłam pozycję szefowej, a moje miejsce zajęła Steph? Patrząc, jak otwiera drzwiczki, po czym grzebie w bagażniku w poszukiwaniu kaloszy. Przedzieranie się w szpilkach przez łąki w ogóle nie wchodzi w grę.

Prawdę mówiąc, przypomina mi się pewien horror, w którym brałam udział. Kiedyś zaintrygował mnie opuszczony budynek pośrodku takiej łąki. To było w czasach, kiedy pracowałam w branży deweloperskiej i zrobiłabym dosłownie wszystko, żeby znaleźć dla siebie nowy dom. Ten wyglądał na tyle tajemniczo, że zapragnęłam przyjrzeć mu się z bliska. Wyobrażałam sobie, że porwą mnie squattersi i już nigdy nie zobaczę blasku dnia. Zamiast tego



stałam się obiektem brutalnej napaści ze strony nieznanego pająka. Na pewno wstrzyknięto mi jakąś spidermanowską substancję, zmieniając go w mutanta. Uczepił się moich dżinsów i ani myślał puścić. Miał odwłok rozmiarów piłeczki do golfa, na dodatek cały porośnięty włoskami, wylupiaste oczy i krótkie, acz grube odnóża. Wrzasnęłam na całe gardło, jakby mnie mordowali, ale nikt nie przybył mi na ratunek. Byłam sama jak palec i nikt nie słyszał, jak krzyczę. Darłam się i darłam, i darłam jeszcze głośniejsze. Skakałam, miotałam się i w końcu zrzuciłam z siebie tego potwora. Gdyby ktoś mnie wtedy widział, uznałby, że z miejscowego wariatkowi urwała się pacjentka. Na szczęście wydostałam się stamtąd, ale nie podeszłam do budynku, który chciałam obejrzeć. Uraz został mi po dziś dzień.

Teraz stoję na łące ze Steph – przywdziała już eleganckie kalosze i czeka, aż pójdę w jej ślady – i nie jestem szczególnie zadowolona z życia. Sęk w tym, że znalazłyśmy się tu z powodu naszej klientki, która usłyszała od swojego męża, że nie najlepiej zniosła śmierć własnego dziecka, przez co on postanowił wdać się w romans. Od razu wraca mi determinacja. Zapominam o lęku przed zmutowanymi pająkami ninja, nurkuję do bagażnika i wyciągam drugą parę kaloszy. Dzisiaj musimy śledzić faceta – od farmy do dowolnego miejsca, w jakim wylądował. Klientka podejrzewała, że będą to ramiona kobiety, z którą (nie) romansuje. Jej zdaniem spotykają się co tydzień, zawsze o tej samej porze. Problem w tym, że nie wiemy, którą z trzech bram na farmie wybierze pan mąż, a gdybyśmy podjechały pod sam mur wąską gruntową drogą, od razu wzbudziłybyśmy podejrzenia. Nie możemy też wybrać bramy na chybił trafił i liczyć na szczęście, nie mamy więc wyboru. Musimy przemierzyć pieszo pięć łąk i zobaczyć na własne oczy, gdzie stoi samochód. Dotarliśmy na miejsce wcześniej, niż to było w naszych planach, dlatego mamy dość czasu na zbadanie okolicy.

Nie będę kłamać. Strach przed pająkami nie opuszcza mnie, gdy przedzieramy się przez trawę, która ma dobrze ponad pół metra wysokości. Steph z kolei podeszła do tego jak profesjonalistka. Superkobieca laska, ubrana w sam raz na wizytę w barze w Manchesterze, o jedenastej w nocy, chwilowo w kaloszach. Wygląda odlatowo. Na dwadzieścia minut, kiedy tak pokonujemy łąkę za łąką, Steph zostaje moją trenerką i mentorką, przypominając mi, po co tu jesteśmy, i dodając otuchy.

– Bingo! – woła.

Na szczęście jesteśmy dość daleko i obiekt nas nie słyszy, chociaż parchaty pies na podwórzu budzi się i podnosi łeb. Steph wypatrzyła samochód pana męża przez lornetkę i stwierdziła, że stoi zwrócony w stronę drogi gruntowej, tyłem do dwóch wyjazdów, które widzimy. Na szczęście obydwie są zastawione maszynami rolniczymi, a te nie wyglądają, jakby miały stąd szybko odjechać. A zatem pozostaje tylko droga gruntowa.

Odwracam się i pędzę z powrotem do auta.

Szczęście dopisuje nam po raz kolejny, kiedy szukamy miejsca do zaparkowania, gotowe ruszyć za obiektem. Nieopodal bramy jest zatoczka.

– Serio, jeszcze nigdy nie miałyśmy takiego fartu.

Rzeczywiście, żadne zlecenie nie szło nam tak dobrze. Obydwie czekamy, aż coś zacznie się sypać.

Spędzamy w zatoczce następne dwie godziny. Oglądamy na laptopie jeden z najnowszych filmów, a Steph próbuje mnie skusić na te swoje zdrowe przekąski, które zabrała ze sobą na wyprawę.

– Żurawina?

Częstuję się.

– No, może być.

– Migdały?

– Nie. Nie znoszę migdałów.  
– Papaja?  
– Skąd ty bierzesz te rzeczy?  
– Stąd i zowąd. Jagody goji?  
– Ooo, słyszałam o nich. Ponoć są bardzo zdrowe. Mają jakieś supermoce czy coś?  
– Tak, Rebecca, jagody goji mają supermoce. No to chcesz jedną czy nie? – Podtyka mi torebkę pod nos.

– Dobra, dobra, marudo.  
Biorę z pięć i zaczynam je żuć. Z początku smakują nieźle, ale potem robią się kwaśne i wstrętne. Całe szczęście, że jesteśmy na odludziu, bo opuszczam szybę i po prostu je wypluwam.

– Obrzydliwe! – mówię, krzywiąc się od goryczy, którą wciąż czuję w ustach.  
Steph zrywa boki ze śmiechu.  
– Tak właśnie myślałam, że ci nie będą smakować.  
– Zrobiłaś to specjalnie! Jakbym była jakąś świnką morską albo coś. To w c a l e nie jest śmieszne! Smakują jak bobki!

Nie mamy wody w samochodzie. Staramy się nie zabierać napojów, kiedy prowadzimy obserwację, z wiadomych względów. Nie mam innego wyjścia, jak tylko zdrapać ten obrzydliwy smak z języka paznokciami. Steph ma łzy w oczach od śmiechu. Rzucam jej paskudne spojrzenie i kątem oka dostrzegam, że nasz obiekt wyjeżdża przez bramę.

– Szybko! – woła Steph. Próbuje zapiąć pas, ale ten się zaciął. Ruszam gwałtownie, wciskając Steph w fotel. Superzarcie lata po całym aucie, a razem z nim gazety, czasopisma i laptop. To dość rozsądna zemsta za ten numer z jagodami goji!

– Au! – protestuje Steph.  
– Masz za swoje! A teraz obserwuj samochód.

Klientka wspominała, że jej mąż jest byłym wojskowym i paranoikiem. Z odległości kilometra wypatrzy każdego, kto go śledzi. Klienci zawsze tak mówią: to byli żołnierze, byli policjanci, kierowcy rajdowi, krańcowi paranoicy albo wszystko naraz. Ludzie wpadają w panikę, kiedy płacą komuś, żeby śledził ich partnera. Ta klientka nie była wyjątkiem.

Prujemy gruntową drogą z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Steph śledzi trasę w nawigacji, żebyśmy wiedziały, gdzie mogą nas czekać komplikacje. Kiedy sądzimy, że zbliżamy się do potencjalnie trudnego odcinka, przyspieszamy, nie chcąc stracić z oczu obiektu. Przez resztę czasu musimy to rozgrywać na zimno. Facet nie może nas zbyt często widzieć. Obserwacja to bez wątpienia sztuka. Wciąż przyprawia mnie o panikę, ale bez porównania mniej niż wtedy, gdy stawiałam pierwsze kroki w branży.

Łącznie śledzimy faceta przez ponad godzinę, czyli dość długo jak na przeciętną obserwację. Zwykle najlepiej poprzestać na trzydziestu minutach. Jeśli zanoszą się na dłuższą jazdę, najchętniej wykorzystujemy większą liczbę samochodów. Niestety, kiedy tak do końca nie wiadomo, co planuje obiekt albo dokąd się wybiera, trzeba liczyć na łut szczęścia. Czasami się udaje, a czasami nie. Lecz tym razem gratulujemy sobie nawzajem, minęła zaledwie godzina dyskretnego śledzenia, a zajeżdżamy pod dom. Bynajmniej nie ten, w którym pan mąż mieszka ze swoją żoną!

Zatrzymujemy się kawałek dalej i patrzymy, jak facet wysiada z samochodu, otwiera bagażnik i wyciąga z niego niewielką torbę. Włączam kamerę na desce rozdzielczej.

– Ciekawe – mówi Steph, zerkając przez lornetkę.  
– Wiem. Chyba nie potrzebowałby takiej torby, gdyby nie zamierzał zostać na noc?  
– Dokładnie tak. Chyba właśnie przyłapałyśmy go na gorącym uczynku.

Steph wyciąga aparat z teleobiektywem i robi zdjęcia.

Jest tam skupisko domów z małymi ogródkami. Mężczyzna otwiera drzwi kluczem i znika w jednym z nich.

– Ooo! – Steph odkłada aparat i patrzy na mnie. – I co teraz, mądralo?

– Hm. Wygląda na to, że czeka nas trochę siedzenia. Miejmy nadzieję, że wyjdzie na kolację czy coś w tym rodzaju.

Siedzimy i gapimy się na drzwi. W rzeczywistości powinniśmy być zadowolone, że jesteśmy na tropie, ale na razie jeszcze niczego nie udowodniłyśmy. Ten dom może należeć do każdego. Na dziewięćdziesiąt procent mieszka w nim kochanka pana męża, lecz przez wzgląd na dramatyczne okoliczności tej sprawy wolałabym się mylić.

Ponad dwie godziny później puszczam niekontrolowane wiatry.

– Czy mogłabyś tego nie robić? Zabijesz mnie tym smrodem! – jęczy Steph.

Dzień jest słoneczny, więc wielu mieszkańców przesiaduje na zewnątrz. Nie chcemy wzbudzać zbyt wielu podejrzeń, opuszczając przyciemnione szyby i zdradzając swoją obecność. Dwie kobiety siedzące w samochodzie przed budynkiem mieszkalnym bez wątplenia budzą podejrzenie.

– To przez te twoje cholerne bobki! Te jagody goji, którymi mnie poczęstowałaś! Masz teraz za swoje – odpowiadam, ciesząc się w głębi ducha, że jej podstęp obrócił się przeciwko niej.

– Muszę wysiąść. Nie zniosę tego. Idę się przejść.

– Wygrałam! – wykrzykuje zachwycona. Średnio kobiecy konkurs, ale przynajmniej dostarcza rozrywki na dwadzieścia minut. Zawsze wygrywam bitwy na wypłoszenie smrodem, bo straciłam węch. Jako dziecko wcisnęłam sobie fragment długopisu do nosa, uszkadzając zakończenia nerwowe. Nie dało się z tym już nic zrobić. Trzyletnia Paris wsadziła sobie koralik do nosa, a moja mama stwierdziła, że to karma za cały ten stres, o jaki przyprawiłam ją, kiedy byłam małą.

Patrzę, jak Steph dociera na koniec ulicy i się zatrzymuje. Woli nie iść dalej, na wypadek gdyby nasz obiekt się pojawił.

Któregoś razu Jess postanowiła się wysikać w bocznej uliczce. To było na samym początku naszej działalności, a ona wlała w siebie hektolitry płynów. Obserwowałyśmy kogoś od paru godzin i przez ostatnie dwie jęczała z tęsknoty za toaletą. Miałyśmy odjechać punktualnie o dziewiątej wieczorem, więc o ósmej pięćdziesiąt sześć poszła się wysikać w bocznej uliczce. O ósmej pięćdziesiąt osiem pojawił się nasz ówczesny obiekt i wsiadł szybko do samochodu. Straciłam Jess z oczu, ale nie mogłam zmarnować ośmiu godzin pracy, dlatego ją tam zostawiłam. W samym środku zimy, na trzaskającym mrozie. Zdołałam po nią wrócić dopiero po dwóch godzinach. Zdążyła w tym czasie przebyć na piechotę ponad trzy kilometry do najbliższego pubu w poszukiwaniu schronienia. Nigdy więcej nie piła tyle w trakcie pracy. Kogo jak kogo, ale Jess na pewno nie zobaczycie z butelką wody podczas obserwacji!

– Skończyłaś? – pyta Steph, zaglądając do auta po dziesięciu minutach.

– Skończyłam. Przysięgam.

– Szczerze czy nie?

– Hm, prawdę mówiąc, sama nie wiem.

– Lepiej sama się przejdź, jeśli masz zamiar znowu zacząć. To wcale nie jest zabawne.

– Tak, psze pani.

– I co my teraz zrobimy? Przecież nie możemy tu sterczeć całą noc!

– Wiem. Przejrzałam zdjęcia, na których widać, jak tu wchodzi. Zadzwoń do klientki i podam jej adres. Niech sama zdecyduje, czy mamy tu siedzieć całą noc.

– Zgoda. Sprawdzę numer domu.

Patrzę, jak biegnie truchtem na koniec ulicy, zerka ukradkiem na drzwi wejściowe, obraca się na pięcie i pędzi z powrotem.

– Jest problem – oznajmia, wsiadając do samochodu.

– Jaki?

– Na drzwiach wisi sześć numerów. Tam są mieszkania.

– Szlag! – Osuwam się na siedzeniu i gapię na samochody stojące przed nami.

– I co teraz? – Uwielbiam, kiedy tak na mnie patrzy, czekając na odpowiedź, chociaż w rzeczywistości jest równie dobra w te klocki jak ja. Jeśli nie lepsza.

– Cóż... hm... wiem! – Doznaję olśnienia. – Będę babeczką z Avonu!

– Ale jaja! – śmieje się Steph. – Muszę to zobaczyć!

Wysiadam z samochodu i nurkuję do Narnii po rekwizyty. Kilka minut później jestem znowu na swoim miejscu. Spinam włosy w niski kok, a na nos wsuwam ciemne okulary. Wizerunku dopełniają wściekle czerwona szminka i marynarka. No i, rzecz jasna, obowiązkowy notes!

– Imponujące – stwierdza Steph, kiedy prezentuję jej końcowy rezultat, czekając na zatwierdzenie. – Idź tam i daj czadu!

Ruszam ścieżką do frontowych drzwi. Na szczęście większość mieszkańców wróciła już do swoich domów. Słońce zachodzi, pomalą zapada zmrok. Naraz drzwi stają otworem. To oni! Nie mam wyjścia, muszę iść dalej. Jeśli zawrócę teraz do samochodu, wzbudzę jeszcze więcej podejrzeń. Zmierzają w moją stronę, trzymając się pod ramię. O mój Boże, mam nadzieję, że Steph to filmuje. Nawet nie zabrałam telefonu. Jestem wściekła.

Obiekt patrzy mi prosto w oczy. Spuszczam głowę i wpatruję się w notes. Dobrze, że nie mam skłonności do rumieńców, w przeciwnym razie moja twarz przybrałaby buraczaną barwę. Kochanka rzuca mi spojrzenie w rodzaju „łapy precz od mojego faceta”. Całkiem interesująca, na oko po czterdzieście, o bardzo długich jasnych włosach i opalonej cerze. Zawsze się zastanawiam, czy ludzie uważają, że to lepiej czy gorzej, kiedy ich partner wdaje się w romans z kimś atrakcyjnym. Podejrzewam, że to już indywidualna kwestia.

Już mnie minęli, postanawiam więc odstawić numer pod tytułem „ojej, zapomniałam czegoś” i zawrócić. Nic nie zauważają, bo wsiadają razem do samochodu. Ociągam się nieznacznie, dopóki nie docierają na przeciwległy koniec ulicy, po czym zrzucaam szpilki i puszczam się sprintem. Wskakuję na siedzenie kierowcy i odpalam silnik.

– Nagrałaś ich? – pytam Steph, kiedy ruszamy.

– Jasne!

Co za ulga!

– Dzięki Bogu! Źle wypadłam? – pytam, domagając się akceptacji.

– A skąd. Wyglądałaś jak babeczka z Avonu, która się zgubiła... Tamtędy! – Wskazuje drogę.

– Właśnie taki miałam zamiar. – Powinnam się jak najszybciej przebrać. Pracujemy tylko we dwie, więc jeśli będę musiała wysiąść i śledzić ich na piechotę, nie mogę znowu wyglądać jak babeczka z Avonu.

Rozpuszczam kok.

– Za dziewięćdziesiąt metrów w lewo – rzuca Steph.

Odczepiam przedłużki...

– Przyspiesz, przed nami światła.

Łapię za szczotkę i przejeżdżam nią po włosach.

– Trzy samochody przed nami.

Sięgam po paczkę mokrych chusteczek i ścieram czerwoną szminkę, jak również większość makijażu z oczu. Zdjęłam już okulary, jeśli więc zmienię bluzkę, kiedy tylko się zatrzymamy, będę wyglądać zupełnie inaczej.

Obiekt zmierza w kierunku autostrady. Mogę się trochę odprężyć.

– Chyba jadą na lotnisko – stwierdza Steph z niepokojem wypisanym na twarzy. Nic nie mówię, ale myślę, że ma rację.

Dwadzieścia minut później zajeżdżamy pod lotnisko.

– Denerwujesz się tak samo jak ja? – Steph wygląda na zmartwioną.

– Hm, no, tak.

Parkuję samochód, a ja wypuszczam Steph, żeby mogła śledzić ich dalej na piechotę.

I co teraz będzie? Pojęcia nie mam. A jeśli obiekt wskoczy do samolotu, a Steph i ja będziemy ostatnimi osobami, które go widziały? Jak my przekazemy tę wiadomość naszej klientce? Czy mamy zadzwonić do niej teraz i powiedzieć, gdzie jest jej mąż? A jeśli przesadzamy? Prywatni detektywi dzielą się na tych urodzonych, którzy potrafią myśleć w biegu, i na takich, którzy muszą ciężko pracować na efekty. Plasuję się gdzieś pośrodku, ale mam wrażenie, że ta sytuacja to jakaś próba.

Wyciągam z bagażnika klapki. Zamierzam porzucić szpilki i pobiec na terminal. Steph przysłała mi SMS-a z informacją, w którą stronę idą. Przedzieram się przez tłum ludzi i bagaże. Wszyscy są w wakacyjnym nastroju, dlatego snują się w ślimaczym tempie. Ruchome schody to już w ogóle koszmara. Kiedy próbuję się przepchnąć, czuję na sobie paskudne spojrzenia. Boże broń, żebym sama się gdzieś wybierała!

Walcząc o każdy oddech, jako że nie jestem szczególnie wysportowana, w końcu znajduję Steph i nasz obiekt. Pan mąż i jego kochanka całują się jak trzeba, z należyty entuzjazmem – bynajmniej nie po koleżeńsku – a Steph nagrywa każdą sekundę. Ogarnia mnie to samo uczucie, co za każdym razem, kiedy przyłapujemy kogoś na zdradzie: cieszę się, że zdobyliśmy dowody i zrobiliśmy swoje, ale też smucę, bo znów straciłam jakąś część wiary w ludzką naturę!

– Jedno z nich odlatuje – mówi Steph. Z zapatym tchem przyglądamy się operze mydlanej, która rozgrywa się przed naszymi oczami.

– Wyciągnął z bagażnika jeszcze jedną walizkę – opowiada Steph. – Do kochanki raczej nie należy, bo z jej domu niczego nie wynosili. Pewnie walizka była w samochodzie, odkąd wyjechał z farmy. To facet najwyraźniej wylatuje.

Przyglądamy się w milczeniu. W tej samej chwili kochanka przejmuje walizkę od obiektu, całują się, po czym kobieta odwraca się i odchodzi – sama. A więc walizka ostatecznie należy do niej.

Steph wzdycha. Wygląda, jakby miała zaraz paść z wyczerpania. Ogarnia mnie niewypowiedziana ulga. Steph wyłącza kamerę i znowu podąża w ślad za naszym obiektem, podczas gdy ja pędzę po samochód.

W związku z tą sytuacją nasuwa nam się jednak pytanie – co byśmy zrobiły, gdyby pan mąż wszedł do tego samolotu? Dopóki nie zyskałybyśmy pewności, nie mogłybyśmy nic powiedzieć klientce. Ale wtedy byłoby już za późno, żeby go dalej śledzić albo chociaż dowiedzieć się, dokąd leci. Nie miałyśmy pojęcia, że wybiera się na lotnisko, dopóki nie dotarłyśmy na miejsce, więc nawet gdybyśmy zadzwoniły do jego żony, i tak nie zdążyłaby przyjechać. Mogłyśmy się przecież pomylić i wywołać niepotrzebną panikę. Nie, jestem zdania, że poradziłyśmy sobie z tą sytuacją dokładnie tak, jak należało.

Następnego dnia siedzę w Domku na Drzewie i z duszą na ramieniu dzwonię do klientki. Mówię, że bardzo jej współczuję straty i wszystkiego, przez co przeszła. Szybko dodaję, że

zebrałyśmy dowody, o które prosiła. Klientka chce przede wszystkim wiedzieć, czy przyłapałyśmy jej męża na gorącym uczynku. Owszem. Opowiadam, jak jechałyśmy za nim do domu, a potem na lotnisko. Wyjaśniam, że pan mąż najwyraźniej przez cały dzień woził walizkę kochanki w bagażniku, chociaż nie wiem dlaczego. Razem pojechali na lotnisko, ale kochanka odleciała sama. Powodów tej decyzji możemy się tylko domyślać. Może facet postanowił zostać z żoną? A może kochanka po prostu zrobiła sobie wakacje? W tej kwestii nie mamy pewności, za to możemy stwierdzić, że mąż ją zdradza. Na tę odpowiedź czekała od bardzo dawna. Kłamał, kiedy wycofywał swoje wyznanie. Był niewierny.

Nasza klientka przyjmuje to dość dobrze. Oczywiście cierpi, ale czuje ulgę. Wie, że dla nich to już koniec. Zdjęcia i nagrania są gwoździem do trumny, w której spoczywa ich małżeństwo. Chciałoby się wierzyć w drugiego człowieka i wiedzieć, że kiedy los ześle nam coś tak strasznego jak śmierć dziecka, to będziemy się trzymać razem. Że to nas na swój sposób do siebie zbliży. Lecz w tym przypadku stało się odwrotnie. Sprawa poruszyła i Steph, i mnie. Przez następne miesiące ciągle myślałyśmy o tej kobiecie i zastanawiałyśmy się, jak sobie radzi.

W rzeczywistości nie minęło wiele czasu, kiedy odezwała się ponownie. Historia wcale nie dobiegła wtedy końca. Zrobili to, co wiele innych par: na przemian rozstawali się, a potem schodzili. Facet raz powtarzał klientce, że zerwał z kochanką – a raz, że nie zerwał. Lecz jej następna prośba jest nieco bardziej ekstrawagancka.

Obydwoje przeprowadzili się do Włoch. Nie są razem, ale mieszkają dwie godziny drogi od siebie.

„Nie wiem, co się dzieje, a mąż nie chce mi podać swojego adresu. Co dwa tygodnie mnie odwiedza, ale zaczęłam coś podejrzewać, kiedy się dowiedziałam, że ona mieszka w tym samym regionie. Nie wiem już, w co wierzyć, nie chcę jednak od niego odchodzić, chyba że naprawdę żyją ze sobą. Po prostu muszę wiedzieć”.

„Steph, pakuj manatki! – wysłałam SMS-a. – Lecimy do Włoch!”

Wyprawa do Włoch była wspaniałą przygodą. Całymi dniami jadłyśmy makaron, słuchałyśmy śpiewu mężczyzn na gondolach i piłyśmy znakomite wino... Och, kogo ja oszukuję? To jedna wielka bzdura! Poleciałyśmy tam i przez niemal dwa tygodnie goniliśmy za cieniem, jeżdżąc w tę i z powrotem przez wiejskie okolice starymi, rozklekotanymi pociągami. I cały czas dręczyły nas mdłości.

Pan mąż nie mieszkał w miejscowości turystycznej, tylko w zapomnianej włoskiej miejscinie. Zatrzymałyśmy się w pensjonacie trzy domy dalej. Wolałabym nie zagłębiać się w szczegóły, jakie gatunki insektów dzieliły z nami pokój. Delikatnie rzecz ujmując, czułyśmy się tam niezbyt komfortowo. Każdego dnia budziłyśmy się z modlitwą, żeby pan mąż spotkał się ze swoją kochanką, bo wtedy mogłybyśmy zebrać dowody i wsiąść do pierwszego samolotu odlatującego do cudownego (i co z tego, że wiecznie deszczowego) Manchesteru! Zamiast tego nasze męczarnie ciągnęły się dzień za dniem. Pan mąż każdego ranka wskakiwał do pociągu, jechał nim przez półtorej godziny, pracował, a wieczorem wracał do swojego włoskiego domu. Kochanki ani widu, ani słyhu. To była najcudowniejsza nudna sprawa pod słońcem. Kilka tygodni później kontrakt się skończył i pan mąż wrócił do domu na dobre.

Kiedy teraz o tym myślę, tło tej sprawy budzi mój niepokój. Kto z nas wie, jak sobie poradzimy, jeśli spotka nas w życiu coś strasznego? Śmierć dziecka to najgorsze, co może się przytrafić rodzicowi. Pan mąż poradził sobie z tym bólem, wdając się w romans. Trudno nazwać ten sposób idealnym, ale jeśli tego właśnie potrzebował, to co nam do tego? Wiem, z moją przeszłością nie mam prawa głosu.

Na szczęście wszystko wskazuje na to, że zamknęli ten smutny epizod i w końcu zaczęli nowe życie.

## I kiedy już sędzisz, że nic cię nie zaskoczy...

Steph i ja wyglądamy jak rośliny doniczkowe! Jesteśmy w szkockich Highlands, gdzieś w pobliżu Loch Ness. Od trzech dni, ubrane w paskudne zielone płaszcze przeciwdeszczowe, siedzimy niemal non stop na składanych stołeczkach niczym gnomy. Wieczorem pędzimy do naszej „wypasionej” chaty z bali nad brzegiem jeziora, gdzie śpimy. Jest zimno, nudno, okropnie. Żadnej telewizji ani rozrywki, nic. Tylko my dwie i wędkarze wokół! W pewnym momencie musiałam powstrzymać Steph, bo już chciała pobiec do najbliższego oddziału Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami wypożyczyć psa i w ramach walki z bezczynnością wyprowadzać go na spacer.

Trochę głupio powiedzieć, że mamy ostatnio posuchę. To niezbyt miłe określenie sytuacji, w której od czterech tygodni każda obserwowana przez nas osoba dochowuje wierności partnerowi. Śledzimy wyimaginowane zdrady. Można by pomyśleć, że mamy szczęście, bo przesiadujemy sobie nad brzegiem malowniczego jeziora. Tyle że gapienie się przez cały boży dzień, aż do zmierzchu, jak siedemdziesięciolatek łowi ryby, to czysta nuda. Wiem, że robimy to z myślą o jego małżeństwie, ale rany – nuda to nawet za mało powiedziane.

Jak na złość w pobliżu nie ma żadnych restauracji ani jedzenia na wynos. Wczoraj posłałam Steph na poszukiwanie supermarketu. Skończyło się na osiemdziesięciokilometrowej wyprawie! Tyle dobrego, że został nam już tylko jeden dzień, a potem możemy wracać do domu. Koniec z siedzeniem nad brzegiem jeziora i wtapianiem się w tłum wędkarzy. W głowie mi się nie mieści, gdzie ten facet miałby tu znaleźć kochankę!

Nigdy nie sądziłam, że dojdzie do sytuacji, w której detektyw płci męskiej byłby lepszy od detektywa płci żeńskiej. Pasujemy dosłownie wszędzie i wzbudzamy mniej podejrzeń – ale siedząc tutaj, muszę odszczekać własne słowa. To jest ten jeden jedyny raz, kiedy lepiej sprawdziłby się mężczyzna niż my.

Telefon zaczyna dzwonić i Steph spada ze swojego stołeczka. Drzemała w czasie pracy, schowana pod płaszczem!

– Słucham, Damska Agencja Detektywistyczna – mówię, zerkając, jak Steph gramoli się z powrotem na stołek i udaje, że nic się nie stało.

– Dzień dobry, czy mogłaby mi pani pomóc? – Kobieta po drugiej stronie ma bardzo cichy głos. Tym razem muszę obniżyć te swoje północne, krzykliwe tony.

– Oczywiście. W czym konkretnie potrzebuje pani naszej pomocy? – Staram się mówić łagodnie.

– Sądzę, że mój mąż romansuje z kobietą, którą znam. Dokładnie rzecz biorąc, z naszą sąsiadką. Mieszkamy w Buckinghamshire. Nie mam pewności, że to prawda, jedynie silne podejrzenia.

Myślę, że to wyśmienita lokalizacja. W okolicy mieszka moja kuzynka, mogłabym połączyć pracę z wizytą u niej.

– Dobrze. I zapewne chciałyby pani, żebyśmy zebrały dla pani dowody?

– Owszem. Mogę wam podać wszelkie niezbędne informacje, jestem jednak zdania, że obserwację należy rozpocząć dopiero, jak mąż podwiezie mnie do pracy. Jeśli nie stanowi to problemu?

Wyjątkowo uprzejma kobieta.

– W żadnym razie. Odnoszę wrażenie, że dobrze to pani przemyślała.

Przez blisko godzinę klientka opisuje rozpad swojego ponad czterdziestoletniego małżeństwa. Szacuję jej wiek na mniej więcej sześćdziesiąt lat. Mają dużą rodzinę, łącznie pięcioro dzieci. Dobrze im się wiodło, ale kiedy dzieci się wyprowadziły i zaczęły życie na własny rachunek, chyba się pogubili. Dość smutna historia. On stał się obojętny, a ona wciąż tęskni za rodziną, której już nie ma przy sobie na co dzień. W pewnym momencie nabrała przekonania, że mąż znalazł pocieszenie – czy raczej „rozrywkę” – w ramionach innej kobiety, ich sąsiadki.

Ta inna kobieta jest kosmetyczką. Klientka chce, abyśmy w ramach śledztwa zamieniły z nią słowo i spróbowały wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Bardzo pięknie, ale jak nakłonić drugiego człowieka, żeby wyznał całą prawdę? Takie rzeczy się nie zdarzają, zwłaszcza gdy ktoś ma coś do ukrycia. Dlatego dochodzę do wniosku, że pójdę zrobić sobie manicure! Kosmetyczki lubią pogawędzić, a zadawanie pytań w trakcie takiej rozmowy nie powinno wzbudzić żadnych podejrzeń. Na następnym etapie śledztwa będziemy śledzić męża, kiedy już podrzuci żonę do pracy, i zobaczymy, co robi.

– Zapowiada się niezłe? – pyta Steph, wyglądając spod płaszcza i pałaszując jabłko.

– Bardzo możliwe – odpowiadam, po czym wprowadzam ją w szczegóły. – Chwilowo zdycha nam każde śledztwo, dlatego wcale się nie zdziwię, jeśli facet jest absolutnie niewinny.

– Słuszna uwaga. – Steph podziwia przepiękną okolicę, po czym patrzy na mnie wzrokiem zagubionego szczeniaka. – Czy możemy już wracać do domuuuuuuuuu?

– Za trzy godziny – odpowiadam, wpatrując się w wodę.

– Och, ale... Przecież on przez te trzy godziny nie będzie robił nic poza moczeniem kija w wodzie! Opuśćmy sobie.

– Nie! Płacą nam za ślęczenie tutaj. Pogódź się z tym! – mówię stanowczo.

Steph prychna, ale wraca do obserwowania, jak nasz obiekt łowi kolejną rybę.

Kilka dni później. Jest cudowny jesienny dzień, jeden z tych, kiedy z czystym sumieniem można wskoczyć w wysokie kozaki i wełniany pulower. Chciałabym pojechać o tej porze roku do Nowej Anglii i zobaczyć tamtejszy krajobraz. Liście zmieniające barwy na czerwień, żółć i złocisty brąz, a do tego lekki mróz w powietrzu. Na razie jestem jednak skazana na angielskie widoki, które, przyznaję, również zapierają dech w piersiach. Dotarliśmy do Buckinghamshire i rozgościliśmy się w naszym nowym domu, aby spędzić tydzień z moją kuzynką.

Właśnie zajechałam pod żółto-niebieski salon kosmetyczny i zmierzam do środka. Steph obecnie testuje rozkosze oferowane przez miejscowe spa. Sądząc po wyglądzie budynku, jej wyjdzie to na lepsze niż mnie. Kiedy otwieram drzwi, odzywa się dzwonek.

– Dzień dobry – kobieta wita się śpiewnym głosem. Wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu, które dostałam, co pewnie wydaje się dość oczywiste. Tyle że nie każdy przypomina siebie ze zdjęć. Ona – owszem. Jest drobna, ma jasne włosy obcięte na boba. Dość atrakcyjna, moim zdaniem.

– Dzień dobry, jestem umówiona. Hannah Jameson. – To nazwisko przyszło mi do głowy, kiedy wcześniej dzwoniłam.

– Och, miło panią poznać, Hannah. Jeszcze pani u nas nie widziałam. – Wygląda na to, że jest tak rozmowna, jak tego oczekiwałam.

– Nie, przyjechałam tutaj w związku z pracą. – Staram się uśmiechać i sprawiać wrażenie towarzyskiej.

– Wspaniale, zapraszam do środka i zaczynamy. Więc czym się pani zajmuje? – Już robi się gadatliwa. Właśnie tego mi trzeba.

– Jestem projektantką wnętrz. Mam tutaj klientkę, urządzam jej salon. – Zmyślanie na



poczekaniu to moja specjalność, dlatego nigdy nie przygotowuję się wcześniej.

– Rewelacyjna praca! Chciałabym się zajmować czymś takim.

Następnie zaczyna pisać z zachwytu nad salonem, kuchnią, korytarzem, łazienką, sypialniami, gabinetem i każdym innym elementem swojego domu. Wypytuje, czy paski sprawiają, że pokój wydaje się większy czy mniejszy. Czy fiolet niedługo wyjdzie z mody i czy złota armatura jest w złym guście. Gdyby na czele hiszpańskiej inkwizycji kiedykolwiek miała stanąć kobieta, ona byłaby doskonałą kandydatką. Czuję się bombardowana pytaniami, spadają na mnie jedno za drugim jak pociski, ale mówię jej, co sędzę na temat urządzania wnętrza, żeby potem skierować rozmowę na życie prywatne.

Słyszę dźwięk przychodzącego SMS-a. Steph.

„Jakieś powody do radości? :-\*”.

Wzdycham, bo odpowiedź brzmi: nie. Nie przyszedłam tutaj na pogawędkę o wnętrzach.

– Ooo, czyli nic fajnego? – pyta Gaduła, kiwając głową w kierunku mojego telefonu.

– Wie pani... kłopoty z chłopakiem... – odpowiadam. Kłamstwo numer milion czterysta tysięcy.

– Minął już kawał czasu, odkąd sama miałam c h ł o p a k a – śmieje się.

– Niemożliwe! Pani jest jeszcze za młoda na męża. – Kiedy człowiek szuka informacji, pochlebstwo zawsze się sprawdza. Dobrze wiem, że Gaduła jest w odpowiednim wieku. Po trzydziestce.

– Proszę się nawet nie wygłupiać. Już dawno wypadłam z gry.

– Bez żartów. Na pewno mężczyźni uganiają się za panią stadami!

– Ach, kiedyś było ich całkiem sporo. Ale te czasy mam za sobą. Poza tym nie powiem, żebym była tym zainteresowana. Wysłałam za męża i ustatkowałam się już dawno temu. – Mówi to spokojnym, być może szczerym tonem.

– Doskonale rozumiem. Prawdę mówiąc, jestem podobnego zdania. Nie zamierzam kłamać. Facet, z którym zaczęłam się spotykać, jest żonaty, ale mnie to przeszkadza. Dowiedziałam się o tym dopiero w zeszłym tygodniu i bardzo mnie to zabolowało. – Odstawiam przedstawienie godne Oscara, mam nawet łzy w oczach.

– Nie powiedział pani, że ma żonę? – Sprawia wrażenie autentycznie wstrząśniętej.

– Właśnie.

– Straszne! Co za szczęście, że wysłałam za porządnego mężczyznę! – Gaduła ma naprawdę radosny, promienny uśmiech.

– Och, to cudownie. Od dawna jesteście małżeństwem?

– Ponad dziesięć lat. I jesteśmy tak samo szczęśliwi jak w dniu ślubu, jeśli nie bardziej.

– Wspaniale.

– Tak, naprawdę dobrze trafiłam. Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli poszuka sobie innej kobiety na boku. Chociaż oboje jesteśmy całkowicie przeciwni romansom i byłabym w szoku, gdyby próbował. Cieszymy się naszym zwykłym, codziennym życiem, nawet jeśli to brzmi jak banał.

Chyba jej wierzę.

– Nie brzmi. To naprawdę wspaniale. A ja zaczynam się bać, że nie ma już porządnym mężczyzn.

– Wiem, o czym mowa. Ile ja się nasłucham o tym w pracy. Wszystkie moje znajome też mają ten problem ze swoimi facetami, co bardzo mnie niepokoi. Codziennie dziękuję szczęśliwej gwiazdce za takiego męża.

Mały pokaz miłości trwa aż do końca zabiegu. Jestem już święcie przekonana, że ta kobieta nie może mieć romansu. Jest zupełnie szczerą – a rzadko coś takiego stwierdzam.

Opuszczam salon i po raz pierwszy w tym sezonie stukając obcasami wysokich kozaków, wracam do samochodu z kilkoma liśćmi pod podeszwą. Piszę do Steph:

„Nic z tego. Wracam. :-\*”.

Znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

Ucinam sobie kolejną długą pogawędkę z naszą klientką. Wciąż wszystko zdaje się wskazywać, że jej mąż ma romans. Jeśli nie z kosmetyczką, to na pewno z kimś innym. Im dłużej słucham jego żony, tym bardziej utwierdzam się w tym przekonaniu. Obiekt wraca z pracy godzinę później, niż powinien. Poza domem wyłącza telefon. Wolałby go połknąć, niż pokazać jego zawartość. Ustawił hasła w swoich komputerach i telefonach, jakby pracował w MI5. I w ogóle nie okazuje zainteresowania żoną. Z pewnością coś ukrywa – musimy się tylko dowiedzieć co.

Następnego dnia siedzimy ze Steph w samochodzie przed ich domem, w typowej dzielnicy mieszkalnej.

Jest wczesny ranek. Mężczyzna opuści dom w ciągu następnych trzydziestu minut. Klientka nie potrafi powiedzieć, czy tego dnia odwiezie ją do pracy, dlatego prosiła, abyśmy zaczęły go śledzić, gdy tylko przekroczy próg. W końcu wyłaniają się razem i wsiadają do samochodu. Zaparkowałyśmy za rogiem, poza zasięgiem wzroku, ale wyjeżdżając, będą musieli nas minąć.

– Jedzie – rzuca Steph zza swoich czarnych okularów.

Nasz obiekt skręca za następnym rogiem i wtedy ruszam na pełnym gazie. Opuszczamy dzielnicę, po czym mężczyzna wjeżdża na skrzyżowanie z autostradą. Stoi tam znak drogowy... jeden z najgorszych w życiu każdego detektywa: ROBOTY DROGOWE.

– O... szlag... – mówi Steph. Wie, co nas czeka. Wyruszyliśmy zaledwie dziesięć sekund temu i już natknęłyśmy się na przeszkodę.

Motto śledztwa brzmi: im większe natężenie ruchu, tym bliżej celu należy się trzymać. To z kolei stwarza kolejne problemy – że cię zobaczą, jesteś za blisko, że przeoczysz jakiś sygnał i tak dalej. Niestety nie mam innego wyjścia, muszę zbliżyć się do nich tak bardzo, jak tylko zdołam. Łatwiej jednak powiedzieć, niż zrobić. Są godziny szczytu, a nasz obiekt włączył się do ruchu. Koszmar.

– O ósmej rano mogłabym się bez tego obejść – mówię tonem z rodzaju „mam pietra, ale nie dam tego po sobie poznać”. Na dodatek moje okulary leżą na tylnym siedzeniu i Steph próbuje po nie sięgnąć. Naprawdę powinnam je nosić przez cały czas, tylko ciągle o tym zapominam.

– Widzisz go? – woła, balansując między przednimi i tylnymi siedzeniami.

– Szczerze?

– Dobra, zapomnij. – Już wie, jak brzmi odpowiedź. Na szczęście znajduje okulary i może znów wygodnie usiąść.

Ruch przede mną pomału zamiera.

– Nie możemy go zgubić po trzydziestu sekundach!

– Chrzanić to!

– Co ty robisz? – Steph wygląda na zaniepokojoną, kiedy zerkam na wszystkie samochody za mną, a potem przede mną.

– Żadnych glin – stwierdzam, po czym zjeżdżam na utwardzone pobocze i mijam samochody stojące w korku. Naprawdę muszę przestać tak robić. Zaczyna mi to wchodzić w nawyk. Unikam kontaktu wzrokowego z innymi kierowcami, nawet na nich nie zerkam, bo nie chcę widzieć, jak wygrażają mi pięściami albo pokazują środkowe palce.

– O... mój... Boże. – Steph zasłania oczy. – Nie mogę na to patrzeć.

Na szczęście widzę już nasz obiekt, pięć samochodów przed nami, wciskam się więc z powrotem na zwykły pas. Cóż, tak naprawdę wpycham się bezceremonialnie, nie dając kierowcy za mną szansy na reakcję.

– Ty wariatko!

– Nie miałyśmy wyjścia, prawda? – pytam, nie oczekując odpowiedzi. Przez następne dwadzieścia minut tkwimy w korku, pomału jednak wraca nam dobry nastrój – dopóki nasz obiekt nie zjeżdża z autostrady.

– A ty co, zamierzasz się odlać?! – Steph drze się za nim. Widzę kolejny znak. Znowu roboty drogowe. Serce mi zamiera. Ten stres nie jest mi do niczego potrzebny.

– To z pewnością nie jest dobry dzień.

– Żebyś wiedziała.

– Czuję się jak gladiator gotowy do następnego pojedynku.

– Tak? A nie wyglądasz – Steph odpowiada ze śmiechem.

– Dowcipnisia! Patrz na samochód, młotku!

Tym razem naszym przeciwnikiem jest dwupasmówka zwężona do jednego pasa. Na dodatek prowadzi na nią zjazd, którym nadciągają nowe samochody. Jakaś próbująca włączyć się do ruchu baba sądzi, że zdoła się wepchnąć przede mną. Jasne. Chyba nie wzięła pod uwagę, że moje auto jest większe i szybsze niż jej! Wyraża swoje niezadowolenie, naciskając klakson, i to pięciokrotnie! Wariatka. Wkurzona odpowiadam jej tym samym.

– Średni pomysł w sytuacji, kiedy powinniśmy trzymać się w cieniu i tak dalej – ironizuje Steph. – Przestań!

Wkurzająca baba trąbi jeszcze dwa razy.

– Okej, skończyłam. – Co prawda zeszło ze mnie trochę napięcia, ale nie było to zbyt profesjonalne zachowanie z mojej strony.

Dziesięć minut później stajemy w obliczu innego ryzyka, jakie niesie zawód detektywa. Światła. Nie mogłyśmy postąpić inaczej. Nasz obiekt przejeżdża na zielonym, które zaraz potem zmienia się na czerwone.

– Nieeeeeeeee! – jęczy Steph. Przyznaję się do porażki i uderzam rękami w kierownicę. Ze wszystkich ludzi, których śledziłyśmy, ten facet nie powinien właściwie stwarzać żadnych problemów, bo nie przekracza prędkości i nie łamie przepisów. Los nam jednak nie sprzyjał – tracimy obiekt z oczu. Obie, nadąsane, gapimy się przez boczne okna.

– Nie wierzę. Po całym tym zamieszaniu – rzuca tępo Steph.

– Ryzyko zawodowe – wzdycham i ruszam, bo znów mamy zielone światło.

Potem muszę stawić czoło czterem niedzielnym kierowcom. Robię, co w mojej mocy, żeby ich wyprzedzić, ale obiekt za bardzo się od nas oddalił. Przez głowę przemykają mi różne wizje. Widzę, jak facet wysadza żonę, po czym zajeżdża pod burdel. Albo spotyka się z kochanką w jakimś obskurnym hotelu. Tak czy siak – zgubiłyśmy go. Teraz musi zdradzić. Dochodzę do wniosku, że jedynym wyjściem jest jechać w kierunku, w którym zmierzał. Wiemy, gdzie pracuje jego żona, dlatego po prostu udamy się tam, licząc na łut szczęścia. Gdyby klientka wiedziała wcześniej, że mąż podrzuci ją do pracy, mogłybyśmy zacząć stamtąd. Jak zwykle zadziałało prawo Murphy'ego.

Mija dziesięć minut. Nadzieja wydaje się już stracona, gdy nagle dostrzegam auto, które przypomina samochód naszego obiektu.

– Steph, patrz! – Wskazuję na przeciwległy pas. Przyjaciółka zsuwa okulary i zerką. – Jaki on ma numer rejestracyjny?

Steph natychmiast znajduje go w telefonie i odczytuje na głos. Facet właśnie nas mija!

– To on!

– Zawracaj, zawracaj, zawracaj! – drze się Steph.

– Jestem na przeciwległym pasie!

Rozglądam się i czekam, aż minie nas samochód z naprzeciwka, po czym zawracam szybciej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Steph wiwatuje. Wbrew przeciwnościom losu od naszego obiektu dzieli nas tylko jeden samochód. Niesamowite. Czuję ulgę.

– Nie strać go z oczu – mówi Steph. To akurat oczywiste. Minęło sporo czasu, facet pewnie wysadził już żonę i teraz jedzie sam.

Dziesięć minut później podjeżdżamy pod jego dom. Śledząc go, ryzykowaaliśmy życie i zdrowie – a przynajmniej tak się czujemy. Nigdy nie miałyśmy równie trudnego, a jednocześnie prostego zlecenia. Los nam nie sprzyjał, ale stawiliśmy mu czoło i odniosłyśmy zwycięstwo. I gdzie lądujemy? Z powrotem pod domem naszego obiektu! Niewiarygodne.

Facet wchodzi do środka. Kolejne dwanaście godzin spędzamy na obserwacji. Nie wychodzi, nie robi absolutnie nic. Nie idzie do sklepu, nie zajmuje się ogrodem, nie pracuje. Wracamy do domu. Cały ten dramat na nic.

Następnego dnia dzwonię do klientki i wprowadzam ją w szczegóły (nie wspominając o tym, że na kwadrans straciłyśmy jej męża z oczu). Poznając po jej głosie, że jest głęboko rozczarowana. Chce, żebyśmy go przyłapały, bo kiedy dowie się najgorszego, będzie mogła przestać się zadrećczać pytaniami.

– Cóż, tym razem nam się wymknął. Więcej już tego nie zrobi – mówi klientka, niezłomnie przekonana, że ma rację i mąż naprawdę ją zdradza. Raz jeszcze każe nam go obserwować.

Trzy dni później znowu siedzimy pod ich domem. Czujemy się już jak u siebie. Zaczynamy o dziewiątej rano. Klientka pojechała do pracy, zostawiając męża samego. Na szczęście nie muszę znowu gonić za nim, desperacko omijając korki.

Steph i ja oglądamy film. Jemy lunch, który zabrałyśmy ze sobą, złożony z wrapów i sałatki. Potem przechodzimy do czasopism, po nich zaś do gier na telefonach. Około trzeciej zaczynamy zbijać bąki.

– Mam tego gościa serdecznie dość – mówi Steph. – Przecież on nic nie robi. Gdybyśmy przyznawały nagrody w kategoriach „najbardziej obleśny obiekt”, „najbardziej niezrozumiały obiekt” i tak dalej, ten koleś z pewnością wygrałby w kategorii „najnudniejszy obiekt”.

Całkowicie się z nią zgadzam. Niestety mamy za słaby zasięg, żeby włączyć telewizję w komórkach. Wtedy mogłybyśmy zabijać czas jeszcze przez parę godzin, oglądając *Grasz czy nie grasz* i *The Real Housewives of New York City*.

Dzwoni klientka i mówi, że zamierza zostać na noc u siostry, dlatego chce, abyśmy śledziły jej męża do jedenastej wieczorem. Czternaście godzin bez przerwy w samochodzie. Nie marudzimy, praca to praca, ale nudzimy się jak mopsy. Trzeba jej to przyznać, że okazja wydaje się idealna. Noc z dala od żoneczki, nigdy nie wiadomo, co facetowi przyjdzie do głowy. Kobieta jest święcie przekonana, że dzisiaj go przyłapiemy.

To dość irytujące, ale dochodzi siódma wieczorem, a on wciąż nic nie robi.

– Umieram z głodu – mówię Steph.

– Ja też.

Patrzymy na siebie jak dwa zbłąkane szczeniaki. Nie planowałyśmy siedzieć tu tak długo. Powinnyśmy skończyć pracę o czwartej po południu, dlatego nawet nie myślałyśmy o kolacji. Na dodatek znajdujemy się na osiedlu domów jednorodzinnych i w okolicy nie ma nawet sklepiku. Nagle przychodzi mi coś do głowy.

– Zamówimy chińszczyznę! – oznajmiam, bardzo zadowolona z siebie.

– Jasne, mądralo, a jak zamierzasz to zrobić? – Steph nie wygląda na przekonaną do

mojego genialnego planu.

– Sama zobaczysz. Na co masz ochotę?

– Chcę wegetariańskie *chow mein* z nerkowcami, moja ty mała czarodziejko. – Wyraźnie się ze mnie nabija.

– Kpij sobie do woli. Tylko popatrz. – Dzwonię na informację telefoniczną i proszę o numery chińskich restauracji sprzedających na wynos, które dowożą zamówienia pod miejscowy kod pocztowy.

– Najdurniejszy plan, o jakim słyszałam – mamrocze pod nosem Steph.

Dostaję numer, wprowadzam go do telefonu i składam zamówienie:

– Tak, chciałabym wegetariańskie *chow mein* z nerkowcami, kurczaka w sosie słodko-kwaśnym z ryżem i sajgonki. Adres dostawy... Samochód pod domem numer 21 przy Portland Gate Avenue. Podać numer rejestracyjny? – Steph nie przestaje się śmiać. – Nie, nie dom, samochód, który stoi pod tym domem... Tak, zgadza się... – potwierdzam, po czym podaję numer rejestracyjny. – Bez względu na wszystko proszę nie pukać do drzwi domu. Nas tam nie ma, siedzimy w aucie. – Kobieta jest zdziwiona tą prośbą, odpowiada jednak, że zajmie to dwadzieścia minut, po czym się rozłącza.

– Ty tak poważnie?

– Nie, właśnie zamówiłam wielkanocnego zajączka. Oczywiście, że poważnie!

– Oficjalnie odbiła ci szajba.

– Chciałaś jeść, będziesz jeść, kobieto.

Pięć minut później dzwoni mój telefon. To chińska restauracja, lecz tym razem rozmawiam z mężczyzną, najwyraźniej szefem, który nie mógł uwierzyć w to, co przeczytał na zamówieniu.

– Tak, zamówienie z dostawą do samochodu. Prowadzimy tajne śledztwo, obserwujemy kogoś. Więcej nie mogę panu zdradzić, ale siedzimy w tym aucie od jakichś dziesięciu godzin. – Próbuję go przekonać, w obawie, że chińczycy, której tak bardzo potrzebujemy, przejdzie nam koło nosa. Mężczyzna zgadza się wysłać zamówienie, pod warunkiem że zapłacę kartą przez telefon. Z radością się zgadzam. – Czy mógłby pan jeszcze dorzucić dwa widelce? Plastik będzie w sam raz – proszę beczelnie. Na szczęście nie ma nic przeciwko.

– Powiem to jeszcze raz: szajba!

– Zamówienie w drodze – informuję Steph z uśmiechem i odkładam telefon z prawdziwym poczuciem wygranej.

Obok naszego samochodu zatrzymuje się drugi i opuszcza szybę.

– Kolacja? – pyta Chińczyk, podnosząc plastikową torbę.

– To my!

– Dosssssssskonale! Panie tutaj potajemnie, tak?

O rany, facet pewnie będzie chciał do nas dołączyć albo co.

– Zgadza się, pan zaraz nas zdradzi – napomykam z szerokim uśmiechem.

– Och, tak, tak, ja nie zdradzać. Proszę bardzo. – I nie wysiadając z samochodu, podaje nam zamówienie przez okno.

– Życie nam pan uratował, wielmożny panie – mówię, bardzo dumna z siebie. Tak bardzo, że nawet daję mu napiwek. Odjeżdża niespiesznie, zostawiając nas sam na sam z cudownym posiłkiem.

– Muszę ci oddać sprawiedliwość – Steph otwiera swoje *chow mein*. – Pomysł pierwsza klasa!

– Wiem!

Zaczynamy wcinać.

– Pyyychaaa – mruczy Steph. – Niewiarygodne, że nigdy podczas obserwacji nie wpadłyśmy na ten pomysł.

– A przecież to takie proste! – przytakuję.

W tej samej chwili oczywistość staje się rzeczywistością – w końcu na tym polega prawo Murphy’ego.

– Och, to chyba jakiś żart! – mówi Steph z ustami pełnymi jedzenia, wpatrując się w boczne lustro. Nasz obiekt wychodzi z domu, z psem!

– Nie, facet wyprowadza psa. To twoja broszka.

– Na litość boską! – Odstawia kolację na podłokietnik między nami. Rzecz jasna, nie robi tego subtelnie niczym wróżka. Zagniewana wysiada z samochodu, ale na szczęście nie trzaska drzwiami.

Odstawiam swoją chińszczyznę obok jej porcji i patrzę, jak Steph idzie kawałek, trzymając się w sporej odległości za naszym obiektem, niemal tracąc go z oczu. Potem podbiega, żeby zobaczyć, w którą stronę poszedł. Za każdym razem, kiedy przyjaciółka skręca, ja ruszam tuż za nią samochodem. Bawimy się tak w kotka i myszkę przez następne dwa kilometry.

W końcu jednak wszystko diabli biorą. Steph znika za rogiem, żeby sprawdzić, w którą stronę poszedł, a facet wyrasta tuż przed nią. Sprząta psią kupę! Steph dosłownie na niego wpada. Pukam się w czoło. Tego nie dało się uniknąć, sęk w tym, że teraz Steph może tylko minąć gościa i spróbować przewidzieć, gdzie on skręci. Ja również muszę się zatrzymać, a to z powodu przechodzącej przez jezdnię starszej pani.

Biorę kolejny zakręt i moim oczom ukazuje się widok, który trudno nazwać miłym. Widzę Steph, ale nasz obiekt zniknął. Biedaczka kręci się w miejscu, całkowicie skołowana. Dzwoni mój telefon.

– Gdzie on się podział, do cholery?

– Nie mam pojęcia, staruszka kuśtykała przez drogę.

– Szlag, szlag, szlag, szlag! – Steph tupie nogą ze złości. – Okej, zostaw to mnie. Bądź w pobliżu.

Rozłącza się.

A zaraz potem... przeskakuje przez szkolny mur. Zjeżdżam do krawężnika i wypadam z samochodu, żeby rzucić okiem na drugą stronę. Steph gna ile sił w nogach przez szkolne boisko. Sytuacja jest kiepska, ale zabawna. Nie wiem, dlaczego mamy takiego pecha z tym facetem. Wymyka się nam przy pierwszej lepszej okazji.

Pędzę z powrotem do auta i sygnalizuję wyjazd. Muszę zawrócić i sprawdzić, czy gdzieś nie skręciliśmy źle, czy nie minęliśmy faceta.

Rozglądam się uważnie, a potem tak szybko, jak tylko potrafię, zawracam energicznie pośrodku drogi. Zgrabnie, zupełnie jak w filmach. O wiele zgrabniej niż wtedy, kiedy śledziłyśmy go spod biura żony. Tyle że chińszczyzna lata teraz po całym samochodzie. Łąduje na podłodze, na dywanikach, nawet na moim laptopie, który leży na tylnym siedzeniu. Jestem przerażona. Wielka chińska draka. Jak widać, przy tym zleceniu pech jest nam pisany.

Muszę się skupić i wrócić do poszukiwań obiektu – i Steph! Rozglądam się, ale nigdzie ich nie widzę. Zatrzymuję się, żeby poczekać. Jestem zmartwiona. Gdzie ona zniknęła? Próbuję się do niej dodzwonić, ale bezskutecznie. Mija piętnaście minut i wtedy odzywa się mój telefon. To Steph.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– Pojęcia nie mam!

– Co?

– Nie wiem! Są tu domy.

– Co się stało? – pytam, próbując wyłowić z tego jakikolwiek sens.

– Cóż, przeskoczyłam szkolny mur, bo wyglądało mi to na skrót do miejsca, gdzie facet mógł skręcić. Ale tam też go nie było. No to pobiegłam w prawo, a potem w lewo. Nie wiem, co się stało ani gdzie jestem. Zgubiłam go. – Sprawia wrażenie bardzo zawiedzionej.

– Na pewno nie wiesz, gdzie jesteś?

– Nie.

– Okej, rozłącz się i włącz lokalizator w telefonie. – Każda z nas go sobie zainstalowała, tak na wszelki wypadek. Raz uratował mi skórę, po tym jak przez osiem godzin jechałam samochodem za obiektem i nie miałam pojęcia, dokąd trafiłam. Na szczęście lokalizator wiedział.

– Dobry pomysł, mądralo. Wyślę ci SMS-a. Zaczekaj chwilę. – Rozłącza się, a potem przysyła mi wiadomość z informacją. Nie wiem, jak to zrobiła, ale wylądowała kawał drogi stąd! Podjeżdżam po nią. Jest przerażona stanem tylnego siedzenia samochodu.

– Coś ty tu robiła?!

– Nawet nie pytaj!

– Przez cały czas, kiedy się błąkałam, myślałam tylko o tym, że tu wrócę i skończę swoją kolację! – W jej oczach widać urazę i smutek.

Jedziemy z powrotem pod dom naszego obiektu. Facet jest w kuchni i parzy sobie herbatę! Najwyraźniej i tym razem nie zrobił nic złego. O jedenastej wieczorem kolejny dziwny dzień pracy dobiega końca. Wciąż nic nie mamy.

Znowu dzwonię do naszej klientki, relacjonuję jej wczorajsze dramaty (czy raczej ich brak), a ona wciąż jest święcie przekonana, że po prostu coś przeoczyłyśmy.

– Dopadniemy go następnym razem – oznajmia. Zupełnie jakby żałowała, że nie zdołałyśmy go na niczym przyłapać. Próbuję zasugerować, że może jej mąż nie ma żadnych grzechów na sumieniu, ale ona wie swoje. W żaden sposób nie zdołam jej przekonać. Po prostu słucham i robię to, co mi każe.

Mijają kolejne dwa tygodnie i klientka znów do nas dzwoni. Absolutnie pewna, że właśnie nadszedł dzień, w którym przyłapiemy jej męża na gorącym uczynku.

– Wieczorem pracuję. Rozmawiałam z naszą sąsiadką, tą kosmetyczką. Zakomunikowała mi, że idzie dzisiaj na przyjęcie ze znajomymi i przyjaciółmi. Zadzwoiłam do lokalu, do którego się wybiera, i nie mają tam żadnej rezerwacji na więcej niż osiem osób. A ona mówiła, że będzie ich dwadzieścioro. Mąż powiedział, że idzie na kolację do brata, ale to też kłamstwo. Rozmawiałam z jego bratem – wyjeżdża służbowo na dwa dni. Na pewno się dziś spotkają. Czy jedna z was mogłaby obserwować jej dom, a druga mój?

Odpowiadam, że oczywiście. Ten tok rozumowania brzmi przekonująco. Mówiłam jej już wcześniej, że moim zdaniem nie chodzi o kosmetyczkę, ale to klientka decyduje, za co nam płaci.

Tym sposobem kilka dni później raz jeszcze pełnimy wartę. Steph i ja obstawiamy dom obiektu, a Jess i Helen dom domniemanej kochanki. Jego nie ma. Jej też nie. Nie wygląda to obiecująco.

– Mam już dość tego osiedla – marudzi Steph.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Patrzymy na ten sam mur, na który przez cały miniony miesiąc gapiliśmy się godzinami.

Co dwie minuty przychodzą SMS-y od Jess i Helen: „Biały samochód odjeżdża”, „Astra skręca za rogiem”, „Przyjechał czarny golf”.

Dziewczyny zgłaszają każdy samochód, który zbliżył się do domu. Całe szczęście, że kosmetyczka mieszka na samym końcu ślepej uliczki, bo Jess i Helen podchodzą do sprawy naprawdę poważnie. Nic się nie dzieje. Wiem, że inna członkini naszego zespołu obserwacyjnego, Laura, jest w okolicy, w której kosmetyczka ma rzekomo jeść kolację. Tak na

wszelki wypadek proszę Laurę, żeby sprawdziła, czy w pobliżu nie stoi samochód kobiety. W końcu dzwoni i mówi, że nie. Kosmetyczki nie ma tam, gdzie być powinna. Po co miałyby kłamać? Bez sensu. Wiemy też, że nasz obiekt nie pojechał do brata. Musiałyśmy źle ocenić sytuację. Oni na pewno są razem.

– Klientka musi mieć naprawdę solidne podstawy, skoro tak stanowczo twierdzi, że jej mąż wdał się w romans, i tak często nas zatrudnia – zastanawia się na głos Steph.

– Za każdym razem, kiedy z nią rozmawiam, całkowicie to kupuję. Rozumiem ją, wiem, o czym mówi i dlaczego wysuwa podejrzenia. Jej słowa mają głęboki sens i nawet ja jestem całkowicie przekonana, że facet coś kombinuje. Ale potem siedzimy tutaj i czuję podskórnie, że nic się nie wydarzy. Dziwne, naprawdę. Nie widzę tego, nie wiem, o co chodzi.

Od całej tej sprawy mam mętlik w głowie.

– Myślisz, że kobieta to paranoiczka?

– Nie, na pewno nie. Znasz mnie. Jeśli posądzam kogoś o paranoję, mówię o tym wprost. Wtedy odwozilibym ją od wyrzucania pieniędzy w błoto, a przynajmniej szczerze, naprawdę trochę już ich bezsensownie wydała. Nie nam oceniać, wiem o tym, dlatego nie oceniam. Ale gdybym była przekonana, że naprawdę nic nie znajdziemy, powiedziałabym jej o tym. Nie zdzieramy z ludzi, a siedzenie tutaj godzinami też trudno nazwać przyjemnością, prawda?

– Prawda. Wiem, że w kółko to powtarzamy, ale to chyba jeden z tych przypadków, kiedy twoim zdaniem klient ma rację.

Rozprawiamy nad tą sprawą przez następne pół godziny.

Jest dziesiąta pięćdziesiąt osiem wieczorem – o jedenastej zwijamy manatki.

– Nie mogę w to uwierzyć. Kolejna próba i znowu nic. Zaczyna mnie to wkurzać. Gdzie on się podziewa?

Piszę do Jess:

„Macie coś? :-\*”.

Odpowiada:

„Nic a nic. Zwijamy się o 23.00? :-\*”.

Trudna decyzja. Muszę zadzwonić do klientki i coś jej doradzić.

Istnieje szansa, że gdy tylko się stąd zwiniemy, wtedy oni się zjawią. Choć to mało prawdopodobne. Jeżeli mają romans, raczej nie wrócą razem do żadnego z domów. Mieszkają jednak rzut beretem od siebie, więc jeśli coś ich łączy, to bardzo możliwe, że przyjadą mniej więcej o tej samej porze. To niczego nie dowiedzie, ale przynajmniej utwierdzi nas w przekonaniu, że zmierzamy w dobrym kierunku. Czy możemy odjechać, jeśli nie wiemy, gdzie oboje są? Chyba powinniśmy zostać? Nie chcę, żeby klientka znowu marnowała czas.

Postanawiam przedstawić jej wszystkie opcje:

1. Zwijamy się, oni wracają osobno, ale mniej więcej o tej samej porze, a my nic o tym nie wiemy;

2. Zwijamy się, oni wracają razem i wchodzi do jednego z domów, a my nic o tym nie wiemy;

3. Zostajemy, a klientka wyrzuca w błoto kolejną sumę.

Klientka ostatecznie dochodzi do wniosku, że skoro zaszłyśmy już tak daleko, rozliczymy się od każdej godziny. Jeśli powiedziało się A, to teraz trzeba powiedzieć B i tak dalej. Naprawdę jej współczuję, bo mówi o tym jak o nałogu. Wiem dokładnie, co teraz czuje. Zupełnie jakby dawała sobie w żyłę, szpiegując współmałżonka – niczym hazardzista, który ciągle karmi swój nałóg.

Jedenasta czternaście wieczorem. Steph przetrząsa bagażnik w poszukiwaniu starej krzyżówki. Sęk w tym, że zalega tam całe mnóstwo rupieci, dlatego Steph sterczy na zewnątrz



już ponad dziesięć minut. Obserwuję ją we wstecznym lusterku i śmieję się, kiedy nagle, tuż przede mną, zatrzymuje się samochód naszego obiektu. Wrócił. Błyskawicznie uświadamiam sobie, że na jego podjeździe nie ma miejsca, bo stoi tam samochód jego córki, chociaż dziewczyna wyszła. Nie powinnyśmy były parkować tak blisko. Co on teraz robi? Nie spieszy się z wysiadaniem. Steph zdaje sobie sprawę, co się dzieje, dlatego ciągle kręci się przy bagażniku. Obiekt pod żadnym pozorem nie może jej zobaczyć, bo widzieli się twarzą w twarz podczas incydentu z psią kupą. Chwilowo Steph usiłuje zasłaniać twarz klapą bagażnika, jednocześnie obserwując faceta. Ja dosłownie wstrzymuję oddech i udaję, że rozmawiam przez telefon. Obiekt znajduje się dokładnie przed nami. Jeśli się odwróci, prawdopodobnie nas zobaczy. Po raz pierwszy od bardzo dawna jestem zdenerwowana.

Wysiada z samochodu, po czym sięga po coś od strony kierowcy. Rozmawia z kimś? Czy od strony pasażera wysiadzie kobieta? Teraz idzie na tył samochodu, a ja zasłaniam twarz najlepiej, jak mogę. Zauważam, że nasz bagażnik jest już zamknięty, a po Steph nie ma śladu. Boję się, że schowała się pod autem. A co jeśli będę musiała ruszyć i ją przejadę? O Boże... Facet otwiera swój bagażnik i wyciąga z niego – TORBY Z LOGO ASDA! Nie jedną, nie dwie, trzy, cztery czy pięć. Dziewięć toreb! Był w hipermarkecie i zrobił zakupy na cały tydzień! Wnosi wszystko do domu i na tym koniec. Żadnej kochanki. Nic. Asda! Dlaczego więc kłamał?

Jess i Helen zakończyły noc na obserwacji godzinę później, kiedy domniemana kochanka wróciła z wypadu na miasto pijana jak bela – z mężem.

Jesteśmy skonsternowane! Absolutnie zbite z tropu. Kochanką była Asda!

Jeszcze czterokrotnie obserwowałyśmy męża naszej klientki i nigdy nie zrobił choćby jednego fałszywego kroku. Powiedziałyśmy jej, że naszym zdaniem mąż dochowuje wierności, ale w razie czego jesteśmy do usług. Nie do nas należy sprzecznianie się z klientami. Nawet teraz kobieta idzie w zaparte, że na pewno przeoczyłyśmy ten dzień, kiedy mąż coś kombinował na boku. To prawdopodobne, ale los musiałby nam spłatać sporego figla. Może facet rzeczywiście ma gdzieś kochankę – kto wie? Klientka jest przekonana, że pewnego dnia go przyłapiemy. Sama nie wiem.

Mijają jednak kolejne miesiące, a ja jestem pewna tylko jednego, o czym nie omieszka mi wspomnieć każdy, kto wsiada do mojego samochodu – wciąż unosi się w nim słaba woń chińszczyzny!

## Rodzina z obrazka

Sfinalizowanie rozwodu trwa ponad dwa lata, a ja zdecydowanie mogłabym się obyć bez tego całego dramatu. Odkąd zaczęliśmy się z Benem spotykać, mam w nim oparcie. Jest ze mną za każdym razem, kiedy muszę stawać przed sądem i oglądać Jamesa. Niezależnie od daty rozprawy odstawia własne życie na boczny tor, by mnie wesprzeć – i jestem mu za to wdzięczna.

Ale kiedy w końcu zapada ostateczny wyrok, w rezultacie zostaję pozbawiona domu w przebudowanej stodole. Przejmuje go James. Nie mogę zrobić nic, żeby go uratować. Stworzyłam go z niczego i naprawdę liczyłam, że będę mogła w nim mieszkać i wychowywać Paris. Znałam każdy jego zakamarek. To tutaj Paris powiedziała swoje pierwsze słowa i postawiła pierwsze kroki. Każdego dnia gawędziła z owcami na polu. Podczas gdy moje małżeństwo się sypało, ten dom stał się naszym rajem. A teraz to już tylko stos cegieł pośrodku pola, który nie należy do mnie.

Opuszczam sąd ze łzami w oczach. Utrata domu i pieniędzy boli. Ale jakaś część mnie oddycha z ulgą, że już po wszystkim, że koniec z bataliami w sądzie. Oficjalnie jestem rozwiedziona i wolna. Mogę zacząć od nowa. A może mój smutek wziął się stąd, że straciłam to, na co tak ciężko pracowałam? Nie wiem, jak zdołam znów kupić nieruchomość. Znalazłam się w punkcie wyjścia. Na jakiś czas utknęłam razem z rodzicami w Wielkiej Poczekalni Boga! Jadę z Benem, żeby pożegnać się ze swoim domem. Obchodzimy cały teren, spacerujemy po wzgórzach. Siadam na gładzie i patrzę, jak wokół płynie życie. Zaledwie metr dzieli mnie od miejsca, w którym podczas drugich urodzin Paris stał wielki dmuchany zamek. Zjechała się cała rodzina. Przez kilka godzin Paris biegała, śmiała się i chichotała. To był cudowny dzień, jedno z wielu wspomnień, które łączą się z tym domem. Zimowy dzień, kiedy utknęłam zasypana w środku, bo podjazd był za długi, żebym dała radę go w całości odsnieżyć. Dwa miesiące, podczas których próbowałam mieszkać w przyczepie na placu budowy. Nocami zrywał się porywisty wiatr. Byłam pewna, że przewróci przyczepę, a ja zginę. Z kolei te letnie dni, kiedy otwierałam wszystkie drzwi i okna, żeby wpuścić do środka cudowną bryzę, były pięknymi wspomnieniami. W tym domu umarło moje małżeństwo, co nie przekreśla jednak cudownych chwil, jakie spędziłam tu z Paris. Patrzę na Bena i wtedy wszystko wraca na swoje miejsce. Teraz to on jest moim życiem. Tak, z tym domem wiążą się dobre chwile, pora jednak ruszać dalej. Trzeba stworzyć nowe, naprawdę szczęśliwe wspomnienia, a to nie jest właściwe miejsce. Ben stoi na podwórzu. Mam ochotę zeskoczyć z głazu, podbiec i go pocałować.

Zresztą spójrzmy prawdzie w oczy. Dom kupiłam z obciążoną hipoteką, teren wokół był zawsze zarośnięty trawą, bo nigdy nie chciało mi się jej kosić, rury z wodą zamarzały, kiedy temperatura spadała poniżej pięciu stopni, talerz od telewizji satelitarnej bez przerwy wysiadał na tym wygwizdowie, nie można było po prostu przejść się do sklepu, a w łazience ciągle odpadały trzy kafle, bez względu na to, ile razy przyklejało się je z powrotem. Nigdy nie zdecydowałam się na balkon w sypialni, dlatego za drzwiami czyhał prawie dwumetrowy spadek. Koniec podjazdu co rusz podmywało, sąsiedzi za mną nie przepadali, w trzech pomieszczeniach nie działało ogrzewanie podłogowe, nie podobał mi się kolor, na który pomalowałam gabinet, ale nie chciało mi się go zmieniać. I wszędzie wałały się owcze bobki!!!

Od tej pory wszystko staje się łatwiejsze. Odwracam się i ostatni raz patrzę na swój dom. I chociaż do oczu napływają mi łzy, nie oglądam się za siebie.

Pewnego dnia, latem 2011 roku, po mniej więcej osiemnastu miesiącach związku, Ben planuje cały pełen wrażeń dzień dla Paris, dla siebie i dla mnie. Zaczynamy od cudownego

lunchu, po czym idziemy się przejść. Ben znalazł przepiękną trasę spacerową, o której wcześniej nie miałam pojęcia. Są tam dwa jeziora, jedno tuż obok drugiego, otoczone lasami i wzgórzami. Rozsiadamy się na mostku łączącym jeziora, przez co czujemy się, jakbyśmy dosłownie byli na wodzie. Niesamowite. W rzeczywistości nie jesteśmy daleko od domu, lecz okolica jest równie malownicza jak szkockie głębiny.

Naraz Ben szepcze coś do Paris, a ta uśmiecha się promiennie.

Pewnie powiedział jej, że zabrał słodycze. A potem Paris pyta:

– Mamusiu, wyjdiesz za tatusia?

Patrzę na nią oszołomiona, a ona wciąż się uśmiecha. Podobnie jak Ben.

– No? – pyta ze śmiertelną powagą. Jestem całkowicie zbita z tropu, ale natychmiast się zgadzam.

– Oczywiście, że wyjdę za tatusia!

Paris zrywa się i tańczy wokół nas, podczas gdy Ben składa na moich ustach najcudowniejszy pocałunek w moim życiu. Teraz jesteśmy promieniejącą szczęściem rodziną!

Ben wyciąga z kieszeni pudełko, które otwiera, odsłaniając najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziałam. Sam go zaprojektował – wielki niebieski kamień okolony diamentami. Jedyny w swoim rodzaju. Ten człowiek zna mnie aż za dobrze. Nikt nigdy nie podarował mi równie niesamowitego pierścionka.

– Oooooo, ale się błyszczy – zachwyca się Paris. – Podoba mi się, mamusiu. Czy to znaczy, że będę druhną? – Paris zawsze wie, co jest dla niej najważniejsze!

Jak to możliwe, żeby facet oświadczył się dokładnie tak, jak trzeba? Żadnego taniego dramatu, zwyczajne rodzinne spotkanie w przepięknej scenerii. Postąpił bardzo sprytnie, wciągając w to Paris, która jest w tym wszystkim najważniejsza. Sama nigdy bym tego lepiej nie zaplanowała. Nigdy nie czułam się taka szczęśliwa i spełniona.

## Kiedy klienci mieszają ci w głowie!

Bywają klienci, z którymi czuję prawdziwą więź. Od pewnego czasu nie natykam się na nich zbyt często, co przepełnia mnie obawą, że uodporniałam się na tę wariacką robotę. Jednym z nich jest John.

W przeszłości miałyśmy wielu klientów, którzy obawiali się, że żony przyprawiają im rogi. Ale w Johnie jest coś takiego, co naprawdę mnie porusza. Nie tylko mnie, pozostałe dziewczyny też, chociaż nigdy nie zamieniły z nim ani słowa! Może to dlatego, że jest taki zrównoważony – profesjonalista, który naprawdę cierpi w swoim związku. A przynajmniej do takiego wniosku doszłam po chyba milionie telefonicznych rozmów. W rzeczywistości jego życie pochłania mnie na zaledwie parę tygodni, lecz mam wrażenie, że przez ten czas udaje mi się go naprawdę poznać. Trochę niepokoi mnie to, że czasami zaczynam się przywiązywać i martwić o klientów. To nie moja rola. Nie do końca wiem, o co w tym chodzi, ale niekiedy po prostu zapadają nam w serca! Dlatego właśnie muszę opowiedzieć historię Johna...

Deszczowy poranek na północy, wręcz stereotypowy. Nieprzyjemny, zimny, jeden z tych dni, kiedy człowiek najchętniej wlaźby pod kołdrę i już spod niej nie wyłaził. Zamiast tego siedzę w Domku na Drzewie. Moje odtłuszczone latte z karmelem ze Starbucksa wystygło, a ja jestem sama. Zastanawiam się, czy nie dać nogi – po prostu wsiąść w samochód i pognać do domu, do łóżka. Nie potrafię się skupić, mój mózg zwyczajnie odmawia dziś współpracy! Usiłuję opracować jak najlepszy wariant naszej strony internetowej. Wpisuję trzy słowa i gapię się przez okno. Wpisuję dwa następne i znowu się gapię. Podejmuję te żalosalne próby pracy przez następną godzinę. Kiedy słyszę dzwoniący telefon, przez chwilę po prostu wpatruję się w niego, podczas gdy mój mózg pomału rejestruje, że wypadaloby odebrać. Ups.

– Dzień dobry, Damska Agencja Detektywistyczna – mówię, nieco wytrącona z równowagi.

Głos po drugiej stronie należy do mężczyzny i brzmi bardzo poważnie. Z tym facetem nie ma żartów!

- Mam na imię John i chciałbym porozmawiać o mojej żonie Stacey.
- Oczywiście, śmiało.
- Podejrzewam, że ma romans z kimś z country klubu.
- Dlaczego pan tak sądzi? – pytam, przechodząc do sedna.
- Nie mam pewności, ale żona w wielu sprawach kłamie. Coś tu po prostu nie gra. To trwa od miesięcy. Mam przecucie, lecz nie mogę niczego udowodnić.
- W jakich sprawach kłamie?
- W każdej i w żadnej. Gdzie jest, co robi, kiedy wraca do domu. Ciągle się spóźnia i ogólnie jest bardzo podminowana i nieszczęśliwa.

Na razie nie jestem w stanie wyciągnąć żadnych wniosków, słucham więc dalej.

– Chciałbym, żebyście śledziły ją w przyszłym tygodniu. Wybiera się na jakąś imprezę w towarzystwie kogoś z country klubu. Zjedzą posiłek w Birmingham, pójdą na drinka i przenocują w hotelu. Ja w tym czasie będę się zajmował naszą córeczką, dlatego muszę wiedzieć, co dokładnie robi Stacey.

– Oczywiście, to żaden problem. Sprawdzę grafik i zobaczę, jakie mamy możliwości. Ale jestem pewna, że coś wymyślimy.

– Być może się mylę, sądzą jednak, że żona ma ten romans z właścicielem country klubu. Często o nim wspomina, a parę tygodni temu zobaczyłem w jej telefonie SMS-a od niego. Kiedy o to zapytałem, skasowała go i stwierdziła, że musiało mi się przywidzieć. Wiem, co widziałem, dlatego wzbudziło to moje podejrzenia.

Hm, ciekawe.

– Od pewnego czasu notuję wszystko, co się dzieje. Często nie ma mnie w domu, ale zawsze prowadzę archiwum. Jeśli pani chce, moja asystentka prześle je mailem.

Asystentka? Ciekawe, czym zajmuje się ten facet. Nie pytam, bo nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy. Pytanie wydaje się zwyczajne, nigdy jednak nie wiadomo, ile klient życzy sobie ujawnić. Wzmiankę o miejscu pracy może uznać za przesadę i zamknie się w sobie. Lepiej słuchać i nie zadawać żadnych pytań, które nie wiążą się bezpośrednio ze sprawą.

– Sprawdzę, kto z zespołu jest wolny w przyszłym tygodniu, a potem wyślę panu kosztorys. Proszę wszystko przemyśleć i jeśli postanowi pan działać, przesłać mi mailem szczegóły, notatki oraz zdjęcia osób związanych ze sprawą, jeśli to możliwe.

– Doskonale. Czekam na wiadomość od pani.

Żegnamy się. Natychmiast łapię za telefon i dzwonię do Steph. Relacjonuję jej wszystko, co mówił John, i pytam, czy w przyszłym tygodniu jest wolna. Jest. Potem biorę się do planowania operacji.

Nocna obserwacja to absolutny koszmar. Ludzie wychodzą z pubów i ot tak, wskakują do taksówki, doprowadzając mnie do szaleństwa. Wtedy musimy pędzić za nimi jak bezgłowe kurczaki, często miotając się i gubiąc w miastach, w których nigdy wcześniej nie byliśmy. Tym razem nie zamierzam do tego dopuścić. Będziemy wyjątkowo dobrze przygotowane. Pojedziemy we cztery i podzielimy się na dwuosobowe zespoły, jeden z samochodem i jeden pieszy. Steph, Jess, Helen i ja razem damy sobie radę.

Później, tego samego wieczoru, wysyłam obiecany kosztorys. John go akceptuje, po czym odwzajemnia się notatkami dotyczącymi zachowania żony. Otwieram maila i widzę całe strony tekstu. Czytam pierwszą z nich i dochodzę do wniosku, że potrzebuję wsparcia i... alkoholu. Dzwonię do Steph z informacją, że przesyłam jej szczegóły zlecenia. Potem przynoszę sobie kieliszek wina z kuchni i zasiadam przed komputerem.

Na widok rozmiarów pliku Steph odpisuje:

„Żarty sobie stroisz?”.

„Nie. Baw się dobrze! Notuj, streszczaj, rób wszystko, co uznasz za przydatne”.

Przychodzi odpowiedź:

„Nienawidzę Cię”.

Ale tak naprawdę mnie kocha.

Piętnaście minut później zamiast pracować, przyswajam dzienną dawkę oper mydlanych w telewizji. Nagle rozlega się pukanie do drzwi.

– Jeśli mam to zrobić, to z tobą – oznajmia Steph, pakując się do środka.

– W takim razie wejdź...

Już zdążyła mnie minąć w drodze do kuchni, po wino. Wracam na kanapę. Steph podchodzi do mnie, sięga po pilota i wciska czerwony guzik.

– Skup się, Rebecca.

– Tak, proszę pani. – Sięgam po laptopa i ustawiam go sobie na kolanach. – No dobra.

Siedzimy, czytamy po cichu i wygłaszamy komentarze, natknąwszy się na coś ciekawego.

– Przychodzi do domu spóźniona o trzy godziny i udaje, że nic się nie stało. O co w tym chodzi? – zauważa Steph, wskazując monitor.

– No, dziwne.

– Wraca z pracy w innym ubraniu, niż wyszła, a na dodatek ma rozpięty zamek w spodniach. Że jak?

– I nie chciała tego wytłumaczyć, kiedy o to zapytał. Gdyby miała jakieś niewinne wyjaśnienie, na pewno by je przedstawiła, nie? No, bardzo dziwne.

Idę do kuchni po resztkę wina, które otworzyłyśmy.

– Och, a to ciekawe!... – woła Steph z salonu, po czym zjawia się w kuchni z laptopem w ręce. – Powiedziała, że wychodzi. John pracował wtedy w Londynie i dzwonił do niej kilka razy przed drugą nad ranem. Następnego dnia oddzwoniła i stwierdziła, że wróciła do domu o dziesiątej wieczorem i od razu położyła się spać. Ale o pierwszej nad ranem dostała mandat za złe parkowanie w Birmingham, w miejscu oddalonym o czterdzieści pięć minut od ich domu. To John odebrał ten list i nie powiedział jej o tym od razu. Najpierw zapytał raz jeszcze, co robiła tamtej nocy, a ona trzymała się pierwotnej wersji.

Steph pochyla głowę nad monitorem, pochłonięta bez reszty.

– Jest tego więcej... Jedzą razem lunch w pubie, kiedy podchodzi do nich jedna z jej znajomych i pyta żoneczkę, czy dobrze się bawiła tamtego wieczoru w barze O'Marley w Birmingham. Ta zaprzecza, twierdzi, że to nie była ona, ale znajoma upiera się przy swoim. Mówi nawet, że widziała jej samochód na parkingu. Żoneczka dalej idzie w zaparte.

– O mój Boże. – Z pewnością jest tu cały stek kłamstw, ale większość z nich dałoby się jakoś wyjaśnić.

Kręcę głową, marszcząc brwi.

– Innego dnia powiedziała, że jest u mamy, więc John tam zadzwonił. I wiesz co?

– Nie było jej tam? – strzelam.

– Bingo! Kolejna sprawa: powiedziała mężowi, że wychodzi wieczorem ze znajomymi z pracy. Następnego dnia twierdziła, że to byli zupełnie inni znajomi, i zaprzeczała, że kiedykolwiek mówiła o znajomych z pracy. Za każdym razem, kiedy on wypytuje albo próbuje coś wyjaśnić, ona się na niego wścieka.

– Nigdy nie przepadałam za takimi ludźmi. Zawsze mają coś do ukrycia.

– Nie pozwalała mu zobaczyć swojego telefonu.

– Klasyka.

– Pojechała służbowo do Glasgow, ale podała mu złą nazwę hotelu. Zapytał, z kim tam była. Odmówiła odpowiedzi i znowu zrobiła mu awanturę. – Po chwili Steph wydaje się bardziej zasmucona niż zaintrygowana. – Z przypadkowego numeru na jej telefon przychodzi SMS z pytaniem, jak się bawiła zeszłej nocy. Żona nie wie, że mąż go widział. Kiedy John później pyta, czyj to numer, ona zaprzecza, by dostała jakąkolwiek wiadomość.

Wracamy na kanapę. Sącę wino i patrzę, jak Steph czyta z monitora.

– Potem przyznaje, że paru mężczyzn wysyłało jej wiadomości. Jeden z nich to dawna miłość.

– Co takiego? Najpierw zaprzecza i kłamie na każdy możliwy temat, a potem się do tego przyznaje? Niepojęte.

– Kilka tygodni później John dostał SMS-a od znajomego, który widział, jak jego żonka idzie do lekarza. Kiedy John o to zapytał, zaprzeczyła.

– Ta lista nie ma końca! – stwierdzam, a Steph zamyka laptopa i sięga po swój kieliszek z winem. Spoglądam na nią i widzę, że nie jest sobą, czyli kobietą ekscentryczną o optymistycznym nastawieniu. – Co się z tobą dzieje? Stephanie!!! Czy ja widzę ł z ę?

– Spadaj.

Chichoczę, to silniejsze ode mnie.

– Tak, widzę! O mój Boże, co z tobą?

- To takie smutne.
- Och, ty głupolu.
- Naprawdę! – protestuje. – Ona go torturuje!
- Tego nie wiesz.

– Widzę, to oczywiste. Ta lista ciągnie się i ciągnie. Widać, że facet jest zdruzgotany. Steph rzadko kiedy daje się ponieść emocjom w pracy, ale tym razem to robi. Gapi się na ciemny ekran telewizora.

– No dobra, weźmy się w garść. Nie znamy całej historii, a w śledztwie musimy się opierać na faktach i dowodach. To znaczy...

Otwieram z powrotem laptopa.

1. Wraca do domu spóźniona trzy godziny – pracowała po godzinach.
  2. Wraca w innym ubraniu – może na pierwsze coś wylała.
  3. Rozpięty zamek – przypadek.
  4. Wychodzi na miasto i nie mówi o niczym mężowi – krępowała się przyznać.
  5. Ciągłe łże, bo jeśli przyzna się do jednego kłamstwa, to wszystko inne też będzie wyglądało podejrzanie, dlatego robi to nadal, żeby się kryć.
  6. Znajoma widziała ją na mieście – ten sam powód co przy pierwszym wyjściu.
  7. Problem z hotelem w Glasgow – pomyliło jej się.
  8. SMS od dawnej miłości – dziwne, ale do tego przyznała się bez nacisków.
- Nic mnie to nie obchodzi – upiera się Steph. – Wciąż uważam, że ona coś kręci.  
– Ujmę to tak: już wkrótce się o tym przekonamy.

Następnego dnia siedzimy w Domku na Drzewie i przez długi czas rozważamy sytuację. Wychodzi na to, że dzielimy się na dwa obozy. Steph i Jess są zdania, że żona zdradza, a Helen i ja nie możemy się zdecydować. A w tym wszystkim najzabawniejsze jest to, że Steph i Jess są święcie przekonane, iż mają rację. Zazwyczaj godzimy się z myślą o niespodziankach, bo w tej pracy nigdy nic do końca nie wiadomo. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek były tak pewne rezultatu. Osobiście mam w głowie jeden wielki mętlik. To się nie trzyma kupy. Jeśli żona nie kłamie, to robi to w niedorzecznych sprawach. Na pewno jest na to jakieś niewinne wyjaśnienie. Nie mogę tak po prostu stwierdzić: „Tak, jest niewierna”, bo przekonałam się, że nie wolno wydawać pochopnych sądów.

Szczegółowe informacje od Johna sprawiły, że naprawdę wczuliśmy się w jego sytuację. Sprawa przypomina wielkie puzzle, które trzeba ułożyć. Steph chyba sądzi, że już zna faceta! Tak obszerne notatki zamiast zwykłej rozmowy przez telefon naprawdę się przydają. Szkoda, że inni nie biorą z niego przykładu!

– Zastanawia mnie tylko jedna rzecz – ćwierka zza laptopa Helen, po raz drugi czytając wszystkie informacje.

- Dawaj!
- Jaki on ma zawód, że musi tyle podróżować?
- Bardzo dobre pytanie. Nie mam bladego pojęcia.

Po czym rozpoczyna się kolejna debata, trwająca dokładnie trzydzieści dwie minuty. Zastanawiam się, co jest z nami nie tak? Nigdy dotąd nie spędzałyśmy tyle czasu, roztrząsając każdy najdrobniejszy szczegół sprawy! Wreszcie wpadamy na błyskotliwy pomysł, żeby poszukać Johna w Google. Okazuje się, że jest czołowym międzynarodowym adwokatem. Sporządzanie szczegółowych notatek od razu nabiera sensu.

Aż do dnia naszej obserwacji rozmawiamy o Johnie tyle razy, że zaczynamy się czuć, jakbyśmy znały go całe życie. Jesteśmy gotowe do akcji. Równie mocno jak John chcemy wiedzieć, co kombinuje Stacey.

Sceneria i scenariusz są idealne. Żona wyjdzie razem ze stałymi bywalcami country klubu do lokalu w Birmingham. Zjawi się co najmniej dziesięć osób. Wybiorą się na kolację, a potem przenocują w niesamowitym hotelu. Będzie miała idealną okazję, żeby zdradzić męża.

Wcześniej tego samego dnia penetrujemy hotel i sprawdzamy wszystkie wyjścia, wejścia i restaurację. Potem rozdzielamy się na dwa samochody i jedziemy do biura żony. To olbrzymi budynek. Przez ponad pół godziny rozglądamy się po wszystkich okolicznych parkingach. Nigdzie nie widać jej auta. Plujemy sobie w brodę. To może być problem. John mówił, że żona zwykle kończy około siedemnastej. Zajechałyśmy na miejsce około czternastej, na wypadek gdyby postanowiła wyjść wcześniej, żeby przygotować się na wieczór. John potwierdził, że rozmawiał z nią w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Mówiła, że nadal jest w pracy. Kłamstwo numer jeden.

Steph wybiera numer biura.

– Dzień dobry – wita się radośnie z osobą po drugiej stronie. – Czy mogłabym rozmawiać ze Stacey Holden?... Żaden problem... Dziękuję. – Odwraca się do nas. – Wzięła dzisiaj wolne!

– Wspaniale – stwierdza Jess.

Wszystkie wiemy, co to oznacza. Nikt tu nie zawinił, po prostu tak bywa. Wiedzieliśmy, że żona może wyjść wcześniej, ale nie sądziłyśmy, że w ogóle nie przyjdzie do pracy. W idealnym świecie patrzyłybyśmy, jak rano wychodzi z domu, cały dzień warowałybyśmy pod biurem, a potem pojechałybyśmy za nią na imprezę. Wiązałoby się to jednak z honorarium za całą noc i wieloma godzinami nadaremnej obserwacji. Koszty całej operacji wzrosłyby do niedorzecznej kwoty za coś, co w rzeczywistości powinno być drobnym zleceniem. Obserwacja od godziny drugiej po południu, kiedy żona kończy pracę o piątej, powinna zdecydowanie wystarczyć! Ale nie wystarczyła...

– I co teraz robimy? – pyta Helen.

– Chyba to, co najbardziej oczywiste. Pojedziemy do hotelu i będziemy się tam naprawdę długo kręcić, trzymając mocno kciuki.

– Na litość boską! – Steph jest podenerwowana. Przez całą drogę do hotelu gapi się w przestrzeń za oknem.

Objedźdamy ulice w pobliżu hotelu, szukając samochodu żony. Nie powinno to być szczególnie trudne, jako że mowa o sportowym jaguarze z najwyższej półki, białym z czarnymi kołami. Szybko znajdujemy auto. Niestety samochód nie stoi na parkingu hotelowym, tylko w bocznej uliczce przylegającej aż do czterech hoteli! Teoretycznie żona może być w każdym z nich, nie chcemy się jednak rozdzielać. Chwilowo musimy liczyć na uśmiech losu i przyjąć, że zatrzymała się w tym, który podał nam John.

– Ach, mam mętlik w głowie – mówi Helen. – Jeśli zatrzymała się w tym hotelu, w którym twierdziła, że będzie, to może w pozostałych kwestiach też mówiła prawdę i wszystko da się racjonalnie wyjaśnić. Dlaczego miałyby nocować tam, gdzie powiedziała mężowi, ale i tak coś kombinować? Nie zrobiłaby tego.

Gapimy się na Helen, bo najwyraźniej toczy rozmowę sama ze sobą. Zadaje sobie pytania, po czym udziela na nie odpowiedzi.

Jako szefowa podejmuję decyzję – nie robię tego zbyt często, bo dziewczyny mają taki sam dryg do działalności detektywistycznej jak ja.

– Idziemy do hotelu, który podała.

– Spróbuję wyciągnąć od portiera informację, w którym pokoju się zatrzymała – proponuje Jess.

– Nie.

– To może zadzwonię do hotelu i poproszę, żeby mnie z nią połączyli? – Nie daje za



wygraną.

– Nie. Zbyt ryzykowne. Portier czy recepcjonista pewnie daliby jej znać, że ktoś próbował się do niej dodzwonić. Jeśli to zrobią, a ona coś kombinuje, da drapaka. Jeszcze nie jesteśmy zdesperowane, ale jeśli do jedenastej sytuacja się nie zmieni, to wkroczysz. Do tego czasu obstawiamy wszystkie wyjścia i wejścia i liczymy, że dopisze nam szczęście. Działamy trochę na oślep, wiem, chwilowo nie możemy jednak ryzykować z inną opcją.

Wyglądają, jakby się dąsały, moje małe berbecie.

Zajmujemy pozycje. W hotelu znajdują się tylko trzy wyjścia, dlatego obstawiam każde z nich jedną dziewczyną, sama zaś przez następne trzy godziny krąży między nimi. Wszystkie nudzą się jak mopsy. Obsługa ma na nas oko. Każda osoba, która przez kilka godzin nie rusza się z miejsca, musi wzbudzać podejrzenia. Odkąd powstała nasza agencja, zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić. Z początku bałyśmy się i sądziłyśmy, że lada chwila ktoś nas nakryje. Teraz mamy dziesiątki wymówek, a kiedy ktoś zaczyna się nam przyglądać, odpowiadamy uśmiechem, co od razu zbija go z tropu.

Zerkam w stronę Steph i uświadamiam sobie, że ma problem. W miejscu, które obstawia, zjawili się trzech mężczyzn. Z początku zachowywała się przy nich normalnie, ale teraz, gdy jej się przyglądam, odnoszę wrażenie, że dostała jakiegoś niekontrolowanego ataku tików! Drapie się w ucho, mierzwi włosy, podnosi rękę i daje jeszcze wiele innych durnych sygnałów. Postanawiam podejść do niej. Najwyraźniej bardzo jej ulżyło.

– W porządku, skarbie? – pytam, siadając.

– Oczywiście. Ci uroczy panowie chcieliby wiedzieć, czy wyjdziemy z nimi wieczorem na miasto. Twierdzą, że są arabskimi książętami.

– A niech mnie. Jeszcze nigdy żadnego nie spotkałyśmy – zwracam się do nich, unosząc brwi.

Mówią, że spędzimy z nimi na mieście noc naszych marzeń, cokolwiek miałyby to znaczyć. Na wszelki wypadek postanawiam nie pytać, aby nie dać im do zrozumienia, że jesteśmy choć trochę zainteresowane.

– Bardzo byśmy chciały, obawiam się jednak, że umówiłyśmy się już z naszymi mężami. Raczej nie byłiby zadowoleni, gdybyśmy postanowiły spotkać się z arabskimi książętami, bez względu na wasz urok – odpowiadam z szerokim uśmiechem. Zerkają na Steph, szukając u niej potwierdzenia.

– Przykro mi, panowie. – Wzrusza ramionami.

Kątem oka dostrzegam nasz obiekt na schodach. Steph prostuje się jak struna i sięga po telefon. Wysyła wiadomość do Jess i Helen, żeby szły do samochodu. Ja też tam ruszam, podczas gdy Steph zostaje, żeby mieć oko na żonę i wytłumaczyć nas przed arabskimi książętami.

Kiedy wsiadam do auta, Jess i Helen czekają już na tylnym siedzeniu. Żona opuszcza hotel, a tuż za nią idzie Steph. Żona jest sama, ale rozmawia przez telefon. Czekamy, aż zniknie nam z oczu.

Steph przysyła SMS-a:

„Skręć w lewo w Manchester Street”.

Przez całą drogę, aż do restauracji, dostajemy od niej wskazówki, gdzie skręcić na poszczególnych skrzyżowaniach.

Gdy tylko zatrzymujemy się u celu, Steph wskazuje na tylne siedzenie, a Jess i ja wchodzimy do restauracji. Steph nie powinna się tam pokazywać, bo żona mogła ją zauważyć po drodze.

Jess i ja siadamy w pobliżu wejścia, skąd mamy doskonały widok na czekającą przy barze Stacey. Tyle przygotowań i już? Czy zje kolację w towarzystwie dziesięciu osób? Rozglądam się

po sali i nie widzę nigdzie dość dużego stolika z rezerwacją. Przy pojedynczych stolikach siedzi paru mężczyzn i kilka kobiet. Wyglądają, jakby na kogoś czekali. Z kim umówił się nasz obiekt?

Moja kamera wideo, w kształcie kluczyków samochodowych, leży już na stole i wszystko nagrywa. Czekanie ciągnie się w nieskończoność. Jess i ja z trudem powstrzymujemy się od otwartego spoglądania w stronę obiektu.

Żona zajmuje dwuosobowy stolik na uboczu. Sama. Wspaniale. Wprost genialnie. Siedzimy z Jess, kręcąc młynka palcami i gapiąc się w szklanki z colą, które przyniosła nam kelnerka. Mija kolejny kwadrans.

– Błagam, tylko nie mów, że ją wystawił – odzywa się Jess tym swoim śpiewnym głosem. Stuka palcem w tekturową podkładkę pod piwo. Wyrwam ją spod jej dłoni.

– Wystarczy!

Jess zakłada ręce na piersi i patrzy na mnie naburmuszona. Berbeć wrócił.

Steph i Helen także zaczynają się niecierpliwić. Bez przerwy wysyłają mi SMS-y z pytaniem, co się dzieje.

Nagle do restauracji wchodzi szykowny młody mężczyzna. Wysoki, ciemnowłosy i naprawdę przystojny. Wygląda na co najmniej dziesięć lat młodszego niż Stacey.

– Och, dzień dobry – mruczy Jess, kiedy ten nas mija. – Jest boski!

Podejrzewam, że Jess zaraz zacznie się ślinić. Odwracam się jak gdyby nigdy nic, żeby zobaczyć, dokąd facet zmierza.

– Nie mam nic przeciwko śledzeniu go – oznajmia Jess. – No wiesz, gdybym naprawdę musiała.

– Uspokój się albo znajdę zaraz wiaderko z lodem i zrobię z niego użytek.

– O rany. To jakieś żarty? – mówi Jess, patrząc ponad moim ramieniem.

– Co? – Nie chcę się odwracać w obawie, że to wyglądałoby zbyt podejrzanie.

– Jest umówiony ze Stacey! – Jess nie sprawia wrażenia zachwyconej.

Wstaję, po czym idę do toalety, która znajduje się dokładnie za nimi. Włączam nagrywanie obrazu w telefonie, żeby zdobyć dowody dla klienta. Muszę przyznać, że przyszło mi to wyjątkowo łatwo.

Odczekuję w toalecie parę minut, po czym wracam do Jess. Stoję przy naszym stoliku przez chwilę, odtwarzając nagrany materiał. Jess wciąż gapi się na pięknego nieznanego u boku naszego obiektu.

– Mam. Zbierajmy się stąd – mówię do Jess, która niechętnie odkleja się od stolika.

Wciskam na telefonie wysyłanie i nagranie wędruje do naszego klienta.

Ku radości Steph i Helen wsiadamy z Jess do samochodu.

– Co się działo? – pyta Helen.

– Ano to, że nasza żoneczka je właśnie kameralną kolacyjkę przy świecach w towarzystwie największego przystojniaka na świecie, ot co! – oznajmia Jess.

– Wiedziała! – Biedna Steph jest przerażona. – Więc John miał rację? Ona go zdradza?

– Być może pochopnie wyciągamy wnioski, ale jak na mój gust wyglądali na zaprzyjaźnionych – stwierdzam.

Przestawiam samochód na inne miejsce, skąd widzę wejście do restauracji. Odzywa się mój telefon. Przyszła odpowiedź od klienta. Steph czyta ją przez moje ramię:

„To jej były chłopak!”.

– Neeeeeeeeee! Biedny John! – wyje niczym wilk do księżycy, po czym osuwa się na swój fotel.

– Zgadza się, to jej były chłopak – potwierdzam. Dziewczyny wyglądają na zdruzgotane tą wieścią.

– A pokładałam w niej tak wielkie nadzieje – mówi Helen.

– Przykre, ale musimy robić swoje! – próbuję przywołać je do porządku. – Kiedy wyjadą, będziemy ich śledzić samochodem tak długo, jak tylko się uda, a jeśli skręcą w jakąś jednokierunkową uliczkę, wy dwie wyskakujecie – zwracam się do Helen i Steph. Minęło dość czasu, odkąd żona ostatnio widziała Steph. Teoretycznie wszystko powinno być w porządku.

Kilka minut później oboje wychodzą z restauracji.

– Do diabła, dokąd oni idą? – Helen wyciąga szyję, podczas gdy Steph otwiera swoje ukochane serowe Doritos.

– Chcesz jednego? – Podtyka mi paczkę pod nos.

– Nie, dzięki – mówię, ale Jess bierze całą garść.

– Doritos rozwiązują wszystkie problemy – stwierdza Steph. W jej głosie wciąż rozbrzmiewa ponura nuta.

– Kierują się w tamtą alejkę – pokazuje Jess.

– O szlag! – Steph otwiera drzwi, żeby wysiąść, a Helen już wisi na krawędzi swojego fotela, gotowa ruszyć za nią.

– Co oni robią? – pyta Jess.

– Rozmawiają... śmieją się... i to dużo!

Steph jest gotowa pognać za nimi, ale każe jej wsiąść z powrotem.

– Wsiąść, wsiąść, wsiąść, wsiąść – jęczy. – Zamierzam zdobyć najlepsze dowody w całej swojej karierze, żeby dopaść tę babę. – Teraz w jej głosie słychać tylko determinację, którą jednak szybko wypiera nuda... – Minęło już osiemnaście minut.

– Może robią coś świńskiego? – pyta Helen.

Żadna z nas nie ośmiela się odpowiedzieć na to pytanie. Biorąc jednak pod uwagę, że Steph ma ich w polu widzenia i nic nie mówi, zakładamy, że odpowiedź brzmi „nie”.

Wreszcie wyłaniają się z alejki i ruszają w stronę głównej drogi. Podążamy za nimi samochodem i patrzymy, jak znikają wewnątrz pubu. Wchodzimy za nimi do środka i cichutko wciskamy się w ciemny kąt, wciąż obserwując każdy ich ruch. Nie żeby jakkolwiek wykonywali – są całkowicie pochłonięci rozmową.

– Jak myślicie, o co w tym chodzi? – pyta Helen.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem – przyznaję.

– Ja też nie – dodaje Jess.

– Gdybyście nic o nich nie wiedzieli, pomyślałybyście, że to dwójka przyjaciół wyskoczyła razem na miasto – mówi Steph.

– Sęk w tym, że wiemy nieco więcej.

Kiedy to mówię, odzywa się mój telefon. John. Żona właśnie się z nim skontaktowała. Pisała, że jest na mieście ze znajomymi z country klubu. Co, do diabła?

– John mówi, że dostał od niej SMS-a. Napisała, że bawią się świetnie, wspominała nawet o innych ludziach. Ludziach, których tu nie ma.

– Chodzi o tych z country klubu? – pyta zmieszana Jess.

– Tak – potwierdzam.

– Dlaczego kłamie, jeśli nie ma nic do ukrycia? Bez sensu.

– Właśnie. I to ponoć nie jest romans?

– Nie możemy tego jednoznacznie stwierdzić, prawda? Może spotkali się przez wzgląd na dawne czasy – zastanawia się Helen.

– To miałyby jakiś sens – przyznaje Steph.

Resztę wieczoru spędzamy, podążając za Stacey i przystojniakiem do różnych knajp i klubów, aż w końcu śledzimy ich z powrotem do hotelu. Siedzimy w samochodzie i filmujemy,

jak wchodzi do środka, po czym wyłączamy kamerę. Z powodu hotelowej ochrony nie możemy iść za nimi o tej porze i sprawdzić, czy znikają w tym samym pokoju.

– To było naprawdę interesujące. Teraz mam chyba jeszcze większy mętlik w głowie – mówi Helen. Muszę się z nią zgodzić. Jeśli żona nie ma nic do ukrycia, powiedziałaaby o tym mężowi. Tyle że ona i jej były facet nie dotykali się ani nie całowali, w ogóle nie doszło między nimi do żadnego kontaktu fizycznego. Szczerze mówiąc, wprawilo nas to w zakłopotanie.

Kilka tygodni później John znowu się odezwał. Jego sytuacja się pogorszyła. Przekazałyśmy mu wszystkie zgromadzone dowody, ale nie można z nich było wyciągnąć żadnych wniosków poza takim, że jego żona kłamie. Nie robi nic innego, tylko kłamie, bez przerwy. Małe łgarstwa, duże łgarstwa, wszelkie możliwe ich rodzaje. Nie dość, że nie ustały w ciągu ostatnich tygodni, to jeszcze przybrały na sile.

Przez cały ten czas John zapewniał nas w kółko, że kocha swoją żonę i chce z nią być. Nie zamierza rozbijać rodziny. Mamy dowieść, że kobieta jest całkowicie niewinna, i znaleźć wyjaśnienie dla jej zachowania. Prawdę mówiąc, wciąż nie wiem, czy go zdradza, czy nie. Powinna wytłumaczyć mu wszystkie swoje kłamstwa i zakończyć jego męczarnie.

To jednak nie wydaje się zbyt prawdopodobne. W końcu John mówi nam, że ma już dość. Nie jest to dla nas wielkim zaskoczeniem. Gonił resztkami sił. Jak człowiek ma sobie radzić, jeśli podejrzewa, że najbliższa jego sercu osoba bez przerwy go okłamuje? John wyznaje, że nie mógł już spać. Często budził się o piątej nad ranem i nie był w stanie zmrużyć oka. Któregoś ranka, kiedy ich córka nocowała u dziadków, przez cztery godziny siedział po ciemku przy kuchennym stole, zanim zebrał się w sobie i poszedł do samochodu po dowody, które mu dostarczyłyśmy.

Czekał przy stole, dopóki żona nie zeszła na śniadanie. Siedział spokojnie i nic nie mówił. W końcu Stacey wzięła dowody do ręki i uświadomiła sobie, co to takiego. Odłożyła je z powrotem, poszła na górę i spakowała swoje rzeczy. Żadnego wyjaśnienia, nic. Tych dwoje nie zamieniło ani słowa. John zapewne był zbyt załamany, żeby się odezwać. Stacey wyszła z domu i już nie wróciła.

Koniec końców zaczęli ze sobą rozmawiać, lecz Stacey nigdy nie podała żadnego wytłumaczenia. Wspólnie z Johnem możemy jedynie przyjąć, że wdała się w romans ze swoim byłym facetem. Nie przyznała się jednak do tego. Powiedziała Johnowi, że ich nieuchronnie zbliżający się rozwód ma tylko jeden powód – nigdy nie zdoła mu wybaczyć braku zaufania.

Kilka dni po naszej rozmowie dostaję maila od Johna. Znowu wybiera się w zagraniczną podróż i właśnie wszedł do samolotu. Siedzi w pierwszej klasie i wysyła mi wiadomość, szykując się do wyłączenia komputera.

Dziękuję nam za pomoc przez te ostatnie miesiące, które były dla niego bardzo trudnym okresem. Ma nadzieję, że teraz czeka go zupełnie nowe życie. Jestem o tym szczerze, głęboko przekonana. Nikt nie zasługuje na to, co przeszedł ten człowiek, na tyle kłamstw i niepewności. Na to, żeby każdego dnia ktoś robił mu wodę z mózgu. John o tym nie wie, ale bardzo się przejęliśmy jego sprawą. A to jest niepokojące.

Odczytuję jego wiadomość Steph, która siedzi razem ze mną i znowu ma gułę w gardle. Nasza praca dobiegła końca, ale nigdy o Johnie nie zapomnimy.

## Ostateczny wybór

Jest szósta nad ranem, pora, kiedy ptaki rozpoczynają swoje trele. Szkoda, że nie śpię – w końcu należę do tego typu ludzi, którzy uwielbiają spać – ale zwyczajnie nie jestem w stanie zmrużyć oka. Siedzę tak od trzech godzin, w milczeniu. Nawet nie poszłam po herbatę. Tak bardzo pochłonęły mnie rozmyślania, że nie chce mi się ruszyć. Nie sądziłam, że znajdę się w podobnej sytuacji. Miewałam już w życiu rozmaite dylematy, nigdy nie czułam jednak podobnej presji.

Po naszych zaręczynach przełożeni Bena dowiedzieli się, jak zarabiam na życie, i nie wzbudziło to ich zachwytu. Chcą, żebym zrezygnowała, na wypadek gdyby moja praca miała skompromitować Bena. Martwią się, że znajdzie się w trudnej sytuacji, jeśli poproszę go o radę albo jeśli on wspomni przy mnie o czymś związanym ze swoją pracą, a ja to później wykorzystam. W rzeczywistości nigdy nie omawiamy ze sobą spraw, którymi się aktualnie zajmujemy, przełożeni upierają się jednak przy swoim. Ale jak mogłabym zrezygnować z Damskiej Agencji Detektywistycznej?

Dla mnie to również styl życia. Nigdy dotąd nie miałam pracy, w której czułabym się zadomowiona. Uwielbiam każdy jej aspekt: klientów, śledztwa i dziewczyny. To wymarzone zajęcie, o którym kiedyś tylko śniłam. Udało mi się jednak urzeczywistnić ten sen, chociaż właściwie nie powinno.

Jeśli mam być szczerą, zaczęło się od zachcianki. Na zasadzie „spróbujemy i zobaczymy, co z tego będzie”. Powiodło nam się wyłącznie dzięki harówce i poświęceniu całego zespołu. Żyję tą pracą, oddycham nią jak powietrzem. Ta praca to ja. Tym właśnie jestem. Sprzedając firmę, czułabym się, jakbym sprzedawała własną duszę – i to samemu diabłu. Zawsze krytykuję inne agencje detektywistyczne, które w ramach marketingowych sztuczek stawiają kobiety na czele, ale prawdziwą robotę powierzają facetom. Jeśli sprzedam swoją firmę, zrobię to samo. Oszukam każdego, kto w nas wierzy.

Teraz jesteśmy tym, za kogo się podajemy. Grupą kobiet, które wyruszyły w tę podróż, żeby pomagać innym. Robimy swoje wyjątkowo dobrze, bo nam zależy. Nie liczymy zysków, a już z pewnością nie zdzieramy z ludzi. Bierzymy od nich tyle, ile musimy, żeby wykonać zlecenie. Ktoś inny mógłby zamienić moją agencję w maszynkę do robienia pieniędzy. Nie przejmowałby się klientami tak jak my. Jak mogłabym na to pozwolić?

Naprawdę nie chcę. Ale obok mnie leży mężczyzna moich marzeń. Śpi głęboko, a jego twarz wygląda pięknie jak nigdy. Patrzę na niego i przepełnia mnie miłość. Nie wyobrażałam sobie, że gdzieś istnieje równie wspaniały człowiek. Wyrażenie słowami tego, kim jest i co dla mnie zrobił, przekracza moje siły. Przywrócił mi wiarę w ludzi, którą zdążyłam utracić. Jestem tak wdzięczna za to, że go odnalazłam, aż zbiera mi się na płacz.

Kiedy odizolowałam Paris od ojca, w głębi ducha i mnie, i całe otoczenie dręczyło jedno pytanie: jaki będzie ten następny partner? Miałam za sobą koszmarnie przejścia z mężczyznami. Z każdym z nich coś było nie tak. A jeśli spotkałabym wspaniałego faceta, który nie chciałby dzieci? Albo ciągle zbywałby Paris? Jeśli zależałoby mu tylko na mnie? Nikt nie pokocha jej tak jak ja. Jestem jej matką, a ona jest częścią mnie. Nowy partner mógłby ją odtrącać jako dziecko mojego eksmęża – ale to nas nigdy nie spotkało. Ben kocha Paris bezwarunkowo, dokładnie tak, jakby była jego własnym dzieckiem. Wiem o tym. On nie musi nic mówić. Nie widzi w niej mojego eksmęża. Patrzy na nią i widzi siebie i mnie! Łączy ich to samo co mojego tatę i mnie –

są najlepszymi przyjaciółmi, ale też ojcem i córką.

Często budzę się rano i odkrywam, że wymknęli się na dół, żeby razem oglądać kreskówki. Kiedy Paris płacze, biegnie do Bena. Rysuje ich wspólne wycieczki do parku. Z przeszłości zostało jej jednak parę blizn. Dręczy ją nawracający koszmar, przez który budzi się czasem w środku nocy, krzyczy histerycznie i zalewa się łzami. To wciąż ten sam sen: jedno z nas – Ben, moi rodzice albo ja – zabiera ją do parku i tam zostawia. Moja prześliczna córeczka nie boi się niczego, z wyjątkiem tego, że ludzie, których kocha najbardziej, pewnego dnia odejdą. Serce mi od tego pęka. Dobrze wiem, skąd wziął się ten koszmar.

Kiedy jej się przyśni, pierwszą osobą, która pędzi z pocieszeniem, jest Ben. Całuje Paris w czoło i obiecuje, że nigdy jej nie zostawi. Można by pomyśleć, że robi to tylko po to, by poprawić jej nastrój, ale ja znam prawdę. Wiem, że Ben naprawdę nigdy jej nie zostawi. Paris jest dla niego całym światem.

Wiem też, że to właśnie z tym człowiekiem spędzę resztę życia. Jest moją drugą połówką, bratnią duszą. Nigdy rozmyślnie nie sprawi mi bólu, we wszystkim mnie wspiera. To dzięki niemu uwierzyłam, że niektórzy jednak dochowują wierności partnerom, chociaż w kółko słyszę o związkach z piekła rodem. Cały czas powtarzam swoim klientom, że prawdziwa miłość istnieje, podobnie jak dobrzy ludzie, i że nie każdy ma „gen zdrady”.

Chcę być żoną Bena, a przede wszystkim chcę z nim dzielić resztę życia. Widuję starszków, którzy wciąż się kochają: z trudem idą, ale trzymają się za ręce, jakby ta bliskość miała trwać wiecznie. Właśnie tacy będziemy, jestem o tym przekonana. Mam za sobą już jedno małżeństwo, ale teraz jestem pewna, że tym razem trafiłam na właściwego człowieka.

Ironia losu, że teraz muszę podjąć taką decyzję. Dlaczego nie mogę mieć wszystkiego? Idealnego faceta i idealnej pracy. Żadnych dylematów, tylko święty spokój i pełnia szczęścia. Kiedyś sądziłam, że tylko skomplikowane życie jest ciekawe – im więcej nieprzewidzianych sytuacji, tym lepiej – ale teraz wiem, że to nieprawda. Dopiero co rozprawiłam się z tym przekonaniem i w głębi duszy pogodziłam się z faktem, że nie chcę więcej dramatów, a tymczasem napotykam nowe!

Jak już wspomniałam, praca stanowi część mnie. To moja życiowa droga, a nie z a w ó d. Mamy już wiosnę, pojawiają się żonkile. Niebo o wczesnym poranku jest ciemnoróżowe. Nagle wpadam na rozwiązanie. Chyba mogę pójść na pewien kompromis? Może jeśli zejść z linii frontu i zamiast tego zajmę się marketingiem, szefowie Bena zdołają się z tym pogodzić? Byłabym nawet zadowolona, gdybym po ślubie nie musiała pracować do późna albo w nieprzewidywalnych godzinach i mogła spędzać więcej czasu z nową rodziną. Dziewczyny z łatwością poradziłyby sobie ze śledztwami, a ja wzięłabym na siebie reklamę.

Jeśli sprawa stanie na ostrzu noża i będę musiała wybierać, Ben zawsze zwycięży. Zyskałam miłość najwspanialszego mężczyzny na świecie i nie zrezygnuję z niej, ponieważ nic mi tego nie wynagrodzi. Czuję jednak, że kompromis jest możliwy. Nie zawiodę ludzi w potrzebie, którzy zwracają się do nas w najtrudniejszych chwilach swojego życia.

Słyszę, jak na górze Paris wpada do sypialni, żeby obudzić Bena. Już mam do nich dołączyć, kiedy dzwoni telefon – ten po godzinach, z motywem z Jamesa Bonda.

– Słucham, Damska Agencja Detektywistyczna... Nie, zgadzam się z panią... Tak, rzeczywiście trudno zrozumieć, po co pani mężowi czerwona szminka w schowku na rękawiczki... Tak, oczywiście. Myślę, że zdołamy pani pomóc...

Więcej na temat

Damskiej Agencji Detektywistycznej

(The Real Lady Detective Agency)

i usług, które oferuje, na:

[www.ladydetectiveagency.com](http://www.ladydetectiveagency.com)

## Podziękowania

Podziękowania powinny być krótkie... ale ja złamię tę regułę! W końcu to moja pierwsza książka! Nie odkładajcie jej jeszcze!

Dziękuję mojemu cudownemu mężowi – to Ty przywróciłeś mi wiarę w miłość, zaufanie i ludzką naturę! Dzięki Tobie mogę robić to, co robię, i być szczęśliwa! Wszystko to osiągnęłam tylko dzięki Twojemu wsparciu.

Dziękuję rodzicom – po tacie mam smykałkę do interesów, a po mamie wariactwo! I niczego bym nie zmieniła! Dziękuję Wam za miłość i wsparcie. Nie przetrwałabym tamtych najtrudniejszych chwil bez takich wspaiałych rodziców jak Wy.

Dziewczyny! – macie moją dozgonną wdzięczność za to, co robicie!

Jen Jen – zjawiłaś się w moim życiu jako agentka, a zostałaś w nim jako przyjaciółka! Dziękuję, że każdego dnia mogłam sprawdzać swoje pomysły na Tobie, i za Twoją wiarę we wszystko, co robię! Nigdy nie zapomnę tych słów: „Napisz kawałek i zobaczymy, co z tego będzie...”.

Charlotte i Lesley z Aitken Alexander, Annie i dziewczyny z Arlington Enterprise, Natalie i cały zespół Harpera – dziękuję za wiarę w ten obłąd. Dzięki Wam moje marzenie stało się rzeczywistością... Czy raczej rzeczywistość stała się piękna jak marzenie!

Dziękuję swojemu bratu Tony’emu, Joanne, Lewisowi, „Siostrze”, Marii, Olivii, Judith, Pete’owi i Jakeyowi!

Dziękuję też babci i dziadkowi – którzy zawsze wiedzieli, że zostanę pisarką!!!

Na koniec dziękuję Aniołkowi i Paris – pewnego dnia zaczniecie rozumieć szalone życie Waszej mamy. Mam nadzieję, że kiedy dorośniecie, ta książka zainspiruje Was do realizacji własnych marzeń. Bo tak jak moja mama i tata, tego właśnie życzę swoim dzieciom najbardziej.



